

# Dzwon śmierci

KERSTIN EKMAN

przełożyła **Anna  
Węgleńska**

Jacek Santorski & Agencja Wydawnicza

*Tytuł oryginału*

**Dóðsklockan**

*Redakcja* **Maria**

**Fuksiewicz**

*Korekta* **Jolanta**

**Sztuczyńska, Joanna Młodzińska**

*Projekt graficzny okładki*

**Agnieszka Spyrka**

*DTP*

**Maria Kowalewska**

**Wydanie I**

**Copyright © Kerstin Ekman, 1963**

**First published by Albert Bonniers Förlag AB, Stockholm, Sweden**

**Published in the Polish language by arrangement**

**with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden**

**Copyright © 2004 for the Polish translation by Anna Węgleńska**

**Copyright © for the Polish edition by Jacek Santorski & Co**

**Agencja Wydawnicza, Warszawa 2005**

**Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza ul.**

**Alzacka 15 A, 03-972 Warszawa**

**www.jsantorski.pl**

**e-mail: wydawnictwo@jsantorski.pl**

**Dział handlowy: tel. (022) 616 29 36, 616 29 28**

**faks (022) 616 12 72**

*Druk i oprawa*

**Opolgraf SA**

**ISBN 83-89763-42-7**





# 1

## Poniedziałek, 14 października

Jeszcze nie było dość jasno, by polować. Mimo to zdjął ze ściany sztucer i przewiesił go przez ramię. Ośmiodniowy zegar w salonie wybił cztery razy, a z sieni obok kuchni doszło go niecierpliwe skomlenie psów. Usłyszały go na schodach, choć tak ostrożnie schodził w samych skarpetkach. Musiał wziąć stamtąd swoje buty z cholewami, więc Śpiewka i Strzał, gdy zobaczyły go ze strzelbą, uznały, że to już czas. Szara suka położyła głowę między łapami i gdy wciągał buty, nie spuszczała z niego żółtych oczu. W jamniku odezwała się zbójcka natura i w zapale wyrzucił swoją miskę z wodą. Mało brakowało, a Mans przyciąłby go drzwiami, kiedy zamykał je za sobą. Usłyszał, jak zrezygnowana Śpiewka wydaje z siebie długie skomlące westchnienie, ale Strzał zaczął ujadać.

Mans prawie biegł przez podwórze, aby psy jak najszybciej przestały go słyszeć. Jeśli obudzą cały dom, nie miał pojęcia, jak wytłumaczy, że wychodzi o tej porze. Gdyby Eva się zbudziła, powie, że nie mógł już dłużej spać, bo był tak napięty przed polowaniem na łosie, które miało się rozpocząć tego ranka. Prawdopodobnie by mu nie uwierzyła.

Minął oborę i ruszył przez podmokłe pastwisko. W dole niecki sięgającej lasu sztywna od mrozu trawa trzeszczała pod

butami. Było nieomal bezwietrznie, przeciął kilka chłodnych, nieruchomych pasm mgły, nim znalazł się przy furtce na granicy leśnej gęstwiny. W nikłym świetle przedświt las stał w milczeniu. Niewiele widział, ale znał ścieżkę tak dobrze, że mógł iść dość szybko, a przy tym bezszelestnie. Ponad pół kilometra ścieżka wiła się brzegiem mokradła, dalej dochodziło się do poręby, która należała do Vinterróningen. Stamtąd biegła prosto ponownie w odwiecznie mroczny las. Pnie świerków stały niczym maszty statków, a wysoko nad jego głową między koronami drzew niosło się tchnienie wiatru, przeciągły szmer martwej fali, którego w ogóle nie czuło się tu na dole. Ziemia była śliska od igliwia, ale szło się po niej cicho i miękko. Po kilkuset metrach pojaśniało i pod stopami widział teraz migoczące żółto między drzewami opadłe liście brzoź. Ścieżka rozwidła się. Po lewej ręce ciągnęła się dalej do Flymyran, obszernego trzęsawiska, które stopniowo stawało się jeziorem Spjuten. Na prawo prowadziła w dół do Gókkallan, chałupy, stanowiącej najbliższe sąsiedztwo Vinterróningen od strony lasu.

Do pastwiska obok Gókkallan szedł ścieżką, ale tam zatrzymał się instynktownie i nie potrafiłby powiedzieć, czy doszedł go jakiś dźwięk, czy też oczy zarejestrowały ruch na przeciwległym skraju lasu. Stąd mógł zobaczyć róg domu Gustafa Akermana i rozłożystą osikę rosnącą przed wejściem, której liście, krwistoczerwone, drżały w lekkim powiewie. Mans skrył się za furtką, a jego spojrzenie pobiegło wzdłuż liściastych zarośli na brzegu lasu. Było mroczno i mglisto, więc trudno powiedzieć, co to mogło być, miał jednak pewność, że coś się tam poruszyło. Po kilku minutach trząś się z zimna, więc postanowił znów ruszyć. Wtedy je dostrzegł. To nie był łoś. Było to stado saren, które pały się w liściastym zagajniku na drugim końcu pastwiska, a teraz, bezszelestnie, z godnością przemieściły się na jego stronę łąki. Nadal dzieliła go od nich spora odległość i trudno mu było rozróżnić coś więcej niż tylko sylwetki i ich płynne ruchy, którymi prześlizgiwały się przez mgłę i mrok, ale wydawało mu się, że naliczył ich z pięć sztuk.

Szczęk blachy o kamień i silny plusk wody rozdarły ciszę. Zwierzęta w mgnieniu oka pomknęły do lasu. W ułamku sekundy dostrzegł ich zady jaśniejące na ciemnym tle drzew, potem zniknęły. Od strony Gókkallan zadźwięczało blaszane wiadro szurające o cembrowinę studni.

Najwyraźniej Gustaf wcześniej był na nogach w ten pierwszy dzień polowania. Każdego innego dnia Mans przeciąłby pastwisko i zajrzał do Gustafa. Dostałby kawy i zanim by ruszyli na spotkanie pozostałych, obgadaliby rozplanowanie stanowisk i szanse na czyste pole do strzału. Dziś Mans, ku własnemu zdumieniu, uczynił tak jak przed chwilą zwierzęta. Pobiegł do lasu.

Kiedy szedł ścieżką długimi krokami, nie starając się stąpać szczególnie cicho, czuł przenikające go zimno. Była to jego trzecia bezsenna noc z rzędu. Już od soboty rano bez przerwy bolała go głowa. Nie miał pojęcia, jak wytrzyma sześć długich dni w lesie, jeśli nie uda mu się przespać. Najchętniej by się rozplakał, ale nie chciał się rozkleić w samotności. Usiłował więc zdusić w sobie strach i żal, myśląc o tym, jak mu zimno, jaki jest głodny, i jak uporczywie pulsuje mu w skroniach. Mans We-stling miał trzydzieści dwa lata i w zasadzie nie znał takich uczuć, jak lęk czy strach. Nie wiedział też, co to nerwy. Możliwe, że czuł czasami lekkie ich łaskotanie, gdy zasadził się na zająca i siedział godzinami wpatrzony w te same plamy na zlodowaciałym śniegu. Teraz był niczym dziecko zdany na łaskę i niełaskę tego strachu, który zżerał sen i dręczył, zabijając w nim całą radość z polowania. Był zbyt zmęczony, aby uporządkować myśli. Wprawdzie cały czas miał świadomość, że to, co mu się przydarzyło, jest jego winą, głównie męczyło go jednak, iż nie mógł porozmawiać o tym z Evą. Nigdy jeszcze nie znajdował się w tak okropnym położeniu.

Spojrzał na zegarek. Był na dworze już ponad godzinę i nawet nie spostrzegł, że zaszedł tak daleko w kierunku Flymyran ścieżką, która coraz trudniej dawała się odróżnić wśród brunatnych, zwarzonych mrozem paproci. Zwolnił tempo i już miał podjąć decyzję, by zawrócić w kierunku domu, gdy potknął się

o wielką kupę łośiowego łajna. Znieruchomiał, kiedy poczuł, że było jeszcze ciepłe. Nagle zapomniał o bólu głowy i uparcie przątających go myślach. Miał łośia w pobliżu, a na ramieniu sztucer. Za jakąś godzinę pewnie rozwidni się na tyle, że będzie można oddać strzał. Teraz żałował, że nie wziął ze sobą Śpiewki. Szukanie śladów łośia na suchej ziemi było sprawą beznadziejną. Znalazł się w rzadkim lesie świerkowym, gdzie jak tylko się poruszył, pod stopami trzaskały mu gałęzie. Postanowił trzymać się ścieżki jeszcze sto metrów do zakrętu wokół skalistego wzniesienia powyżej mokradła. Flymyran było ulubioną ostoją łośi i gdy polował na nie w poprzednich latach, wiele godzin spędził, dygocąc z zimna u stóp tego pagórka od strony południowej, gdzie miał swoje stanowisko.

Ziemia stała się podmokła i trudno było bezgłośnie iść w gumiakach. Czuło się silny zapach woskownic i rosnącego tu bagna, a z rozpadlin mokradła w bezwietrznym powietrzu wydobywał się odór zgnilizny. Gdy okrążył wzniesienie i zszedł niżej do Flymyran, prawie nie miał już widoczności. Światło świtu było szare i zwodnicze, a brudnoszare płyty mgły otaczały go dookoła. Ale w tej beznadziei i zmęczeniu poszczęściło mu się. Ostrożnie ukląkł w wilgotnej ziemi i patrzył na ślady racic, które przecinały mu drogę.

Był to największy ślad łośia, jaki kiedykolwiek widział. Zmierzył go dłonią i nie mógł w to uwierzyć. Wiele razy widział tu prawdziwe ścieżki wydeptane przez łośie w miękkiej ziemi. Ale nigdy jeszcze nie spotkał śladu takiego jak ten. Podniecenie sprawiło, że zapomniał o zimnie i o tym, dlaczego tak bez namysłu wyruszył przed świtem. To musiał być ten niesamowicie wielki byk, o którym Gustaf z Gókkallan bredził tej jesieni. Mans śmiał się z jego wywodów o gigantycznym, prastarym byczysku, które straszło w okolicy w okresie godowym i które Gustaf pierwszy raz ujrzał przelotnie, gdy w pewien mglisty wrześnieowy wieczór wracał z borówkami do domu.

Mans, nadal klęcząc, rozglądał się dookoła. Ostrożnie zaczął ściągać gumiaki, żeby podejść ciszej po wydającej głośny odgłos



ssania bagiennej glebie. Postanowił przedostać się trochę bliżej w kierunku góry i pod osłoną niskich świerków czekać na światło. Liczył, że zobaczy coś niżej na mokradle, jeśli będzie się zachowywał cicho. Ostrożnie stawiając stopy, przeciął na skos kawałek bagna ku suchszej ziemi. Ale nie zdążył dojść nawet do najbliższych świerzków. Trzaski niczym salwa karabinowa rozdarły mglistą, miękką ciszę, sprawiając, że wzdrygnął się i stanął. Dostrzegł czarny trzepoczący cień między pniami i, dopiero kiedy opadło z niego napięcie, pojął, że był to głuszec, który zerwał się do lotu.

Postanowił nie ulegać pokusie, by iść dalej, chociaż nie przypuszczał, aby to on wystraszył ptaka. Tuż obok znajdował się głaz, wyższy od człowieka. Usiadł i oparł się o niego plecami. Nieopodal wystawały suche korzenie, na których mógł oprzeć stopy w przemoczonych wełnianych skarpetach.

Marznąc trochę, czekał, aż się rozwidni. Gustaf chwalił się, że on to potrafi „wyczuć” łosia w pobliżu. Naturalnie nie należało jego gadaniny i wywodów o polowaniu brać zbyt dosłownie, faktem jednak było, że Mansowi także się zdawało, jakby coś czuł w miejscu, gdzie siedział, i widział unoszące się nad mokradłem opary, niczym dymy spod garnków bezgłośnie gotujących trolli. Jesienne wichry zerwały liście z brzozy rosnącej za nim i zgarnęły je w siarkowożółtą zaspę. Chętnie zapaliłby fajkę, żeby sprawdzić, czy w ogóle jest jakiś powiew i, ewentualnie, w jakim kierunku idzie. Ale nie chciał ryzykować takiej próby. W ciszy świtu dla czułych uszu łosia potarcie zapalki byłoby hałasem podobnym do małego wstrząsu ziemi.

Musiał zdrzemnąć się na moment z głową opartą o kamień, w mgnieniu oka jednak wszystkie zmysły miał znów napięte. Usłyszał wyraźny odgłos racicy wyciąganej z mokradła. Bardzo blisko, o wiele bliżej, niż mógłby kiedykolwiek marzyć. Skulił się przy kamieniu, każdy nerw i mięsień nastawiony miał na jedno - zobaczyć coś tam na dole, zanim będzie za późno. Z tyłu, w lekkim podmuchu wiatru szeleściła osika, a teraz, wytaczając się znad mokradła, napłynęła nocna mgła. Wilgotny chłód

zrosił mu twarz, tak że zaczęło mu ciec z oczu i nosa. Siedział, czekając, aż odgłos się powtórzy, ale nic się nie działo. W każdym razie mgła rzedła coraz bardziej. Czarno połyskujące kałuże zaczynały prześwitywać w dole, a nad jego głową dryfowały na wszystkie strony płachty chmur i odsłaniały strzępy zimno-niebieskiego jesiennego nieba. Zrobiło się całkiem jasno i gdy pierwsze promienie słońca zamigotały na wodzie, poczuł takie zimno, że zaczął się trząść i nie mógł opanować tego dygotania. Wtedy nagle zobaczył to, co widziałby cały czas, gdyby nie mgła. Zaledwie pięćdziesiąt metrów od niego, w zaroślach olszyny, obok przepastnego czarnobrunatnego bajora, majaczyły cztery wysokie badyle. Nieforemny cień nad nimi nie był kamiennym blokiem, jak sądził, tylko cielskim łosia. Wydawało mu się również, że dostrzega parę poruszających się łyżek. Siedział nieruchomo i miał wrażenie, że serce wali mu tak głośno, iż musi być je słychać aż tam w zaroślach. Obejmował sztucer, który stał się lodowato zimny i wilgotny od mgły. Ciągłe jednak widział zbyt mało, niepokoił go też wiatr, i to tak, że zaschło mu w ustach i niemal bał się oddychać. Jeden podmuch ku zaroślom zepsułby wszystko - łos, zwietrzywszy człowieka, umknąłby pędem, nawet nie pokazałby mu się dokładnie. Ale mgła, z każdą minutą coraz bardziej lekka i przejrzysta, na razie nadciągnęła ku niemu. Teraz znów usłyszał odgłos racic, trzy, cztery stąpania, po czym trzasnęła gałązka. W następnej chwili czarny zamglony cień poniżej ożył i przybrał kształt. Z zarośli wyłonił się wolnym kłusem największy łos, jakiego MSns widział w życiu. Wydawał się ciężki niczym blok skalny, a mimo to potrafił tak niesamowicie miękko biec po ziemi. Korpus był ciemny, niemal czarny nad szarobiałymi badylami. Gdy stanął, prezentując się w prześwicie poszarpanej wiatrem mgły, M&ns zobaczył długi odrażający łeb z silnie opuchniętymi wałkami pod oczami. Zwierzę miało bardzo ciężki przód oraz nabrzmiąłą szyję i kłęb. Rosochate łopaty, osadzone nisko nad kością czołową, były niemal tak grube jak przedramiona MSnsa. Miał łopatowatą koronę, dokładnie taką, o jakiej mówił

Gustaf. Wielokrotnie rozgałęzione i bardzo spiczaste poroże sterczało na wprost, grożąc życiu rywali w okresie godów. To musiał być ten byk; nie mógł to być żaden inny tylko ten - czarny, z morderczymi łopatami. Wielki wół, stary morderca - Bóg jeden wie, jak Gustaf go nazywał.

Dziwne, że tak długo udało mu się ujść przed strzałem w tej okolicy. Rzadko strzelano tu byki, które miały więcej niż sześć, siedem lat. Mans podejrzewał, że ten dawno przekroczył dzieśnięć, może miał z piętnaście lat. Ale teraz wyglądało, że wybiła jego godzina. Żeby tylko mgła jeszcze trochę ustąpiła. Mans złożył się do strzału, wziął głęboki oddech i wymierzył w olbrzyma, który zwrócił się do niego całym czarnym szerokim bokiem. Ramicami rozgrzebywał coś na ziemi, głowę ze skierowanymi do przodu szpicami rogów miał pochyloną. Mans nie mógł już widzieć, co on robi, ale słyszał, jak grzebie nogą i wydmuchuje powietrze. Ten to miał płuca.

Teraz pasma mgły unosiły się kłębamii jak dym z paleniska i gdy chciał wycelować, wszystko zniknęło mu z muszki. Lufa strzelby tak mu zaczęła drżeć w rękach, że próbował przyłgnąć ciałem do ziemi, by mieć oparcie dla lewej ręki. Osika gwałtownie szumiała mu za plecami i nagle miał wszystko na raz - czyste pole i łosia w powolnym truchcie ku południowej stronie mokradła, cały czas zwróconego ku niemu bokiem. Przywarł do ziemi i powiódł celownikiem do miejsca, skąd wyrasta u łosia poroże, tak jak należy.

Teraz powinien był strzelić. Potem nie potrafiłby przysiąc, co sprawiło, że nie pociągnął za spust w decydującej sekundzie. Może usłyszał ten sam dźwięk, co łoś, i drgnął. Może zdążyło do niego dotrzeć, że korona łosia zadrżała, a wrażliwy pysk obrócił się i wietrzył. Rozległ się strzał, ale był kilka sekund spóźniony i łosia tam już nie było. Jasne badyłe mignęły w błyskawicznej ucieczce i Mans słyszał trzask łamanego zagajnika, gdy ciężkie cielsko wpadało między drzewa. Po kilku sekundach znów zrobiło się cicho i z ust Mansa wyrwało się przekleństwo.

- Ho, ho! - dał się nagle słyszeć głos, donośny i niepasujący tu jak kukułka w październikowym lesie. Mins znów zaklął i nie odezwał się. Głos dochodził ze ścieżki położonej wyżej i Mins pojął, że łoś uciekł przed odgłosem kroków. Teraz ów intruz stał i wykrzykiwał swoje idiotyczne „ho, ho!” po tym, jak oddał strzał. Zastanawiał się, co to za przeklęty cymbał, który włązi do lasu łośi przed siódmą rano równie nonszalancko, jak gdyby szedł po miejskiej ulicy. Dygocąc z zimna, potykając się na zdrętwiałych nogach, Mins skierował się ku ścieżce, przedtem jeszcze zбочywszy, by zabrać swe gumki.

Cały czas gdzieś w tyle głowy miał świadomość, kto był tym, co stał tam powyżej, kto to po prostu musiał być, komu było tędy po drodze. Zespół myśliwych miał się zebrać o siódmej przed Gókkallan. Dwaj od strony Spjuten mogli iść na skrót ścieżką wzdłuż Flymyran. Ale tylko jeden mógł wykrzykiwać „ho, ho!” tuż po oddanym strzale na terenie, gdzie są łośie.

Gdy Mins podszedł ścieżką i ujrzał go w odległości stu metrów od góry, zatrzymał się. Nawet nie spostrzegł, że zgubił gumki, które niósł w ręce. Napięcie nad mokradłem, wielki zawód po strzale, który poszedł w powietrze, sprawiły tylko, że odczuwał chłód i ból głowy jeszcze intensywniej niż przedtem. Niczego już nie wiedział - poza tym jednym, że chwilę temu wszystko było, jak należy. Był napięty i skoncentrowany na jednej jedynej rzeczy: bladym świtem tego pierwszego dnia polowania na łośie ustrzelić największego łośia w swym życiu.

Teraz ponownie naszła go trwoga, którą nosił w sobie ponad dwie doby. Kroczyła na dwóch nogach w postaci tej sylwetki, zbliżającej się ścieżką. Mężczyzna w żółtej zamszowej kurtce, która tutaj wśród drzew dziwacznie jaśniała. Zielone spodnie z diagonalu opinały krótkie grube uda, łydki były w starannie zapiętych ochraniaczach jak u prawdziwego myśliwego, a na domiar wszystkiego na ramieniu miał dwulufowy sztucer kaliber 30-06, lunetę celowniczą oraz wszelkie obrzydliwe drogie bajery, jakie tylko można wymyślić, w futerale zwisającym z ramie-

nia. Lufa kiwała się w takt powolnych kroków, którymi cały czas zbliżał się ku Mansowi.

Mans nie wiedział, co robi, gdy uniósł sztucer. Machinalnie załadował i wymierzył z taką samą precyzją, jak przed chwilą w łosia. Metodycznie jak automat ręce wykonały wyćwiczony chwyt. Wszystko, czego się obawiał, wszystko, czego nienawidził i o czym pragnął zapomnieć, spokojnie nadchodziło ku niemu ścieżką. Teraz podniósł się. Nie czuł najmniejszego drżenia, gdy na celowniku znalazła się lewa kieszeń na piersi zamszowej kurtki nadchodzącego. Tamten coś krzyknął, ale Mans nie słyszał. Krew uderzyła mu do głowy, w uszach waliło.

Nigdy jeszcze podczas długiego obcowania z bronią myśliwską nawet przez pomyłkę nie zdarzyło mu się celować do człowieka. Było to szczególne uczucie - mieć go na muszce. Tamten także stał całkowicie nieruchomo, na szeroko rozstawionych nogach, niepewnie. Przestraszony? Prawdopodobnie.

Powiem potem, że wyszedł mi na linię strzału, gdy posłałem drugi za łosiem. Była to pierwsza myśl, która przybrała konkretny kształt i przemknęła mu przez głowę. Nieumyślny strzał, zadudniło w nim. Nagle z całą ostrością dotarło do jego świadomości, co miał zamiar zrobić, i ręce zaczęły tak mu się trząść, że celownik strzelby zakołysał się przed jego wpatrzonym weń okiem. Musiał obniżyć go na moment, bo teraz tamten zaczął się spieszyć. Kilkoma ciężkimi susami umknął ze ścieżki i pobiegł prosto w las. Mans pognął za nim, w głowie miał pustkę, czuł tylko pulsowanie, męczyły go łzawiące oczy. W swoich wełnianych skarpetach biegł szybciej i ciszej niż tamten, którego jednak zasłaniały pnie drzew, i przez parę sekund myślał, że go zgubił. Ale między dwoma świerkami zamigotała żółta zamszowa kurtka. Gałęzie trzaskały i dało się słyszeć sapanie z wysiłku. Odwrócił głowę i zobaczył, że Mans go dogania. Wyraźnie próbował wydłużyć krok, ale miał zbyt krótkie nogi w tym gęsto porośniętym zaroślami terenie. Zawadził o pniak i, krzyknawszy, przewrócił się i poleciał na łeb, na szyję. Rozległ się dźwięk strzelby uderzającej o kamień i zapadła cisza.

Mans zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu i znów uniósł sztucer. Nigdy przedtem nie miał gorączki myśliwskiej, ale teraz go ogarnęła. Opanowała go od tego momentu, gdy chybiony strzał padł w kierunku spłoszonego łośa. Dreszcze chłodu i fale mdłości przepływały przez ciało i uniemożliwiały sensowne rozumowanie. Jako dobremu strzelcowi wystarczyły mu jeden jedyny strzał do mężczyzny, który upadł zaledwie dwadzieścia metrów przed nim.

Sądził, że wycelował równie metodycznie, jak przed chwilą na mokradle. Ale nawet nie czuł kopnięcia, gdy sztucer wystrzelił z głuchym odgłosem. Nie miał świadomości, że opróżnił cały magazynek, zanim odrzucił od siebie strzelbę i ruszył biegiem.

## 2

Piątek, 11 października

Tuż przed szóstą w piątek wieczór zadzwonił Rickard Turesson. Tak to się zaczęło, choć Mans, który właśnie schodził po schodach, kiedy Eva podniosła słuchawkę, nie miał wtedy o tym najmniejszego pojęcia. Gdy usłyszał, że to Rickard, podszedł tak blisko telefonu, że mógł słyszeć jego głos.

- Co słyszać?

- Mans się snuje - powiedziała Eva z lekkim uśmiechem. - Poszedł do lasu i wygonił z niego zbieraczy jagód, a Gustaf Akerman przybiega tu parę razy dziennie i opowiada o wielkim monstrum, łosiu, którego widział przy Flymyran.

- Powiedz Mansowi, że kupiłem psa.

Teraz Mans wziął słuchawkę.

- Jakiego psa?

- Zobaczysz - odparł Rickard tajemniczo. - Założę się, żeś nigdy jeszcze nie widział psa tak ułożonego na łosie.

- Masz go?

- Nie, Klas Bodin przywiezie go, jak przyjedzie z miasta. Ale on będzie dopiero tym pociągiem za pięć jedenasta.

- Przecież miał być u Georga Marda na obiedzie.

- Dzwonił przed chwilą i powiedział, że mu się nie uda. Ma posiedzenie. Mamy go odebrać z pociągu wieczorem.

Mlms odłożył słuchawkę i zrobił grymas pod adresem Klasa Bodina i miasta, i wszystkich posiedzeń, i wymysłów światowych, które mogły zagrozić i zepsuć początek polowania na łosie.

- Nie przyjedzie? - spytała Eva.

- Gdyby tylko. Ale on ma oczywiście jakieś posiedzenie, więc mamy w samym środku obiadu u Marda pojechać na stację i go zabrać.

Kiedy drałował szosą w dół do siedziby Marda w wietrznym jesiennym zmroku, nadal był poirytowany Klasem Bodinem i jego posiedzeniem. W głębi duszy miał świadomość, że reaguje trochę dziecinnie. Eva mawiała, że gdy dopada ich myśliwska gorączka w dniach poprzedzających ten jesienny tydzień, każdego roku stają się jak dzieci i robią wrzawę o wszystko, co nie idzie dokładnie według planów. Potem łatwo było powiedzieć, że posiedzenie Bodina, które spowodowało jego spóźnienie w ten piątkowy wieczór, stało się ostatecznym powodem wszystkiego, co się później wydarzyło. Tego naturalnie nie wiedział. Wtedy żaden z nich jeszcze tego nie wiedział. Mans nie miał filozoficznego usposobienia i nie zastanawiał się nad tym, że życie ludzkie może zależeć od przypadkowych zbiegów okoliczności.

Między Vinterrónningen i Stora Nybygget, czyli Dużym Nowym Domem, gdzie mieszkał Mard, było niecałe pół kilometra. Żółty drewniany dom miał podjazd wysadzony jesienią krwistoczerwonymi klonami i nadmiernie oświetlony rozpiął się, zasłaniając starą chatę, w której niegdyś mieszkali rodzice Marda. Zanim został wzniesiony Nybygget, miejsce nazywało się Halvoreby, czyli Nędzówka, ale Mard załatwił sprawę, zmieniając nazwę. Dach werandy wspierały białe drewniane słupy, przy wejściu stały duże betonowe donice, w których róże kwitły aż do późnych mroźnych nocy. Georg był wdowcem i willa nie tyle stanowiła dom dla niego i jego dorosłego syna, ile manifestację Georga energii, tupetu i umiejętności pomnażania pieniędzy. Odziedziczył wystarczająco duży obszar lasu, aby na początek porzucić ciężką i mało opłacalną uprawę ziemi. Teraz miał



tartak, skład drzewa i własną linię autobusową. Był prezesem sądu okręgowego, przewodniczącym rady parafialnej i na ogół autorytetem w ekonomicznych i moralnych sprawach. Ludzie starsi od Marda mogli opowiedzieć wiele historii o jego interesach sprzed trzydziestu lat. Nie były to piękne opowieści, ale zgorzkniali starcy, którzy przez całe życie harowali na kamienistej roli, może nie zasługiwali na to, aby wierzyć im we wszystko.

Teraz stał ten Midas okolicznych lasów pod filarem swej werandy i rozmawiał z dwoma gośćmi, którzy przybyli już na obiad. Jeden to leśniczy, Erik Emilsson, wysoki i ciemny jak Cygan, nawet lekki uśmiech gościł na jego twarzy niesłychanie rzadko. Drugim był mały chudzielec, Anders Flod z Gillermossen, czyli Torfowych Sideł, dzierżawca domu należącego niegdyś do kopalni Rasby. Jego żoną była Finka, tak jak i on chętna do pracy i oszczędna. Ale jej zwyczaj, by co roku obdarowywać go potomstwem, sprawiał, że sytuacja ekonomiczna ich niewielkiego gospodarstwa o trzydziestu morgach była trochę nieprzewidywalna.

Dzieci Andersa nazywano w szkole latoroślami Floda z Myszowych Sideł, po części dlatego, że taka nazwa narzucała się pod wpływem gwarowej wymowy, a po części dlatego, że miały niczym u myszy bardzo żywe oczy, były żwawe i stale chrupały wszystko, co tylko się dało.

Od kiedy zmarł ojciec Mansa Westlinga, w polowaniach na łosie uczestniczyło tych samych siedem osób. Anders Flod był wśród nich prawdziwym łowcą mięsa. Nie mógł sobie pozwolić na stratę tygodnia pracy na polowanie, gdyby nie przynosiło istotnej korzyści. Mansowi na dobrą sprawę wcale o to nie chodziło, ale nigdy w życiu nie opuściłby polowania. Georg Mard od jesieni 1946 roku, kiedy to ustrzelił kapitalnego łosia z porożem, które zdobyło 304,5 punktów i medal z rogu w złocie, był łowcą trofeów. Kilka lat temu przyuczył do polowania swego syna Pellego. Ale prawdziwymi specjalistami od łosi byli wśród nich Erik Emilsson i Gustaf Akerman z Gókkallan. Nie posiadali żadnej ziemi na własność, ale okazywali się nie-

zastąpieni dzięki osobistej znajomości niemal całego stanu łosi w okolicy, obaj mieli też nosy jak ogary.

Rickard Turesson, który mieszkał razem z siostrami Bodin w Rasby, obok nieczynnej kopalni, także uczestniczył w polowaniach, odkąd tylko Mans sięgał pamięcią, chociaż ani razu nie dokonał czegoś, o czym dałoby się opowiedzieć. Był to cichy, uprzejmy mężczyzna, bez protestu siedzący godzinami na najgorszym stanowisku, gdzie szanse na oddanie strzału były niezbyt duże.

Obiad u MSrda przed rozpoczęciem polowania na łosie miał charakter spotkania, na którym ustalano rozstawienie i cały plan, i był równie trwałą tradycją, jak kolacja, kiedy to jedzono wątrobę łosia w Vinterroningen po zakończonym polowaniu i kiedy każda faza podkradania się, czuwania i strzelania w minionym tygodniu była omawiana z dokładnością, która mogła stać się kłopotliwa dla tego, kto spudłował w decydującej chwili, lub dla psa, który się nie popisał. Gustaf Akerman nigdy nie uczestniczył w obiadach u Marda. Nie można było go zmusić do nałożenia koszuli z kołnierzem i wystąpienia na śliskim parkiecie Stora Nybygget od czasu, gdy jego pies, mieszaniec wyżła, Baj, obsikał kiedyś fortepian M3rda. Ani Gustaf, ani gospodyni Marda nie przezwyciężyli wrogości, która wykiełkowała po tym wydarzeniu.

Klas Bodin został zaproszony na preludeum do Nybygget tylko dlatego, że miał przyjechać, by spędzić kilka wolnych dni u swych sióstr w Rasby. Nikt się nie odezwał, kiedy przyszedł Rickard Turesson z wiadomością od Bodina, ale wszyscy uważali, że powinien był zrezygnować z zaproszenia na obiad, jeśli nie mógł przyjechać na czas. Żądanie przywiezienia go ze stacji, gdy nawet nie będzie brał udziału w polowaniu, można było tłumaczyć tym, że przywiezie ze sobą świeżo kupionego przez Rickarda psa ułożonego na łosie. Rickard wyjaśnił już na werandzie jego pochodzenie i przymioty. Był to karelski pies używany do polowań na niedźwiedzie, wabił się Karim i został przywieziony do Sztokholmu z Helsinek. Liczył sobie zaledwie dwa lata,

a jego niesamowita cena sprawiła, że Mard złapał się za głowę. Ale matka Karima wystawiła sto osiemdziesiąt łosi na strzał.

Georg Mard poprowadził ich do palarni, w której zakonserwowany z całym łbem i udekorowany medalem zdobywca trzystu czterech punktów świdrował otoczenie złośliwym wzrokiem ze ściany. Nastrój panował uroczysty i pełen wyczekiwania, dokładnie tak, jak powinno być. Wymieniano lakoniczne komentarze o ostatniej ulewie i o pogodzie przewidywanej na nadchodzący tydzień. Często powoływano się na Gustafa Akermana, bo na podstawie przelotu ptaków i strzykania w kolanie po dawnej kontuzji zwykł robić długoterminowe prognozy, które uważano za pewniejsze od zapowiadanych zarówno przez amerykańskich, jak i telewizyjnych docentów. Zdołano także zacząć omawianie nowo nabytej strzelby, wiszącej w pokoju myśliwskim Marda. Był to wyrób Fransa Sodii - świetnie wyważona i o eleganckiej linii. Wszyscy goście po kolei musieli wypróbować, jak pieścizotliwe jest jej dotknięcie na policzku. Nagle jakiś opryskliwy głos zawołał, że podano do stołu. Poważnie, ale z błyszczącymi oczami i brunatnoczerwonymi karkami, które odcinały się od białych uwierających kołnierzyków koszul, weszli do stołowego.

Gospodyni Marda, wysoka i poważna kobieta budząca respekt, miała na imię Valborg. Była bardzo religijna, ale dobrze gotowała. Starym zwyczajem zrobiła w kuchni szwedzki bufet i stamtąd zabierano naładowane do pełna talerze i wchodzono z nimi do jadalni z kryształowym żyrandolem i tapetami z pasterskim krajobrazem na jasnoblękitnym tle. Valborg czuwała w kuchni nad przyrządzonymi na trzy sposoby śledziami, klopsami, gołąbkami z cebulą, omletami, zapiekankami, duszonym mięsem, wędzonymi wędlinami na zimno i na gorąco oraz marynatami. Trunki miał Georg na bufecie w jadalni i wódką z oszronionej karafki z monogramem Gustawa III napełniał im kieliszki. Mały, chudy Anders Flod przestał mówić, a zaczął jeść i wyglądał, jakby w ogóle nie zamierzał przestać. Ale miał też przykazane z domu, żeby jadł za całą

dziesiątkę z Myszwowych Sidel, a potem opowiedział, co podano do jedzenia.

- No to, najlepszego - zaproponował Mard przy pierwszej kolejce, ale gdy nadszedł czas na następny kieliszek, atmosfera stała się na tyle luźna, że Mlns cicho zaintonował pijacką piosenkę. Chór nie zdążył jeszcze się rozpędzić, a już przebiła go z kuchni gitara Valborg i jej ostro brzmiący sopran. Śpiewała „Niebo i ziemia niech płoną”, ale zachowywała się tak zawsze, gdy w jadalni Georga pito wódkę. Jego goście tak przywykli do tego wyznania wiary jako formy protestu, że z czasem nauczyli się pieśni i mieli zwyczaj włączać się w nią, ponieważ siła głosu Valborg była równie pokaźna, jak jej moralna energia.

Po szwedzkim stole była pieczeń cielęca pod beszamelem z ogórkami, po pieczeni sernik, a potem kawa i tort w osobliwym salonie Marda. Mlns tak się najadł, że ledwo unosił powieki, gdy w końcu usiadł ze swą filiżanką kawy na sofie obitej jasnożółtym jedwabiem. Erik Emilsson i Rickard wydawali się przepelnieni sennym zadowoleniem i nałożyli sobie uderzająco małe kawałki tortu. Tylko Flod sprawiał wrażenie niewzruszonego obfitością. Jadł gorliwie do chwili, kiedy Valborg zdecydowanymi ruchami pozbierała filiżanki po kawie. Gdy skończyła zmywać, zabrała w kartonowym pudełku to, co pozostało z tortu, i zniknęła, spiesząc na spotkanie przy kawie i słuchanie śpiewu braci Walfrids-sonów w sali Małej Betel.

Atmosfera stała się wyraźnie lżejsza, jak tylko za Valborg trzasnęły drzwi wejściowe. Georg sam wniósł naczynie z grogiem i zaczęto na serio mówić o polowaniu. Najczęściej wspomniano w kółko te same stare historie. Wszyscy znali je w najdrobniejszych szczegółach, jakby były tekstami Biblii, ale to bynajmniej nie przeszkadzało nowym interpretacjom i objaśnieniom. Naprawdę dobre opowieści dotyczyły zwykle Gusta-fa Akermana i dawnych czasów. Gustaf był siedemdziesięcioletkiem i dorastał w Gókkallan z matką, która wcześniej owdowiła, sześciorgiem rodzeństwa i jedną odziedziczoną starą strzelbą na ołowiane naboje, ładowaną z przodu. Niegdyś szep-

tano, że w młodości położył ponad dwieście łosi w okresie chronionym, i to na terenach należących do kopalni Rasby. Przed sądem stanął tylko raz i sędzia okręgowy przed ogłoszeniem wyroku zrobił mu wykład o właściwym czasie polowań.

- Kiedy przykładam strzelbę do policzka i celuję w łosia, wtedy jest właściwy czas i wtedy jest to dozwolone - odparł Gustaf.

Dostał miesiąc odsiadki, i to bez zawieszenia, ale czas ten uważał za najwspanialsze ubarwienie swego życia i jeszcze czterdzieści lat później mógł o tym stale opowiadać. Upływ czasu i legendy uczyniły z Gustafa osobę niemal godną szacunku. Teraz wiódł w Gókkallan samotną egzystencję prawie według wzoru lansowanego przez dom ludowy, dostawał rentę socjalną i każdej jesieni polował po sąsiedzku w towarzystwie zarówno leśniczego, jak i obywatela ziemskiego.

Dopiero gdy zegar wahadłowy z połączanymi różami i pulchniutkimi aniołkami wybił wpół do jedenastej, przypomnieli sobie o Klasie i jego pociągu. Pospiesznie wychylili szklaneczki z grogiem i podnieśli się. Kiedy wyszli na schody, szosą przed Nybygget zjeżdżał z hałasem ostatni autobus z Pętlem Mardem za kierownicą. Pętla i zajezdnia dla czterech autobusów Marda znajdowała się za Nybygget, gdzie niegdyś stała obora Halvóreby. Zatrzymali autobus Pellego, gdy tam skręcał, żeby zaparkować.

- Teraz weź samochód i podwieź nas na stację najszybciej, jak potrafisz - rozkazał Georg. - Klas Bodin przyjedzie za pięć jedenasta i mało brakowało, a byśmy o nim zapomnieli.

Pelle żył całkowicie w cieniu dwóch silnych osobowości - ojca: ekspansywnej i afirmującej życie, oraz fanatycznie religijnej. Valborg Georg traktował go jak na wpół zbędną narośl na swym własnym życiu, ale czasem czuwał nad nim z zazdrośną intensywnością, gdy podejrzewał, że Valborg próbuje faszerować go religią.

- Nie zmieściecie się, jeśli wszyscy chcecie jechać.

Pelle był zmęczony po całym dniu za kierownicą na śliskiej jesiennej szosie i najchętniej zjadłby coś i położył się spać. Ale

towarzystwo było podochocone i chciało koniecznie zgotować niezwyktemu psu niezwykle przyjęcie na stacji.

- W takim razie weź autobus - zaproponował Erik Emilson. - W nim powinniśmy się chyba zmieścić.

Pelle musiał zawrócić, a oni wsiedli. Autobus z zapalonymi w środku światłami zakołysał się, wjeżdżając znów na szosę. Z tyłu usiedli Anders Flod i Mans Westling i zaczęli śpiewać.

- Musisz jechać szybciej, jeśli mamy zdążyć na pociąg za pięć jedenasta! - krzyknął Georg do Pellego.

- I tak nie zdążymy.

Mieli przynajmniej z pół godziny jazdy na stację, bo droga zahaczała zarówno o kościół, jak i szkołę oraz cały szereg gospodarstw, potem wspinała się przy NygSrda do skrzyżowania z nieco szerszą szosą, którą po chwili dojeżdżało się do stacji. Była już za dwadzieścia jedenasta i przybycie na czas tak, by Klas Bodin nie musiał na nich czekać, stawało się nierealne. Ale dla grupy podchmielonych myśliwych, którzy zjedli jeden ze słynnych obiadów Valborg i popili najlepszej whisky Marda, nie było rzeczy nierealnych.

- Jedź Kroktorpsvagen! - wrzasnął M&ns w kierunku przodu autobusu.

- Tamtędy się nie da.

- Do cholery! Wszystko jest dziś dla ciebie niemożliwe!

Ale, prawdę mówiąc, Pelle miał rację. Wąska, wijąca się droga prowadziła przez las obok Kroktorp, obecnie chaty robotników leśnych. Jesienią i wiosną, jeśli dużo padało, mogła być nieprzejezdna, ale w niewielkiej odległości za Nybygget przecinała las i prowadziła prosto do stacji, dzięki czemu zyskiwało się dobrych kilka kilometrów.

- Jasne, że się da.

Georg wstał i zażądał, by Pelle się zatrzymał, zanim przejadą obok drogi bocznej.

- Róbcie, co chcecie - powiedział Pelle. - Ja tamtędy nie jadę. Tam jest za wąsko dla autobusu. Przy tak rozmięklej ziemi w każdej chwili można zjechać z drogi.

Zdążyli już minąć krzyżówkę, gdy się zatrzymał i wstał zza kierownicy.

- Ja poprowadzę - odezwał się nagle Mlns. - To był przecież mój pomysł.

Uruchomił ciężki autobus i przejechał kawałek na wstecznym biegu. Zaczęli pokrzykiwać z aplauzem, gdy z hałasem wjechał w boczną drogę i oświetlony autobus zewsząd otoczył las. Jesienna ciemność była nieprzenikniona i reflektory igrały z nią, jakby z masą posiadającą ciężar i konsystencję, a pnie świerków i głązy wydawały się wirować luzem, kiedy padło na nie światło. Droga była wąska i kręta, ale jednocześnie jazda nią sprawiała frajdę. Mins miał wrażenie, że zna ją bardzo dobrze, tyle razy dawniej przemierzał ją na rowerze.

- Musisz jechać fest, jeśli masz zdążyć - odezwał się Georg.  
- Jest za dziesięć jedenasta.

Powiedział to bardziej żartem, bo i tak nie mogli zdążyć. Klas Bodin będzie musiał spokojnie poczekać, bo o tej porze nie było ani autobusu, ani nawet taksówki.

Anders Flod, który znał mnóstwo przyśpiewek, zaczął śpiewać o chłopie i służących, a tekst starej piosenki w wydaniu Andersa był tak zabawny, że nawet Erik Emilsson uśmiechnął się jednym ze swych nielicznych uśmiechów i włączył do śpiewu. Brzmiało to cudacznie, gdy jego zgrzytliwy bas nakładał się na cienki głos Floda w rytmie poleczki. Po chwili śpiewali wszyscy. Także Pelle przeszedł do przodu autobusu i śpiewał refren:

*Teraz myślę, żeś ty wariat,*

*Teraz myślę, niech cię lichy!*

*Mnie potrzebny przecież nocnik,*

*Co podała matka cicho!* Georg przerwał im gdzieś po siódmej zwrotce, wtedy gdy Mans przejechał już ponad połowę drogi i ani na chwilę nie przekroczył pięćdziesiątki.

- Właśnie przyjechał pociąg! - zawołał i pomachał kieszonkowym zegarkiem.

- Przyjechał już przed kwadransem - odparł spokojnie Erik.  
- Ten zegarek jest może ładny, żeby sobie na niego popatrzeć, ale do niczego innego się nie nadaje.

Za plecami MSnsa między jego pasażerami rozgorzała gwałtowna dyskusja za i przeciw złotym zegarkom. Uśmiechnął się lekko, słysząc rozgorączkowany głos Georga i nieudolnie argumentującego Erika. W rzeczy samej pociąg przyjechał piętnaście minut temu, dokładnie tak, jak powiedział Erik. MSns próbował dodawać gazu na krótkich prostych odcinkach między zakrętami. Ostatni kilometr, nim droga dobiegła do szosy, był prostym odcinkiem, na którym po raz pierwszy doszedł do sześćdziesięciu na godzinę. W przemykających obok smugach światła pnie brzoź błyskały biało na tle ciemnych świerków. Dostrzegł parę zajęczych oczu, które załśniły w czerni pobocza, ale poza tym wydawało się, że nie ma żadnego życia w lesie. Autobus podskakiwał na wyboistej i pełnej kolein drodze, a gdy gnał przez głębokie kałuże, glina bryzgała aż na przednie szyby.

Wydawało mu się, że szybciej, niż to pamiętał z dawnych czasów, prosty odcinek się skończył, więc skręt, który wykonał, był trochę zamaszysty. Tyłem autobusu zarzuciło i wyjechał na drogę niebezpiecznie blisko składowiska pni brzozowych, ale poczuł, że znów panuje nad kierownicą. Tamci niczego nie zauważyli. Flod podjął piosenkę o kapralu Armacie. MSns rzucił okiem na podchmielone i zaczerwienione twarze w lusterku i właśnie miał włączyć się do śpiewu, kiedy to się stało.

Niczego nie widział. Ale poczuł uderzenie, choć nie było zbyt silne, i usłyszał zgrzytnięcie blachy o blachę. Instynktownie zahamował i wyczuł, że koło blokuje się w lepkich liściach, którymi zasłana jest droga. Autobus bezgłośnie potoczył się jeszcze kawałek, zanim udało mu się go zatrzymać. Nie wiedział, co się stało, i nawet nie próbował niczego zgadywać. W głowie czuł absolutną pustkę, oblizął suche wargi. Pojął, że to wszystko musiało dziać się niezwykle szybko, bo dobrą chwilę po tym, jak motor ucichł, Flod jeszcze ciągnął:



*Nie rób, słiczna, tego! Bo Karljohann chwata wola: chodź do łóżka mego, zrobię ci ja hamak z niego...* Niczego nawet nie zauważyli. Ale Flod nagle zamilkł i głos Georga zabrzmiał ostro w tej ciszy:

- Co jest?

- Nie wiem - wymamrotał Mans.

Gapili się na niego, gdy wstawał z miejsca kierowcy i wychodził z pojazdu. Gwałtowny wicher, który targał wierzchołkami drzew, był jedynym dobiegającym odgłosem. Powoli przeszedł po ciemku kawałek do tyłu. Poczł klucie w żołądku i spocł się pod pachami, gdy dostrzegł coś, co trochę dalej poruszało się i błyszczało.

Podszeł bliżej i zobaczył, że było to koło roweru. Kręciło się, a w słabym blasku padającym od oświetlonego autobusu błyszczały szprychy. Rower leżał na boku, ale tylko jedno tylne koło widniało na drodze. Reszta wydawała się zdemolowana. Zawrócił i pobiegł do autobusu. Pozostali tłoczyli się w drzwiach. Georg miał nadal tak samo zaczerwienioną twarz, wyglądał na zdezorientowanego i był mocno poirytowany. Pelle pobladał.

- Co się stało? Coś ty zrobił?

- Najechałem...

- Na co?

- Masz w autobusie latarkę? Nic tam nie widzę.

- Na co najechałeś? O co chodzi?

- Przynieście latarkę z autobusu - powiedział krótko Georg.

Podali mu dużą latarkę i gdy wracał, wszyscy w milczeniu ruszyli za nim. Trzymał latarkę w wyciągniętej przed siebie ręce, która tak mu drżała, że światło skakało, kiedy chciał oświetlić rower. Tylne koło już się nie kręciło.

Wolno skierował strumień światła na drogę, ale nie zdołał dostrzec niczego w pobliżu. Erik Emilsson wyszarpnął mu nagle latarkę i poświecił wprost na zmierzwione, zwarzone mrozem

paprocie na brzegu drogi. Nieruchoma plama światła oblała stopę w brązowym sznurowanym półbucie z niewysokim obcasem, który wydawał się trochę krzywo schodzony. Mans miał trudności z utrzymaniem się prosto, gdy razem z innymi podszedł, by spojrzeć na ciało oświetlone przez Emilssona.

Była to kobieta tak gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką. Miała na sobie ciemnobrązowy płaszcz i zawiązany wokół głowy niebieski cętkowany szal, który zsunął się na twarz. Cisnęło nią w górę, po czym upadła na kamień. Wiatr zrzucił masę lepkich żółtych brzoźowych liści, które pokrywały teraz nieruchome ciało. Emilsson ukląkł, ostrożnie wziął ją za ramiona i odwrócił tak, że leżała na plecach. Rozwiązał szal i delikatnie zdjął go z jej twarzy.

- Kto to jest? - wyszeptał Pelle Mird.

Mans wpatrywał się w okrągłą twarz o trochę nieregularnych rysach, z rozchylonymi ustami i zamkniętymi oczami, co sprawiało, że była anonimowa i bez wyrazu.

- Nie wiem - wymamrotał. - Zupełnie nie wiem...

Przeszedł drogą kilka kroków do tyłu, a gdy Rickard Tureson objął go ramieniem, rozplakał się.

## 3

### Piątek, 11 października

Georg i Erik bez słowa zaczęli podnosić kobietę z mokrej ziemi. Była ciężka, świadczyły o tym ich przyspieszone oddechy, gdy zdolali ją unieść na tyle, że jej głowa oparła się na piersi Erika. Musieli nieść ją możliwie jak najostrożniej, nie wiedzieli bowiem, na ile poważne są jej obrażenia. W ciemnościach nie było nic widać.

- Co zamierzacie robić? - spytał przestraszony Rickard.

- Zabierzemy ją na stację i wezwiemy pomoc.

Powoli nieśli swoje ciężkie brzemię do autobusu. Manso wi minął gwałtowny atak płaczu, ale miał mdłości i nie mógł wsiąść do autobusu. Rickard pomógł mu wejść po stopniach. Georg i Erik ułożyli kobietę na podłużnym siedzeniu z tyłu. Pelle wszedł za nimi z jej torebką.

- Nie powinniśmy wezwać policji?

- Chyba najważniejsze, żebyśmy dotarli z nią do lekarza - odpowiedział Georg.

Przez chwilę panowała cisza. Manso stał ramieniem przy ramieniu między Andersem i Rickardem i patrzył na obcą twarz, tak przeraźliwie spokojną i, wydawało się, nie mającą im nic do powiedzenia. Erik przyłożył do jej skroni złożoną chustkę do nosa i na szybko przesiąkającej tkaninie ukazała się duża jasnoczer-

wona plama. Mans ponownie poczuł mdłości. Odwrócił się pośpiesznie i wtedy usłyszał głos Pellego:

- To nie ja prowadziłem!

Georg, który stał pochylony nad leżącą kobietą, wyprostował się.

- Ale teraz poprowadzisz - odezwał się.

Zwykle Pelle miał wprzymknięte powieki, które kryły jasnoblękitne tęczówki. W tej chwili jego oczy były rozszerzone ze strachu, twarz blada, zroszona potem.

- To ja prowadziłem. Nikt nic innego nie twierdzi - powiedział Mans najspokojniej, jak potrafił.

- Ja nie będę prowadzić! - wykrzyknął Pelle. - Cały czas mówiłem, że nie chcę jechać tą drogą!

- Pojedziesz - powiedział Georg cicho. - Musimy dojechać z nią do szpitala najszybciej, jak można. Nie rozumiesz tego?

- Jasne, ale ty sam możesz prowadzić. Albo MSns może jechać dalej.

- Będzie badanie na zawartość alkoholu we krwi i cała masa pytań.

Pelle wytrzeszczył na niego oczy.

- Mam odpowiadać za to, co się tu stało? Tylko dlatego, żeście sobie popili przy obiedzie? - zapał niemal i głos mu się załamał, ale Georg przerwał mu równie cicho jak przed chwilą.

- Nikt z nas nie będzie za nic odpowiadał, jeśli zrobisz, co mówię. To nie była wina Mansa, że ona jechała bez oświetlenia w ciemności. Mans jechał dokładnie tak samo, jak zwykle, ale jeśli wyjdzie na jaw, że myśmy przy obiedzie pili, to go zamkną, niezależnie od tego, na ile ona sama sobie zawiniła.

- Pospieszcie się teraz - poprosił nerwowo Rickard.

- Najważniejsze, żebyśmy zawieźli ją do miasta.

- Ja w każdym razie nie zamierzam brać na siebie winy za to, co się stało - powiedział Pelle z uporem.

- Nikt nie poniesie winy za to, co się tu stało, poza nią samą, bo w takiej ciemności jechała na rowerze bez światła, tylko rób, co mówię! - Po głosie Georga można było wyczuć, że nie

był przyzwyczajony do takiego oporu ze strony syna. - Ale jeśli nie zrobisz tego, co mówię, to wsadzą cię równie dobrze jak nas. Istnieje coś takiego jak współudział.

- W czym współudział? - wykrzyknął Pelle. Słysząc było, że jest bliski płaczu.

- W prowadzeniu pojazdu w stanie nietrzeźwym.

Mdłości ustąpiły i nagle MSnsa ogarnął wstyd. Klepnął Georga po ramieniu, by przepuścić go w wąskim przejściu.

- Ja poprowadzę - powiedział.

Georg spojrział na niego. Twarz mu pociemniała z gniewu, a żyły na skroniach nabrzmiały.

- Nic takiego, do diabła, nie zrobisz - odezwał się szybko.

- Nie możemy dłużej tu stać i dyskutować. Trzeba ją zawieźć do szpitala.

- Znajdzie się tam.

- Więc ją zawiozę. To moja sprawa.

- Nie - odparł Georg. - Pojedziemy tam wszyscy razem.

Odwrócił się, oczekując poparcia. Anders Flod usiadł obok nieprzytomnej kobiety i ułożył jej głowę na swych kolanach.

- Jedź już - poprosił.

Georg wzruszył ramionami, gdy MSns zajmował miejsce kierowcy. Kiedy autobus ruszył, przeszedł do tyłu, by usiąść, przedtem jednak zatrzymał się obok Pellego.

- Do diabła! Ależ z ciebie tchórz - powiedział cicho i bardzo wyraźnie.

Nie wyglądało na to, by te słowa coś zmieniły. Pelle i tak już płakał.

Mans prowadził bardzo ostrożnie. Nogi tak mu drżały, że miał trudności z utrzymaniem stopy na pedale gazu. Drogą Kroktorpsvagen pozostało najwyżej kilkaset metrów jazdy, a postanowił nie prowadzić dalej niż do stacji. Tam muszą skombinować jakiś samochód, w najgorszym razie trzeba będzie poczekać na karetkę z miasta. Nie zamierzał jechać szosą autobusem, do czego nie był przyzwyczajony, w dodatku cały dygotał na skutek szoku. Tak daleko, jak do badania trzeźwoś-

ci czy przesłuchania policyjnego nie chciał i nie miał siły sięgać myślą. Wiedział jednak, że najlepiej byłoby, gdyby to Pelle siedział za kierownicą.

Las pojaśniał i Mins prawie zdążył dojechać już do szosy, gdy usłyszał głos Erika:

- Zatrzymaj się!

Nerwy miał tak rozstrojone, że próbował zatrzymać ciężki autobus niemal w miejscu, i znowu wpadł w poślizg, nad którym zapanował z wielkim trudem. Spojrzał do tyłu. Anders Flod nadal siedział z głową kobiety na kolanach, obok stał Erik.

- To już koniec - powiedział Anders cicho.

- Jesteś pewny? - spytał Rickard.

- Przypuszczałem to już wtedy, kiedy wnieśliśmy ją do autobusu. Ale teraz jestem pewny.

W zasadzie nikt nie wątpił w jego słowa. W odległym Giller-mossen trzeba było radzić sobie samemu, czy to przy porodach, czy w chorobach; śmieszne byłoby podejrzewać, że Anders nie potrafiłby orzec, kiedy na człowieka przychodzi koniec. Mimo to Mans, idąc do tyłu autobusu ku pozostałym, miał jakąś szaleńczą nadzieję, że Anders się pomylił.

- W takim razie nie ma wielkiego sensu jechać do miasta - odezwał się Georg cicho.

- Ale możemy chyba zadzwonić na policję. Ze stacji.

Po słowach Rickarda zrobiło się cicho. W jego głosie słychać było przygnębienie i niepewność.

- Zgaś światło w autobusie, Pelle.

Erik Emilsson stał ciągle pochylony nad kobietą i nie patrzył na Pellego.

- Możesz wyłączyć także reflektory.

Pelle uczynił, co Erik nakazał, i z początku zrobiło się ciemno jak w worku. Po chwili Erik zaczął mówić, a Mans niewyraźnie widział zarys jego twarzy.

- Uważam, że nie ma też wielkiego sensu dzwonić na policję.

Nikt nie odpowiedział i Erik zapalił zapalniczkę. Wyciągnął też fajkę i włożył ją do ust, ale sprawiał wrażenie, jakby chciał im się

przyjrzeć w słabym świetle, bo pozwolił zapałce spłonąć i musiał użyć nowej, by zapalić nią fajkę. Mówił spokojnie i z namysłem.

- Ta biedaczka jest przecież martwa i nic jej już nie może pomóc. Tego, że jechała przez las bez świateł, nie pojmuję. Pewnie do głowy jej nie przyszło, że mogłaby się na kogoś natknąć tu w lesie. Ja absolutnie nie mogę się z tym zgodzić, że bądź Mans, bądź my tu zawiniliśmy.

Mans przyznawał mu rację, ale jednocześnie czuł, że w jego rozumowaniu jest jakiś fałsz. Był skołowany i po doznanym szok, i od tej ciemności. Oczy Erika, które na moment zabłyśły w świetle zapałki, wydawały się czujne, gdy napotkały jego wzrok. Nagle ogarnęło go nedorzeczne uczucie strachu przed Erikiem, nie miał jednak pojęcia, dlaczego miałby się go bać.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał.

- Nic - odparł Erik. - Nie na wiele się zda robienie teraz czelegokolwiek. Zostaniemy tylko wsadzeni za coś, czemu wcale nie jesteśmy winni.

Wyprostował się.

- Podnieście ją - rozkazał.

- Co ty zamierzasz zrobić? - spytał Rickard.

- Nic. To my zrobimy. Ty także - dodał, rzuciwszy okiem na Pellego Marda, który odsunął się trochę. - Chwyć tutaj. Położymy ją przy drodze i jedziemy do domu. Nie ma nikogo, kto widział autobus.

- To nie w porządku - odezwał się Pelle piskliwym głosem.

- Nie? A co pomoże, że ona znajdzie się szpitalu?

- Jedyne, co osiągniemy, to że MSns trafi do więzienia za prowadzenie w stanie nietrzeźwym - powiedział Georg. - A my będziemy sądzeni za współudział.

Erik uniósł ciało kobiety. Chciał, żeby wszyscy mu pomogli. Był żenująco skrupulatny pod tym względem i Mans odczuł niechętny podziw, patrząc, jaki jest spokojny i trzeźwo myślący. Pozostali wydawali się oszołomieni lub przestraszeni - trzeba powiedzieć, że Anders Flod nie dał po sobie niczego poznać. Baczny spojrzeniem wodził kolejno po ich twarzach, a prze-

zroczyta kropla, wisząca przez cały czas na czubku jego nosa, nie spadła.

- Wynieśmy ją trochę dalej na szosę, a potem w bok - po wiedział Erik. - Nie chcę żadnych śladów autobusu w pobliżu.

Do szosy nie pozostało więcej niż trzydzieści metrów, ale był to trudny kawałek do przejścia. Erik zatrzymał się i rozejrzał dookoła, zanim ruszył w kierunku stacji. Droga tonąca w ciemności była pusta. Nad słuchiwali odgłosu jadących samochodów, ale słyszeli tylko oddech świerkowego lasu w mroku. Erik doszedł aż do następnego skrzyżowania z drogą boczną. Prowadziła w górę do niewielkiego szałas w lesie, zwanego Nipparbol. Przed stojącym u wejścia do Nipparbol stołkiem na bańkę z mlekiem Erik zatrzymał się z ciałem kobiety, którą niósł cały czas z pomocą coraz to innego z nich. Jeśli był zmęczony, nie dawał tego po sobie poznać. Uważnie nad słuchiwał tylko nadjeżdżających samochodów. Wspólnie z Georgiem ułożyli kobietę na poboczu w taki sam sposób, jak leżała na Kroktorpsvagen. Mans odwrócił wzrok, by nie patrzeć na dokładność, z jaką dbali, żeby ciało znajdowało się w takiej samej pozycji jak przedtem.

Erik nie odezwał się słowem, gdy skończyli. Pospiesznie ruszył przodem do autobusu. Gdy do niego dotarł, zwrócił się do Pellego:

- Możesz jechać? Czy za bardzo się trzęsiesz?

- Chyba mogę - odparł nieoczekiwanie Pelle.

- W takim razie cofnij o jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Trochę trudno w ciemności, ale powinno się udać. Jest tam miejsce składowania brzoźowego drewna, gdzie chyba da się zawrócić. Musi się zresztą dać. Nie możemy zostawić śladów autobusu na szosie.

MInś zaraz po wejściu do autobusu opadł na siedzenie i przy mknął oczy. Wyczuwał, że Pelle wolno jechał na wstecznym biegu, i słyszał Erika wykrzykującego wskazówki z zewnątrz, żeby autobus nie zjechał z drogi. Cały długi i skomplikowany manewr zawracania słyszał jak przez mgłę. Gdyby Pelle zjechał autobusem z drogi i utknął na poboczu, nie mieliby dużej szansy, by wy-



brnąć z tej sytuacji. Nie był jednak w stanie interesować się tym, co będzie. Ogarnęło go tak przemożne zmęczenie, że nie chciał się ruszyć, gdy Rickard potrząsnął jego ramieniem, mówiąc, iż są na miejscu przy Stora Nybygget i ma wysiadać.

Z początku nie zamierzał iść z nimi. Stał przed willą i powiedział, że chce iść do domu położyć się. Powstrzymał go Erik.

- Teraz wejdiesz z nami. Musimy poczekać na Klasa Bodina.

- Co to da?

Erik nie odpowiedział, póki nie znaleźli się w hallu. Wtedy odwrócił się i w chłodnym świetle lampy powiodł po nich wzrokiem.

- Najmądrzej zrobimy, jeśli o wszystkim zapomnimy najszybciej, jak można - powiedział wolno. - Rzecz jasna nie ma mowy, by o tym z kimś rozmawiać.

Mansowi wydawało się, że patrzy na niego, i odwrócił wzrok.

- Najbardziej zaszkodzi sam sobie ten, kto by o tym opowiadał - ciągnął Erik. - Bo wszyscy jedziemy na jednym wózku. Nie wiem, co o tym myślicie. Poza tym, że naturalnie jest to cholernie paskudna i nieprzyjemna sprawa. Ale odnoszę wrażenie, że ty, Mans, i jeszcze paru z was ma wątpliwości, czy dobrze robimy. A w takim wypadku, moim zdaniem, zachowajcie je dla siebie. I zapamiętajcie jedno - jej nie mogliśmy w żadnym razie pomóc.

Tak długiego wystąpienia nigdy jeszcze nie słyszeli z ust Erika Emilssona. Wyglądało jednak, że jest to jego ostatnie słowo w całej sprawie. Gdy weszli do salonu Georga, w milczeniu nalał sobie grogu i wypił. Georg rozlał pozostałym, ale Mans z początku nie chciał.

- Wypij jednego - zwrócił się do niego Georg. - Jesteś bładny i wydajesz się przemarznięty.

Wszyscy wyglądali nieszczególnie w świetle stojącej na stole lampy z zielonym abażurem. Mans doznał dziwnego uczucia, jak gdyby tych pięciu mężczyzn widział po raz pierwszy w życiu.

Miał świadomość, że odbiera wrażenia w sposób ogromnie wyostrozony, po części doznany szokiem, a po części tym, iż od momentu, gdy zaczęli wracać do autobusu spod Nipparbol, wszystko docierało do niego jak przez mgłę. W dodatku ich dobrze znane twarze wydały mu się nagle obce, bo wszystko widział jakby przez co chwila odwracaną lornetkę - to wyraźnie, ze szczegółami, to z wielkiej odległości. Jedyne Georg wyglądał jak zwykle. Nałana twarz była silnie zaczerwieniona - z wściekłości, z zadowolenia po dobrym obiedzie, a może z wysiłku, po którym jego krępe masywne ciało pokryło się potem. Włosy były całkowicie białe, choć dopiero niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, oczy miały chłodny jasnyniebieski kolor jak przezroczysty lód i nie zmatowiały, choć minęło czterdzieści lat od czasu, gdy ten błękitny błysk sprawiał, iż topniały dziewczęce serca na parkietach w całej okolicy. Georg miał śmieszne usta. Nigdy wcześniej Mans tego nie dostrzegł. Górna warga była naprężona i wąska, gotowa do zaciśnięcia, dolna zaś pełna i pulchna. Usta, podobnie jak oczy, wyglądały niemal impertynencko w podstarzałej twarzy. W jakiś sposób Pelle był podobny do swego ojca, mimo że sylwetkę miał szczupłą, twarz bladą, a po matce odziedziczył pewną posępną wiotkość. Mans pamiętał ją z dzieciństwa jako kobietę pokroju Valborg, ale w łagodniejszym wydaniu.

Pozostali zaczęli znowu rozmawiać o polowaniu. To, co się wydarzyło w lesie, wydawało się raz na zawsze zamknięte, wyjaśnione i nie było potrzeby tego wałkować. Ale rozmowa od początku toczyła się powoli i między słowami zapadały przerwy. Pelle nie brał w niej udziału. W ciągu pół godziny wlał w siebie więcej whisky, niż zdołał skosztować łącznie przez całe swoje życie, podejrzewał Mans. Zdawało się, że jedynym tego rezultatem był fakt, iż jego obrzmiałe powieki stały się jeszcze cięższe. W końcu usnął spokojnie w rogu sofy, nie wypowiedziawszy jednego słowa od chwili, gdy znaleźli się w Nybygget. Spał teraz z na wpół uchylonymi wilgotnymi ustami, pochrapując cicho.

Najwięcej mówił Anders Flod. Spokojnym głosem ciągnął kilka starych historii, które wszyscy znali. Zanim dochodził do punktu kulminacyjnego, rechotał cicho sam do siebie i był to jedyny śmiech, który tego wieczoru nagradzał jego gawędziarski kunszt. Mans zastanawiał się, czy Anders w ogóle odczuwał coś w związku z tym, co im się przydarzyło. W każdym razie z jego podługnej twarzy z wiecznie wiszącą kroplą na czubku nosa nie można było niczego wyczytać. Wydawało mu się, że znał Floda, i to dobrze. Chętny do pracy sknera, a jedyna przyjemność, na jaką sobie pozwalał, to taka, której nieuchronnym rezultatem była nowa mysz z Sideł, potrzebująca ubrań, jedzenia i butów. Anders był niski i żyłasty, węzłaste mięśnie miał twarde jak żelazo. Ciemnych włosów po pięćdziesięciu latach pocenia się pod roboczą czapką nie zostało zbyt wiele. Stale nasunięta cyklistówka sprawiała, że czoło było białe, a kark brunatny jak z brązu i pomarszczony. Zdawało się, że po prostu zaakceptował tę niezwykłą sytuację, w jakiej się znaleźli, tak samo, jak godził się z większością diabelstw, które życie miało dla niego w pogotowiu. W każdym razie nie roztrząsał tego, co minęło. Ale gdy opowiadał stare historie, jego wyblakłe niebieskie oczy były czujne. Od czasu do czasu rzucił Mansowi spojrzenie, tak że ten umykał wzrokiem.

Erik Emilsson nie obdarzył Andersa najmniejszym uśmiechem, ale czasem korygował jakiś szczegół opisywanego wydarzenia. Milczący i wysoki, cieszył się oczywistym autorytetem. Miał niemal dwa metry wzrostu, brązowe oczy i regularne rysy południowca, które w jego młodości uważano za cygańskie. Mansowi przyszło na myśl, że słyszał, iż leśniczy w ogóle miał cygańską naturę w młodzieńczych latach. To było jednak dawno, teraz jego hałaśliwość stepiła cisza lasu i nabyta rozwaga. Ludzie mówili czasem, będąc pod wrażeniem jego imponującego wzrostu, że miał dłonie niczym szuffe lub klapy klozetowe. Niesłusznie. Były wyraźnie większe niż innych, ale ładne i kształtne. Miał pewną słabość, która bawiła ludzi, ale nigdy nie mówiono o tym w jego obecności. Otóż w leśniczówce gospodynie zmieniały się co roku, czasem co miesiąc. Wszystkie miały

jedną cechę wspólną, niewiele wiedziały o prowadzeniu domu, ale zawsze były młode i powabne, aż miło. Kilka z nich odznaczało się energią i silną wolą, nic to jednak nie pomogło. Żadna nie zdołała uwikłać go w coś podobnego do małżeństwa.

Rickard Turesson, choć niepozorny, pod tym względem okazał się równie mądry jak Erik. Rickard miał w sobie coś niemal kobiecego i zabawna była myśl, że w Rasby jest on takim kogutem już od ponad dwudziestu lat. Gdy zmarł ojciec rodzeństwa Bodin, Rickard pracował w biurze kopalni i chętnie widziano go w domu Bodinów. Klas Bodin zgodził się odsprzedać przypadającą na niego część podupadłego przedsiębiorstwa, a Rickard zajął się finansami jego sióstr. Pomógł im sprzedać bankrutującą kopalnię i zorganizować egzystencję tak, by mogły zatrzymać biały dom nad jeziorem. Teraz prowadzą tam skromny pensjonacik. Położenie domu jest atrakcyjne dla turystów, a zabudowania gospodarcze staroświeckie i podniszczone, co nadaje im szlachetny wygląd.

Pierwszych piętnaście lat spekulowano zaciekle, z którą z sióstr Klasa Rickard się ożeni. Fanny miała wyraźnie kilka lat więcej niż Rickard, ale była inteligentniejsza i wiedziała, czego chce. Ładniejsza była naturalnie Clara, jego równolatka. Rickard trzymał wszystkich - włącznie z siostrami - w niepewności i z charakterystyczną dla niego chytrą życzliwością lawirował tak, że nikt nie miał pewności, która to będzie. Teraz ludzie już od dawna wiedzieli, że żadna. Nie ulegało kwestii, iż Rickardo-wi najlepiej było tak, jak jest. Z latami, prowadząc w Rasby zdrowy tryb życia, stał się nieco okrągłyjszy, ale nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat. Twarz miał gładką i dość przystojną, o miękkich wargach i prostym nosie. Bujne ciemnoblonde włosy, lekko przyprószone siwizną, układał w falę nad czołem.

Teraz Rickard się bał, było to widoczne, gdy siedział, kręcąc swoją szklanką i z roztargnieniem próbował śledzić rozmowę z bladym uśmiechem, tym razem nie sięgającym oczu. Że Rickard nigdy nie wpadłby na taki pomysł, jak Erik, było oczywiste. Ale równie jasne było to, iż musi go akceptować.

Taka historia mogłaby spowodować katastrofę, która zburzyłaby dwadzieścia lat układnej i ostrożnej pracy mającej na celu umocnienie jego pozycji. Trudno przypuścić, by siostry chciały go z powrotem w Rasby po rozprawie sądowej i wszystkim, co się z tym wiązało. Obie szalenie rygorystyczne w sprawach moralnych, były aktywnymi działaczkami kościoła, wyznającymi poglądy konserwatywne.

Dla MInsa sprawa przedstawiała się inaczej. Wiedział, że o tym, co się wydarzyło na leśnej drodze, mógłby opowiedzieć Evie. Ona by mu pomogła i w jakiś sposób wybrnęliby z tego. Ale wszystkiego, co wydarzyło się później - co zaproponował Erik i na co pozostali wyrazili zgodę, angażując się w przenoszenie, a potem układanie ciała obok stołka do odstawiania mleka w Nipparbol - tego nie mógłby jej opowiedzieć.

Nie potrafił stwierdzić, czy żałuje. Był zbyt oszołomiony i przybity, by wiedzieć, czego właściwie chce. Uważał, że takie siedzenie i mielenie językiem dla wytracenia czasu nie miało sensu. Zaczął kołysać szklanką dokładnie jak Rickard, nagle jednak wychylił ją jednym haustem i chociaż Georg mówił o czymś, co wydarzyło się przed laty na polowaniu na sarny, Mans odezwał się głośno:

- Co, do diabła, będziemy teraz robić?

Na chwilę zrobiło się cicho. Popatrzyli na niego. Anders zamrugnął z irytacją.

- Robić? Co przez to rozumiesz?

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Ale czyż nie było oczywiste, że muszą coś zrobić? Przecież nie mogą tylko siedzieć jak kupa nastroszonych wron i myśleć o tym, co się stało, podczas gdy usta miały o czymś innym. Po chwili odezwał się Georg, spokojnie i karcąco, jak gdyby mówił do dziecka.

- Nic nie będziemy robić. Chyba to rozumiesz?

M&ns otworzył usta, by wyłuszczyć swoje racje, ale nie zdążył. U wejściowych drzwi rozległo się stukanie. Ktoś walił pięścią. Mansowi nagle zrobiło się sucho w ustach, a całe ciało

zrosił pot. To było niemal takie samo uczucie, jak wtedy, gdy poczuł uderzenie autobusu i usłyszał dźwięk blachy, która zgrzytnęła o rower.

- To oczywiście Klas - stwierdził spokojnie Georg i poszedł otworzyć.

Tak naturalnie było i Mans przez moment zawstydził się swego strachu. Słyszał, jak Georg hałaśliwie wita Klasa Bodina w hallu, a po kilku minutach wszedł pies, którego Klas przywiózł Rickardowi. Biegał dookoła, zaszczekał nerwowo i mimochodem popuścił kilka kropel na nogę osławionego fortepianu, który przyniósł pecha w życiu towarzyskim również Bajowi. Po chwili w drzwiach stanął Klas. Sapał zmęczony po blisko czterech kilometrach marszu w ciemności, eleganckie brązowe półbuty i wyprasowane tweedowe spodnie miał zapaćkane gliną i błotem.

- Co z wami? Tak sobie siedzicie?

Był przysadzistym, korpulentnym mężczyzną o szarych oczach, takich samych jak jego siostry Fanny, które rzucały szybkie spojrzenia. Mansowi przyszło na myśl, że Klas wie, iż coś się wydarzyło.

Podczas gdy Georg nalewał mu whisky, pozostali siedzieli zmieszani w milczeniu. To nie było normalne. Musiało to do niego dotrzeć.

- Zapomnieliście, że mieliście mnie odebrać?

Głos był ostry, ponieważ ciągle jeszcze z trudem łapał oddech po marszu.

Erik, który przez dłuższą chwilę milczał, odchrząknął:

- Nie zapomnieliśmy - odparł. - Tylko tak się stało, że nie mogliśmy pojechać cię odebrać.

- Nie mogliście?

Wydawał się rozbawiony, zupełnie jak gdyby czterokilometry marsz w czasie wichury z opierającym się psem i ciężką walizką w gruncie rzeczy nic dla niego nie znaczył. Może bawiło go ich zażenowanie. Mans nie potrafił go rozgryźć.

- Nie było nikogo, kto mógłby prowadzić - ciągnął Erik.

- Co ty, do diabła, wygadujesz? Nikt nie potrafi prowadzić samochodu?

Roześmiał się, a jego oczy lustrowały ich jednego po drugim, z rozbawieniem, ale uważnie.

- Nie - odezwał się Georg i wyszczerzył zęby. - Tylko siedzieliśmy tu i całkiem zdrowo sobie popiliśmy.

- Coś takiego? Nagle zrobiliście się tacy akuratni! Nie sądziłem, byście byli z tego szczególnie znani w okolicy.

Gdy nikt się nawet nie uśmiechnął, opróżnił szybko szklanekę i odstawił ją z traskiem.

- W każdym razie to paskudna pogoda na chodzenie pieszo.

- Ale chyba nie pada? - spytał Rickard. - Siedzieliśmy tu przez cały wieczór, tośmy nie widzieli.

Mans napotkał jego wzrok. To było zwyczajne spojrzenie, typowe dla Rickarda, przyjazne i troszkę nieuważne. Ale popełnił kłamstwo i wiedział o tym, zanim je głośno sformułował. Było to ich pierwsze i skuteczne kłamstwo. Mans od wielu lat wchodził w skład tej grupy łowieckiej. Ale myślał, że do niej przynależy, nigdy przedtem nie wywołała w nim tak nieprzyjemnego uczucia.

Wyszedł pół godziny po przyjściu Bodina. Było wpół do drugiej, gdy dotarł do Vinterrónningen i dom stał cichy i ciemny. Śpiewka powarkiwiała w sionce przed kuchnią, ale uspokoił ją, gwizdnawszy cicho. Eva spała, więc bezszelestnie wsunął się do łóżka. Chciał spać, spać i następnego ranka próbować zachowywać się normalnie, spotkać wzrok Evy i odpowiedzieć, że było miło.

Leżał w ciemności w niespokojnym półśnie i myślał o tym, że może już znaleźli kobietę. W każdym razie znajdą ją rano i skonstatują, że została potrącona przez jakiś samochód, przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku, albo przez kogoś, kto nie zauważył, co się stało.

Już niemal zapadał w mętny stan między snem a półjawą, kiedy wstrząsnął nim dreszcz i zbudził się. W jednej chwili był tak niesamowicie rozbudzony, jak gdyby nastał jasny dzień.

Rower, pomyślał. Przed oczyma stanął mu rower ze zdemolowanym przednim kołem i wgniecioną kierownicą. Znajdą go także. Znajdą go na leśnej drodze i po śladach dojdą do kobiety. Śladach autobusu na gliniastej Kroktorpsvagen, śladach ich stóp, które pozostawili, chodząc wokół miejsca wypadku, i śladach po ostrożnych manewrach Pellego przy składowisku brzoźowego drewna - leżąc z otwartymi szeroko oczami w ciemnej, chłodnej sypialni, wybrażał sobie wszystko jasno i wyraźnie. Nie znajdował żadnego wyjaśnienia, dlaczego zapomnieli o rowerze. Żadnego innego wyjaśnienia poza paniką. To była jego pierwsza bezsenna noc.



## 4

**Sobota, 12 października Niedziela,  
13 października**

Gdy wstał rano, miał jasno sprecyzowany plan.

- Pojadę na stację zobaczyć, czy nie przyszły ostrza do piły  
- odezwał się do Ewy.

- Nie mogą być wcześniej niż na początku tygodnia.

Takiej uwagi się spodziewał. Eva była zorganizowana i niczego nie zapomniała. Wypił duży łyk gorącej kawy, po czym skłamał.

- Prosiłem, by przysłali ekspresem.

Ta odpowiedź jej wystarczyła, bo niby dlaczego miałyby być inaczej?

- Nie chcesz kanapki do kawy?

Kiedy odmówił, spojrzała na niego szybko.

- Chyba nie czujesz się dzisiaj najlepiej?

- To widać?

- Popatrz w lustro.

Uczył to, wiążąc krawat. Mans miał twarz sympatyczną i wyglądał bardzo młodo przy swoich trzydziestu dwóch latach. Sytuację ratował okazały nos Westlingów, który wzbudzał pewien respekt mimo skorych do uśmiechu ust i jasnych, po chłopięcemu rozwichrzonych włosów.

Tego ranka mimo zmartwienia musiał leciutko się uśmiechnąć, patrząc na własną twarz. Wyglądał tak, jak wtedy, gdy pierwszy raz przebalował całą noc i potem tego żałował.

Zapragnął zadzwonić do Erika Emilssona i spytać, czy on też przypomniał sobie o rowerze. Było to jednak niewykonalne, ponieważ Eva cały czas krzątała się w kuchni i mogła słyszeć każde słowo powiedziane do telefonu w hallu. Poza tym raczej nie przypuszczał, by Erik chciał rozmawiać o wypadku. To jednak śmieszne, niby tak chłodno kalkulował, a okazał się na tyle zdenerwowany, że zapomniał o rowerze.

Mieli stare volvo duetta, który stał razem z traktorem i innymi maszynami w szopie przebudowanej na garaż. Wyjechanie tyłem spośród rupieci tak, by na coś nie najechać, zawsze sprawiało trudność. Tego dnia, gdy siadał za kierownicą, tak go to zniecierpliwiło, że się zdenerwował, a wtedy zupełnie niepotrzebnie cofnął i uderzył w kosiarkę tylnym prawym błotnikiem, w którym zrobiło się spore wgłębienie. Przez chwilę miał ochotę zostawić to wszystko w diabły, na pastwę losu. Przypuszczalnie i tak już wyjeżdżał za późno.

Mimo wszystko ruszył. Zanim wyjechał na szosę, zapalił papierosa i pozwolił, by wyprzedził go przejeżdżający tir. Dał mu kilka minut przewagi, po czym skierował się w tę samą stronę. Nie chciał, by go ktoś zobaczył, jak jedzie Kroktorpsvagen. Przy Stora Nybygget nie zauważył żadnego ruchu, ale spostrzegł, że nie ma wszystkich czterech autobusów. Rozkład jazdy w sobotę był długi i Pelle naturalnie jeździł jak zwykle. M&ns był ciekaw, jak on się czuje.

Przy dziennym świetle widać było, jak w rzeczywistości wąska jest Kroktorpsvagen. Wydawało się niemożliwe przejechać tędy autobusem, ale przecież to zrobił, więc wiedział, że się dało. Nic innego poza autobusem nie mogło się na drodze zmieścić. Gdy dotarł do miejsca, gdzie znaleźli kobietę, żadnego roweru przy drodze nie było. Chociaż przez cały czas podejrzewał, że wybrał się za późno, nie chciał teraz uwierzyć, iż go nie ma. Powoli przejechał jeszcze kawałek, żywiąc słabą

nadzieję, że zauważy drugie miejsce, gdzie bezlistna brzoza pochyla się nad kamieniem tuż obok drogi, i że to będzie to właściwe. Gdy dojechał do składowiska brzozowego drewna, gdzie Pelle zawrócił autobusem, wrzucił wsteczny bieg i pomimo wszystko był zadowolony, że przejeżdża jeszcze raz po śladach kół autobusu, które przerażająco wyraźnie zostały odcisnięte w glinie.

Wrócił do brzozy i kamienia. Musiał się upewnić, że to jednak było tu i że rower zniknął. Co by zrobił, gdyby go znalazł, nie bardzo wiedział. Przedtem zastanawiał się wprawdzie chwilę, czy by nie zaciągnąć go w las i spróbować zagrzebać w torfowisku. Albo, gdyby to się nie udało, schować pod kupą chrustu. Dziwna rzecz, poczuł pewną ulgę, że nie musi tego robić. Teraz w każdym razie sprawa była rozstrzygnięta. Kobieta została znaleziona trochę dalej kilka godzin temu, więc jeśli ktoś potem znalazł rower, jest tylko kwestią czasu, kiedy zrozumieją, jak do tego doszło. Policja przybędzie tu skierowana przez tego, co znalazł rower. Zmierzą ślady kół, odrysują bieżnik i prędeż czy później przyjdą na górę do Nybygget zapytać MSrda, czy mogliby rzucić okiem na jego autobusy.

Że sam tu się znalazł i tam i z powrotem jeździł po śladach odcisniętych w glinie, nie miało znaczenia. Zidentyfikują także odcisk opon volva. Nie miał tu nic do roboty, równie dobrze mógł wracać do domu i zadzwonić do Mirda czy Erika Emilssona i poprosić ich, by także zgłosili się na policję, zanim będzie za późno.

Nerwowe napięcie opuściło go i gdy jechał w górę szosy, czuł tylko dziwną tępą ulgę, w głowie miał pustkę. Choć dobrze pamiętał to miejsce, mimo wszystko podjechał do Nipparbol i zatrzymał się obok stołka do odstawiania mleka. Ciała kobiety nie było, ale nadal mógł dostrzec jego odcisk na zwiędłej trawie i zgniecionych liściach, które poskręcały się zwarzone mrozem. Wyglądało tak, jakby cała masa ludzi chodziła wokół stołka. Wrzucił wsteczny i cofnął się w górę drogi Nipparbol, po czym zawrócił i szosą pojechał obok kościoła i szkoły do domu. Nie miał ochoty oglądać więcej Kroktorpsvagen.

Po powrocie do domu kilkakrotnie dzwonił do Erika Emilssona, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Spróbował do dzwonić się do M&rda, ale odebrała Valborg i powiedziała, że Mard wyszedł i nie spodziewa się go wcześniej niż na obiad. Znów ogarnęło go nerwowe napięcie, bo godziny mijały. Nie mógł zgłosić wypadku na policję przed skontaktowaniem się z pozostałymi. Wiedział jednak, że należy to zrobić, zanim prawda zostanie odkryta, jeśli nie chcą wpaść jeszcze bardziej. Nie mógł zabrać się do niczego i spostrzegł, że Eva go obserwuje. Wydawała się ubawiona i prawdopodobnie sądziła, że to kac. Wiedział też, że sytuacja się nie poprawi, kiedy z czasem wszystko wyjdzie na jaw.

Nadal dzwonił na obydwa numery w nadziei, że może Georg albo Erik już wrócili. Anders Flod nie miał telefonu, a dzwonienie do Rickarda uznał za bezsensowne. Obaj i tak nie mogliby niczego postanowić na własną rękę. Rickard prawdopodobnie starałby się odsunąć od siebie całą sprawę i ludziłby się nadzieją, że wszystko będzie dobrze. O dziwo, on sam najchętniej zrobiłby tak samo. Po południu to uczucie stało się tak silne, że w gruncie rzeczy był zadowolony, iż do nikogo nie udało mu się dodzwonić. W końcu zaprzestał telefonowania. Z mglistym uczuciem, że wszystko się ułoży i że nigdy więcej nie usłyszy o wypadku, wszedł do kuchni na popołudniową kawę.

Unosił się tu zapach świeżego pieczywa i było tak gorąco, że Eva miała rozpalone policzki, a na sobie bluzkę bez rękawów. Albinsson, który zatrudniony na stałe stanowił ich jedyną siłą roboczą, rozsiadł się już nad tacą pełną słodkich bułeczek, a chłopcy, wróciwszy właśnie ze szkoły, dosłownie pękali z niecierpliwości, by podzielić się wiadomościami. Hassę chodził do pierwszej klasy i teraz opowiadał Evie o tym, co robili na godzinie wychowawczej. Odgadywali zagadki. Ale Goran, cztery lata od niego starszy, znał odpowiedzi na wszystkie.

- Mogę dostać jeszcze czekolady? - poprosił.
- Wiesz, co to jest? - spytał podniecony Hassę. - W środku

czarne i czerwone... nie, w środku czerwone, a czarne na zewnątrz i jest ich dwa.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała szczerze Eva.

- Kalosze!

- Kalosze! - powtórzył Goran. - To chyba niezbyt pomysłowe! Kto nosi takie kalosze?

- Ale tak powiedziała pani.

- Tak, ona pewnie nosi kalosze. Wielkie jak dom.

- To zagadka! Głupi jesteś!

- Nie kłóćcie się - poprosiła Eva. - Lepiej powiedz jeszcze jedną zagadkę, Hasse.

- Łata na łacie, ale bez żadnego szwu - wyrecytował Hasse natychmiast.

Goran schwycił bułeczkę, zanim ślamazarny Albinsson zdążył sięgnąć ręką do tacy.

- Jedna pani została przejechana przy stacji - powiedział.

Mans rozlał trochę kawy na spodeczek, nim zdołał postawić filiżankę. Myślał, że w kuchni zapadnie cisza, ale Eva odezwała się natychmiast:

- O Boże, co jej się stało?

- Nie żyje.

- Łata na łacie, ale żadnego szwu, mama - naprzykrzał się Hasse.

- Stwierdzono, że to był wypadek - powiedział Albinsson. - Ja też o tym słyszałem.

- Napisali o tym w gazecie! - triumfalnie oznajmił Goran.

- Biegnij i przynieś gazetę, Hasse. Pewnie już jest.

Mans miał ochotę im przeszkodzić, ale nie wiedział, co powiedzieć.

- Okropne, ile wypadków zdarza się na drogach - odezwała się Eva, ale jej słowa nie docierały do niego.

- Najpierw zgadnij, mama!

- Łata na łacie... nie, nie wiem. Zadajesz trudne zagadki.

- Kapusta! Kapusta! - wykrzyknął Hasse i pędem wybiegł przez kuchenną sionkę.

MSns śledził go wzrokiem przez całą drogę do skrzynki pocztowej. Widział, jak wyłowił z niej dziennik i wymachując nim, biegł z powrotem. Nagle zboczył w kierunku kartofliska i M&ns nie mógł dostrzec, co robi. Rozmowa Ewy z Goranem złała się w jednostajny gwar, który docierał do jego uszu.

- To było na drodze do stacji, tuż przedtem, nim się skręca do Nipparbol, wiesz gdzie. Pojechaliśmy tam na rowerach w czasie przerwy śniadaniowej, żeby zobaczyć, ale nic nie było widać.

- Skąd wiedzieliście, że to było właśnie tam?

- Bo to tata Kenta ją znalazł, kiedy dziś rano jechał z mlekiem.

- Znalazłem mojego forda taunusa!

Hassę wpadł i rzucił na stół w kuchni zardzewiałą i pobrudzoną ziemią zabawkę.

- Przecież to mój - zaprotestował Goran, podczas gdy Eva rozkładała gazetę. - To jest przecież mój ford fairline.

- To jest taunus. Patrz, co tu pod spodem napisane! Ford taunus 17 M.

- Tylko ty tak myślisz. Przecież nie potrafisz czytać.

- Nie potrafię!? Co tu napisane, mama?

- Nie kłóćcie się o ten zepsuty samochodzik. Tu jest napisane ford taunus 17 M... Och... ten, kto spowodował wypadek, po prostu stamtąd odjechał.

Nie podniosła oczu znad gazety i MSns w duchu był jej za to wdzięczny. Musiał pochylić się do przodu i na kilka sekund zamknąć oczy.

- Ludzie zachowują się jak nienormalni - stwierdził Albinsson.

To była jedna z jego tez. Często znajdował okazję, by ją wygłosić.

- Naprawdę, żeby tak odjechać. Biedna kobieta - powiedziała Eva.

- Ford taunus 17 M! Teraz masz! Idź się zważ! Byłeś tłusty! Jesteś pusty!

- Tobie...

- Cisza! - odezwał się Mans.

Eva podniosła na niego wzrok. Posłała mu dziwnie badawcze spojrzenie - czy tylko tak mu się zdawało?

- Idźcie bawić się na dwór, dobrze? - powiedziała.

Chłopcy posłuchali jej. Wyglądali jednak na trochę zdeorientowanych.

- Mogę prosić o gazetę? - spytał Mans.

Usiłował odegnąć od siebie zainteresowanie artykułem, ale okazało się to niemożliwe. Dziennik otwierała ta sprawa, notatka nie zawierała jednak nic ponad to, czego można było oczekiwać.

*MIESZKANKA RASBY OFIARĄ DROGOWEGO PIRATA*  
*Mieszkanca Rasby, 43-letnia Svea Maria Hellberg, została znaleziona przy szosie niecały kilometr od stacji kolejowej Rasbyfor. Svea Hellberg, która przyjechała z miasta ostatnim pociągiem w piątek wieczór, według wszelkiego prawdopodobieństwa jechała na rowerze drogą w stronę Rasby, gdzie przed kilkoma tygodniami została zatrudniona w domu opieki. W ciemności zderzyła się z nieznanym pojazdem, w wyniku czego spadła z roweru i odniosła tak ciężkie obrażenia czaszki, że zmarła. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku i w sobotę w godzinach przedpołudniowych jeszcze nie udało się go wytropić. Policja będzie wdzięczna za wszelkie informacje od osób mających jakiegokolwiek spostrzeżenia na temat ruchu drogowego w pobliżu stacji Rasbyfor po godzinie dwudziestej trzeciej w piątek wieczorem. Rower denatki, który znaleziono mocno zdemolowany, nie miał oświetlenia. Svea Hellberg, urodzona w Enköpingu, była wdową po maszyniście Afoarze Hellbergu. Pograżeni w smutku najbliżsi to jej rodzeństwo i ich dzieci.*

Złożył gazetę i oddał ją Evie. Bał się odezwać, ponieważ wiedział, że głos mu zadrży. Lakoniczne informacje o kobiecie i jej powiększone amatorkie zdjęcie nie sprawiło, że wydała

mu się bardziej żywa. Już na nieostrej fotografii wyglądała jak żyjąca śmierć - trudno mu było wyobrazić ją sobie jako człowieka funkcjonującego ponad czterdzieści lat, wdowę po mазyniście i ciotkę nieznanym siostrzeńców czy bratanków. Była nierzeczywista, ale czarna szpalta w gazecie nie pozostawiała wątpliwości. Wpatrywał się w słowo „pirat”, podczas gdy Eva przeglądała gazetę.

- Co się dzieje, Mans?

-Nic.

- Nie sądzisz, że to wstrętne? -

Tak.

Zauważył, że ona chce coś dodać na temat wypadku, przerwał jej więc gwałtownie.

- Masz jeszcze kawę?

- Mogę zaparzyć.

Goran przyszedł z podwórza, by wziąć kurtkę, która wisiała na oparciu kuchennego krzesła. Właśnie wychodził, kiedy Mans go spytał:

- Mówiłeś, że to tata Kenta znalazł tę kobietę?

- Tak. To było wcześniej rano.

- Leżał tam też rower?

- Jasne. Przecież napisali o tym w gazecie! Kent w drodze do domu wstąpił do sklepu i kupił gazetę, ale o jego tacie nic tam nie ma.

Mans pojął, że Kent miał dziś w szkole swój wielki dzień.

- Rower leżał obok niej?

- Jasne, że tak. Została przecież przejechana, kiedy jechała ze stacji na rowerze.

Czuł, że nie powinien zadawać więcej pytań. Eva przyrządziła kawę na kuchence, a jej plecy nic nie wyrażały.

- Dziękuję za kawę - odezwał się. - Idę teraz na chwilę do kancelarii. Mam parę spraw do załatwienia.

Teraz na niego spojrziała.

- Nie będziesz pił już kawy?

- Nie, dziękuję.



- Myślę, że Mans bardzo się przejął - stwierdził Albinsson.  
- Tak, ja też mówię, że ludzie zachowują się jak nienormalni. Ale zlituję się nad tymi kilkoma kroplami kawy.

Pokój na parterze, który wychodził na drogę i stało w nim jego biurko oraz mała czarna kasa pancerna, nazywany był kancelarią jeszcze za czasów ojca Mansa. Tutaj trzymał swoją broń myśliwską i swoje trofea, tak naprawdę wcale nie najgorsze, ale gdy Georg do niego wpadał, wstydził się ich, ponieważ były źle zakonserwowane przez jednego patałacha z miasta, którego jedyną zaletą był fakt, iż był tani.

Mans prowadził warsztat naprawczy, a do jego obowiązków należało też sporo pisaniny, był więc zmuszony sprawić sobie maszynę do pisania, na której powoli i dokładnie wystukiwał rachunki. Eva i chłopcy wiedzieli, że pracę biurową uważał za uciążliwą i, gdy mu się przeszkadzało, mylił się, po czym wykręcał papier i musiał wszystko zaczynać od nowa. Zwykle zostawiali go tam w spokoju. Usiadł przy biurku i przez długą chwilę nic nie robił. Przyjemnie było tak sobie siedzieć, nie czując badawczego spojrzenia na twarzy. Po chwili zobaczył chłopców wyjeżdżających na rowerach na drogę, ale jeszcze trochę trwało, zanim usłyszał trzaśnięcie drzwi kuchennych za Evą. Gdy nie zobaczył jej na podjeździe, odgadł, że wyszła tylko, by przynieść jajka, musiał się więc spieszyć. Wszedł do hallu i wybrał numer do Erika Emilssona. Gdy uzyskał połączenie z Erikiem, starał się wyrażać skrótowo.

- Czytałeś gazetę? -

Tak.

- To ty podłożyłeś tam rower?

-Nie.

Na tym się skończyło. Erik nie chciał rozmawiać. Wyraźnie nie był sam.

- Zostawmy to teraz - powiedział tylko.

Ale Mans nie chciał tego zostawić. Przez cały wieczór pilnował, by nie przepuścić okazji, kiedy będzie mógł wykonać telefon i nikt mu nie przeszkodzi, gdy więc w hallu na górze

został włączony telewizor, uznał, że to odpowiednia chwila, jeśli tylko postara się mówić cicho. Georg był równie niechętny jak Erik, aby rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

- Ja tam nie byłem - zapewnił go.
- Wysłałeś Pellego, by przeniósł rower?
- Nie. Jakim cudem udałooby mi się namówić na to Pellego?

Kiedy zadzwonił do Rasby, słuchawkę podniosła Clara Bodin. Nie był w nastroju do wysłuchiwanie jej paplaniny o wszystkim, co tylko możliwe pod słońcem, ale z Clarą nie dało się rozmawiać krótko. Chciała się dowiedzieć, jaką to sprawę ma do Rickarda o tak późnej porze, więc powiedział, że chodzi o polowanie. Gdy w końcu mógł porozmawiać z Rickardem, słychać było, że jest on zdenerwowany.

- Chciałem zadzwonić, ale to się okazało trochę trudne - powiedział. - Czy to ty tam byłeś i... no, wiesz.

Najwyraźniej nie mógł rozmawiać swobodnie, Mansa mdliło od tego wszystkiego, ale musiał kontynuować.

- Jeśli masz na myśli rower, to nie byłem ja.
- To nie był Erik ani żaden z Mardów.
- Wiem o tym.
- Erik nie chce o tym więcej mówić - dodał Rickard. Po głosie dało się wyczuć, że jest skonsternowany.
- Chyba ma rację. Nie mówmy o tym za wiele.
- W takim razie to był pewnie Anders.

Musieli się tym zadowolić. Anders nie miał telefonu, a żaden z nich nie mógł się wybrać do Gillermossen w sobotni wieczór. Wyglądałoby to zbyt dziwnie.

Mans był niemal zadowolony, kiedy kładł się spać. Anders najwyraźniej okazał się najroztropniejszy z nich i już w nocy albo bladym świtem wyruszył przenieść rower. Istniała możliwość, choć nie wspomniano o niej w gazecie, że policja zadowolila się tym, iż nieznany kierowca nie zauważył w ciemności kobiety na rowerze. Istniała niewielka szansa, że wszystko się ułoży i że z czasem będzie mógł zapomnieć o tej całej sprawie.

Gdy zgasił lampę nad łózkami, zauważył, iż wbrew jego przypuszczeniom Eva nie śpi. Leżał bez ruchu, próbując oddychać spokojnie i równo, ale nie dała się oszukać, bo nagle poczuł na twarzy jej rękę.

- MIns?

Leżała cicho, jej palec wskazujący przejechał po grzbiecie jego nosa. Po chwili przesunęła się do jego łóżka i leżała obok niego bez najmniejszego ruchu.

- MSns, kochany... powiedz, co się dzieje? Martwisz się czymś?

Mruknął, że jest zmęczony. Nic mu nie przychodziło do głowy. W końcu odprężyła się i po kilku minutach spała. Leżał na plecach, bojąc się drgnąć, by jej nie obudzić.

W niedzielę wieczorem niepostrzeżenie nadszedł od Gókkallan Gustaf Akerman. Oba domostwa leżały przy tej samej bocznej drodze, ale jego chałupa była odsunięta dwa kilometry w głąb lasu, więc Gustaf nie miał innych sąsiadów oprócz Westlingów. Kawę pijał chętnie jedynie w kuchni, a gdy ją dostał, nie mógł się nachwalić wypieków Evy.

- To najgorsze, że jak człowiek mieszka sam - zwierzył się - nieczęsto ma dobre ciasto do kawy.

Gustaf stale nosił ten sam uniform; niebieska bluza pod roboczą kamizelką z brunatnożółtego sztruksu i spodnie z szewcowa wepchane w sznurowane buty. Obok siebie na ławie położył stary, ale całkiem elegancki filcowy kapelusz, który kiedyś należał do ojca Mansa. Niewielką ilość kawy nalał na spodek i sączył przez kostkę cukru wepchniętą pod górną wargę przykrytą wąsem.

- Wyszedłem dziś rano, żeby się rozejrzeć - odezwał się, a wąs mu wibrował, gdy siorbał kawę. - Ale nie chciałem go wystraszyć. Teraz wiem w każdym razie, że przebywa koło Flymyran.

- Kto taki? - spytała Eva.

- Gustaf nie mówi o niczym innym, tylko o wielkim łosiu - zaśmiał się MSns. - Wymyślił sobie, że jest większy niż ten, którego Georg ustrzelił w pięćdziesiątym szóstym.

- Zobaczysz - powiedział Gustaw półgłosem. - Dopadniemy go.

- To nie takie pewne, że w ogóle go zobaczymy. One potrafią być chytne, te stare sztuki.

- Ja dobrze znam takie - ciągnął Gustaw. - Ale to zawsze zależy od tego, kto jest bardziej przebiegły. Pamiętam jednego, niesłychanie wprost perfidnego. To było dawno. Co najmniej ze dwadzieścia lat temu, tego samego roku, kiedy kupiłem pierwszego remingtona. Była wtedy jesień, ale nie wiem, jaki dokładnie dzień.

W tym samym momencie, gdy odstawił spodek i zbierał się do wyjścia, zadzwonił telefon.

- Zaczekaj, aż wrócę - poprosił Mans.

- Stary Gustaf może w tym czasie z pewnością wziąć jeszcze ciasta?

Mans podał mu tackę i poszedł odebrać.

To dzwonił Rickard, głos miał tak przestraszony, że Mansem szarpnęło i poczuł się znów wciągnięty w to wszystko, o czym nie chciał myśleć.

- Możesz wpaść na chwilę? - usłyszał.

- Jasne. To coś szczególnego?

- Nie, ale byłoby dobrze, gdybyś przyszedł. Musimy chyba pogadać o jutrzejszym polowaniu. Dzwoniłem już do pozostałych.

- Gustaf jest tutaj. To wezmę go ze sobą.

- Nie rób tego. - W jego głosie znów słychać było strach. - Najlepiej, jak przyjdiesz sam.

- Wydawało mi się, że wspomniałeś, iż mamy pogadać o polowaniu - powiedział Mans niepotrzebnie ostrym tonem.

- Oczywiście. Tylko że... no, porozmawiamy, jak przyjdiesz.

- Co jest? Nie możesz rozmawiać?

- Fanny i Clara są na odczycie w sali parafialnej - odparł Rickard. - Więc z tym nie ma problemu. Nic się nie wydarzyło. Tylko że Klas chce brać udział w polowaniu.

- Klas Bodin?  
- Tak - odpowiedział Rickard nerwowo. - Rozumiem, że to ci się niezbyt podoba. Mimo to wpadnij. Musimy o tym pogadać.

- Jeśli mamy rozmawiać o polowaniu, to chyba Gustaf powinien być także.

- Tak, tak. Ale nie tym razem. Mans, bądź tak dobry...

- O co tu chodzi? - wrzasnął Mans. Poczuł się niemile dotknięty dziwnym, pokrętnym telefonem Rickarda, niemile dotknięty i przestraszony.

- Klas nie chce, żeby Gustaf brał udział w polowaniu - powiedział Rickard pospiesznie, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

- On, do cholery, nie ma tu nic do gadania!

- Bądź tak dobry i przyjdź zaraz, Mans.

Rickard rozłączył się i Mans został ze słuchawką w ręce, cały aż gotował się z wściekłości. Musieli słyszeć w kuchni, jak wrzeszczał, bo gdy wszedł, Eva zapytała:

- A na co tym razem się zanosi?

- Nie wiem. Wpadnę na chwilę do Rasby.

- Chodzi o polowanie?

Nie mógłby przysiąc, ale czy w jej głosie nie brzmiał niepokój?

- Jasne. A o co innego?

Rasby leżało przy tej samej krętej drodze co Stora Nybygget i dom leśniczego, ale jechało się w kierunku północnym od Vinterrönningen, a potem ze dwa kilometry w górę przez zalesioną okolicę, zanim ukazywał się biały dom położony na niewielkim wzniesieniu powyżej Spjuten. Niegdyś z pewnością planowano, aby w jeziorze odbijał się budynek, który z wieżą nad wejściem miał trochę pocieszny zamkowy styl. Ale brzegi Spjuten były zarośnięte szuwarami i lśniący środek nie odbijał niczego poza szybko ciemniejącym październikowym niebem. W tym samym momencie, gdy wjeżdżał duetem na podjazd, Mans zobaczył, że Anders Flod akurat odstawią rower przy schodach. Opuścił szybę i zawołał:

- Zaczekaj, Anders!

Gdy parkował, Anders zdążył przyczłapać. Od jazdy na rowerze łzawiły mu oczy.

- Chciałem cię tylko zapytać o jedną rzecz, zanim wejdziemy - powiedział Mans. - To z pewnością ty przeniosłeś ten rower w nocy?

- Jaki rower? - spytał Anders i dokładnie wytarł nos.

To było w jego stylu, zareagować ostrożnym pytaniem. Ale przecież musiał wiedzieć, o co chodzi.

- Jej rower, oczywiście. Tej, na którą najechaliśmy.

- Nie ruszałem go. Nie wychodziłem z domu.

Anders w ogóle nie widział sensu zastanawiania się nad sprawą. Ruszył przed MSnsem w kierunku schodów. Krótko mówiąc, nie było o czym gadać. MSnsa jednak ogarnęło uczucie, jakby nagle znalazł się na głębokiej wodzie.

Rickard musiał zadzwonić do niego na końcu, bo pozostali już przyszli. Rozsiedli się w saloniku sióstr wśród ich serwetek i poduszek, starannie wyhaftowanych krzyżykami, wielkolistnych roślin doniczkowych, i fotografii dawno zmarłych osób. Klas Bodin siedział w fotelu na biegunach, ulubionym miejscu Fanny, i kołysał szklaneczką z grogiem, a na sofie osobliwy Karim zwinął się w kłębek między poduszkami. M&nsa na widok Bodina znowu załapała fala wściekłości i uważał, że nie ma powodu, by nie wypalić prosto z mostu.

- Gustaf był u mnie na kawie - odezwał się. - Uważam, że powinien tu siedzieć, jeśli mamy coś ustalać w sprawie jutrzejszego polowania.

Na chwilę zapadła cisza, aż przerwał ją zakłopotany Rickard.

- To właśnie Klas uważa, że w tym roku Gustaf nie powinien brać udziału. Klas właśnie zaproponował, że on sam chciałby...

- Klas właśnie i Klas właśnie! - wszedł mu w słowo M&ns, przedrzeźniając go. - Może Klas zechciałby być tak uprzejmy i mówić sam za siebie.

Ale Klas nie odpowiedział. Mans zauważył, że Erik Emilson nie spuszcza z niego wzroku, a jego oczy zwęziły się.

- O co tu właściwie chodzi? Ty, Rickard, zaprosiłeś Klasa do polowania na łosie? - to pytanie zadał Georg i Rickard wyraźnie nie wiedział, co odpowiedzieć, bo rzucił niepewne spojrzenie na bujającego się w fotelu Bodina.

- W zasadzie to jest tak - ciągnął Georg - że od lat tworzymy ten sam zespół na polowaniu i nie zwykliśmy zapraszać żadnych gości ani z miasta, ani znikąd. Nie organizujemy polowania z naganką, a żeby się tak przekradać i przemykać, jak my to robimy, trzeba znać las i mieć trochę za sobą. To nie jest jakieś tam towarzyskie polowanie. Jeśli idzie o Gu-stafa Akermana, to wiem od dawna, że nie przepadasz za nim. Ale to twoja sprawa. Jego w każdym razie chcemy mieć wśród nas.

- Nie sądzę.

Klas Bodin mówił z równym spokojem jak Georg, ale jego szare oczy szybko przebiegały od jednej twarzy do drugiej. Wypielęgnowane pulchne ręce obejmowały szklaneczkę z grogiem i kręciły nią powoli tak, że zawartość obracała się w kółko od tworzącego się na dnie małego bursztynowego wiru.

- Uważam, że mogłoby być zabawnie wziąć raz udział w czymś takim - odezwał się - ale zrobię to tylko pod warunkiem, że Gustaf zostanie w domu. - Wydawało się niemal, że bawi go ich pełna zdumienia wściekłość.

- Ty, do cholery, nie możesz stawiać żadnych warunków - wybuchnął Georg.

Klas zaśmiał się.

- Chyba mogę. Po tym, ile wam pomogłem.

Nikt nie zadał pytania, co miał na myśli. Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie, jak Anders Flod pociąga nosem, aż w końcu przestał i wysmarkał się dokładnie w tym samym momencie, kiedy rozległ się dźwięk wahadłowego zegara sióstr Bodin, który wybił dziewięć razy. Wydawało się, że Klas Bodin cierpliwie czekał, aż ustaną wszelkie zagłuszenia.

- Gdybym nie znalazł tego roweru, który zostawiliście dziś w nocy, to siedzielibyście teraz wszyscy na policji.

Powiedziawszy to, opróżnił szklankę z grogiem, nie patrząc już na żadnego z nich.



## 5

### Poniedziałek, 14 października

Podniósł się wiatr i gnał po niebie szybkie chmury w niekończącej się defiladzie. Zapowiadał się jeden z tych połyskliwych jesiennych dni, kiedy to słońce dobywa z siebie ostatnich sił, by osiki i brzozy zapłonęły w podmuchach wiatru, a powietrze jest klarowne jak schłodzone wino. Erik Emilsson kierował się na miejsce spotkania i szedł środkiem drogi z głową odchyloną do tyłu, by z chmur wydedukować, czy ten południowy wiatr będzie wiał z taką samą siłą cały czas, czy też jest to tylko poranny powiew, który ucichnie i pozwoli, by niebo znów się zasnuło. Pogoda w czasie polowania stanowiła dla niego największe zmartwienie i teraz przepęłniało go silne i miłe uczucie oczekiwania, które towarzyszyło mu w pierwszym dniu polowania przez wszystkie lata. Wprawdzie na granicy świadomości tkwił niepokój związany z wypadkiem autobusowym i Klassem Bodinem i to go gryzło, ale uważał, że suszenie sobie tym głowy na nic się nie zda. Wiedział, jaki był Klas Bodin.

Ani przez sekundę nie miał wątpliwości, że sprawy potoczyły się tak, jak opowiedział Bodin, choć Erik nie znał drugiego człowieka, który zachowałby się w podobny sposób. Bodina zmęczyło wyczekiwanie na wietrze przed budynkiem stacji i ruszył drogą w górę w stronę Kroktorpsvagen. Natknął się na autobus już niedaleko szosy, tylko że oni byli zbyt zajęci kobietą, by go zauważyć.

Twierdził, że nie wiedział, co robią, ale naprawdę zainteresowało go to, gdy wygasili światła. Po chwili zobaczył ich, jak przenosili zmarłą dalej od szosy. Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby podejść i zapytać, co się stało. Nie, czekał na skraju lasu tak blisko, że mógł słyszeć ich głosy. Że to była prawda, Erik zrozumiał, gdy Klas powtórzył jego własne słowa wypowiedziane tam w ciemności:

- Nie chcę żadnych śladów autobusu na szosie.

Samo to było już fatalne, ale Klas Bodin bynajmniej się tym nie zadowolił. W każdym razie nie zrobił tego, co Erik w pełni by zrozumiał - nie udał się prosto na policję, żeby złożyć na nich doniesienie. Gdy autobus wycofał się w las, poszedł tą samą drogą i po chwili trafił na tamten rower. Można było przypuścić, że gdy go znalazł, nieźle się ubawił ich wysiłkami ukrycia wypadku. Potem odprowadził rower do Nipparbolsvagen. Odwalił niezły kawał roboty - jak ich zapewnił - ponieważ tylko jedno koło nadawało się do użytku. Dwa dni chodził i krył się ze swoją tajemnicą; chciał pewnie, by artykuły w prasie i gadanina krążąca o zmarłej kobiecie porządnie im dojadła, zanim wykona swój ruch.

Erik w każdym razie uważał, że historia ma swoje puenty. Klas delektował się swoją przewagą i był zdecydowany posłużyć się nią dla osiągnięcia korzyści. Erik nie mógłby z całą pewnością powiedzieć, że się go boi. Nie sądził, by Bodin tak od razu ich zadenuncjował. Zbyt wiele zadowolenia dawało mu panowanie nad nimi dzięki zdobytej wiedzy i przypuszczalnie będą musieli przystać jeszcze na niejedno podczas polowania na łosie i przez jakiś czas później. Ale Erik był przekonany, że Bodin znajdzie sposób, by z czasem go przydusić. Wtedy będzie to znacznie poważniejsza sytuacja, która mogła budzić niepokój.

Pomyślał o Mansie Westlingu. Lubił Mansa. Był to miły, pracowity chłopak, skory do śmiechu i dość porywczy, jeśli ktoś próbował grać mu na nosie. Ale MSns miał w sobie coś, co jemu było obce i szalenie odpychające. Zbyt szybko brała w nim górę strona uczuciowa. Nie dlatego, by widział go płaczącego kiedyś wcześniej, nim stało się to na Kroktorpsvagen, ale wywarło to na Eriku przykre wrażenie. To niebezpieczne tak się załamywać.

Można podejrzewać, że człowiek, który się załamuje, zrobi kiedyś coś, czego będzie żałować.

Mans był także tym, z którego oczu wyzierała największa udręka, gdy Klas Bodin popisywał się wczoraj wieczorem. Gorzej jednak, że z pewnością nie zniesie, by ktoś stosował wobec niego takie chwytły. Erik wcale by się nie dziwił, gdyby M&ns poszedł i sam złożył doniesienie.

To właściwie z tego powodu Erika męczył niepokój, który nie chciał ustąpić, chociaż postanowił nie psuć sobie wyborczego polowania daremnym roztrząsaniem tego, co się wydarzyło. Idąc na miejsce spotkania w poniedziałek rano, był zdecydowany porozmawiać z Mansem. Przechodząc obok Vinterrónningen, nikogo nie dostrzegł, więc założył, że Mans też wyszedł wcześniej i może już jest na miejscu. Mieli się spotkać przed Gókkallan o siódmej, dokładnie tak, jak to robili we wszystkich poprzednich latach. Mans i Erik zwykle przybywali pierwsi; Rickard zawsze przybiegał w ostatniej chwili, zatrzymywany przez jakiś nowy pomysł siostr, z którym miały zwyczaj występować w ostatniej minucie.

Kiedy dochodził do miejsca, gdzie leśna droga skręcała tak, że mógł już dostrzec Gókkallan, usłyszał strzał. Odgłos był cichy i odległy, ale mimo to wiedział, że się nie myli. Stał chwilę bez ruchu i czekał, ale nic więcej nie było słychać. Wysoko ponad nim świerkowy las oddychał w silnym południowym wietrze. Stado skrzeczących wron płynęło z wiatrem, ale poza tym panowała cisza. Pomyślał, że to musiał być Gustaf Akerman, który nie mógł już dłużej usiedzieć, tylko wyruszył z brzaskiem i udało mu się dojść do czegoś na strzał - może do tego bajkowego łosia, o którym opowiadał całą jesień. Erik ruszył dalej do zakrętu dróżki, a gdy las się przerzedził i otworzył widok na Gókkallan, zobaczył, że Gustaf stoi na schodkach do sieni i nasłuchuje dokładnie tak samo, jak on przed chwilą. Wyraźnie był równie zaskoczony, ponieważ stał w samych skarpetkach z rękami zwisającymi po bokach. Gdy spostrzegł Erika, pomachał do niego i zniknął w chacie.

Po chwili ukazał się w wysokich butach i bez przesadnego po-

śpiechu zaczął iść w górę w kierunku Erika, który położył na ziemi swój plecak, a strzelbę oparł o plot.

- Słyszałeś strzał?

- Myślałem, że to ty.

- O nie, muszę wytrzymać do siódmej, kiedy to zapoluję z panami.

Erik pomyślał, że to może być dla Gustafa koniec polowania z panami, jeśli zostanie spełnione życzenie Bodina, ale nie miał ochoty ujawniać sprawy, będąc sam na sam z Gustafem. To i tak była drażliwa kwestia.

- Pewnie nie będzie więcej.

- Na to wygląda. Może go dostał.

Rozumiał, że Gustaf miał na myśli tego wielkiego, tego, którego nazywał swoim. Robił wrażenie niespokojnego i zbitego z tropu i w zamyśleniu strzyknął struzką śliny, która opadła długim łukiem.

- Zależy, kto...

Więcej nie zdążył. Ciszę rozerwał drugi strzał, potem nastąpił jeszcze jeden, a potem w osłupieniu Erik stracił rachubę i stał tak samo jak Gustaf z otwartymi ustami, gapiąc się w czerń świerkowego lasu. Po chwili wszystko umilkło, zapadła głęboka i złowróżbna cisza, której nie łamał nawet krzyk ptaka.

- Jasny gwint - odezwał się Gustaf powoli, nie odrywając wzroku od kurtyny lasu. - Musiał opróżnić cały magazynek! Na co to się zda?

Usłyszeli za sobą zgrzytnięcie i odwrócili się w takim tempie, jaki w zwykłych warunkach nie licował z powagą ich obydwóch. Gustaf znów splunął, lekko zażenowany tym razem, gdy zobaczył, że to tylko Anders Flod przyjechał na rowerze z bronią przewieszoną przez ramię i z podłużną skrzyneczką na bagażniku, w której miał jedzenie.

- Kto strzela?

Zeskoczył z roweru i obtarł kroplę u nosa.

- Nie ja i nie leśniczy, i nie wygląda też na to, żebyś to był ty - odparł Gustaf. - Poza tym nic nie wiemy.

- To chyba nie Bodin, który wyszedł poćwiczyć sobie strzelanie - powiedział Anders.

- Bodin?

- On też będzie.

Anders odwrócił wzrok, widząc podejrzliwe zdumienie Gustafa.

- A to ci dopiero! Są też panowie z miasta. Więc to będzie prawdziwie towarzyskie polowanie.

Intencja była taka, aby to ostatnie określenie, które w słownictwie Gustafa nie było bynajmniej wyrażeniem pełnym respektu, poprzeć dosadnym splunięciem, ale ze względu na następujące raz po raz emocje miał chwilowo sucho w ustach, więc zostało to odłożone.

Stali wszyscy trzej nadal z oczami wytrzeszczonymi w kierunku lasu, czekając, że coś się wydarzy po tej serii wystrzałów, gdy drogą nadeszli Georg i Pelle Mardowie.

- Słyszeliście strzelaninę?

Twarz Pellego pokryta była ranną bledością, a z oczu wyzierało podniecenie. Erikowi się to nie podobało. Nie podobało mu się też pierwsze pospieszne pytanie Georga.

-Jest MSns?

A gdy Gustaf pokręcił przecząco głową:

- A Bodin?

- On pewnie przyjedzie z Rickardem.

Erik spojrział na zegarek. Pięć po siódmej, to było niepodobne do Mansa, by się spóźnić. Doszedł go odgłos silnika samochodowego zza Vinterrónningen i zrozumiał, że Rickard jak zwykle nie mógł wyruszyć w porę, bo został zatrzymany, więc musiał wziąć samochód.

Jego volvo nie zdążyło skręcić w górę pod furtkę, a już Gustaf zaczął wygłaszać swoje poglądy na temat samochodów w lesie i ludzi, którzy nie mogą paru kilometrów przejść pieszo.

- Jak gdyby i tak nie było dość hałasu w lesie? Gdzieś podział Bodina? Nie ma go z tobą? To chyba nie on wyszedł, ot, tak so bie tylko postrzelać?

Nagle umilkł i zdjął kapelusz w geście absolutnego zdumienia.

- A to co znowu?

Karim wyskoczył z samochodu, po czym z zapalem, ale jednocześnie okazując nerwowość, biegał przed zebranymi w kółko tak, że Gustaf nie zdążył właściwie dostrzec, co to za rasa, poza tym, że był czarny z białymi plamami, które pokrywały pierś i przechodziły w pas na karku, a kończyły się całkiem efektownym kleksem na supelku zakręconego ogona.

- To mój nowy pies na łosie - powiedział Rickard z dumą. - Karelski pies ułożony na niedźwiedzie.

- To okropne - skomentował Gustaf szczerze. - Chodź tu, że bym ci się przyjrzał, ty mały diable.

Karim, nie zatrzymując się, obiegnął dwukrotnie w kółko zebranych. Gdy Rickard zawołał: „Leżeć!”, zrobił jeszcze jedno okrążenie i zaczął przeraźliwie ujadać.

- On się zesra, jak zobaczy łosia - zakomunikował Gustaf spokojnie.

- Gustaf- protestował przygnębiony Rickard. - On jest ułożony i wystawił już wiele łosi. Ma dwa lata i rodowód, który...

- Widzę po jego oczach, że on nie jest pewny. Chodź tu!

Gdy Karim nie chciał dać się obejrzyć dobrowolnie, Gustaf błyskawicznie wyciągnął rękę i schwycił go za obrozę. Karim ugryzł go w drugą rękę. Gustaf prychnął wściekle, a reszta roześmiała się. W efekcie drugiej próby pies leżał i pozwolił pogłaskać się po grzbiecie, ale jak tylko Gustaf go puścił, obiegnął w kółko Rickarda i ugryzł go w łydkę. Protesty poszkodowanego wyraźnie sprawiły, że się zawstydział, ponieważ nagle rzucił się w kierunku lasu i zniknął.

- Na to bym mu nie pozwolił - stwierdził Erik.

Rickard zagwizdał, ale Karim był albo głuchy, albo oporny.

- Byle on tylko nie drapnął - powiedział Gustaf z goryczą. - Z takimi nigdy nie wiadomo.

- Ile kosztował? - spytał Georg.

Rickard skierował melancholijny wzrok ku gęstwinie, w której zniknął pies.

Gustaf zaczął długą historię o jemtlandzkim psie, który ugryzł

inspektora ochrony zwierząt, co kosztowało jego właściciela spore odszkodowanie, gdy nagle od strony lasu, z daleka, dobiegł ich jakiś odgłos. Słyszeli trzask łamanych gałęzi i w pierwszym momencie Erik pomyślał, że Karimowi udało się wypłoszyć łosia, który uszedł, ale po chwili pojął, że to przedziera się człowiek. Kimkolwiek był, spieszył się i nie zwracał uwagi na to, którądy idzie. Młodniak rósł tak blisko drogi, że słyszeli jego szybki oddech na długo, zanim go ujrzeli. Zobaczyli go biegnącego, gdy wyłonił się na drodze nieco poniżej, i wydawało się, że jest całkowicie wykończony. Kiedy ich zobaczył, chciał najpierw odwrócić się i pobiec w przeciwną stronę, ale nogi się pod nim chwiały, i po kilku krokach byli koło niego.

Stali dookoła, a Gustaf go podtrzymywał. Zawisł na jego ramieniu i łapał oddech z takim trudem, że mogli słyszeć, jak świszczę mu w gardle od łykanego powietrza. Gustafowi, który był niemal pół wieku starszy, wyraźnie przypomniały się czasy, gdy pętał się koło niego jako mały chłopiec i zrobił sobie krzywdę. W głosie Gustafa brzmiał niepokój i przemawiał w sposób, którego nigdy nie słyszeli.

- Ależ MInsen, chłopcze, coś ty sobie zrobił? Uspokój się trochę i usiądź, dobrze? A teraz po kolei opowiedz, o co chodzi? Słuchaj, chłopcze, ty jesteś całkiem wykończony.

Erikowi to się nie podobało. Nie podobał mu się wyraz oczu Mansa Westlinga. Były zmęczone, dziecinne i pozbawione wszelkiej samokontroli. Erika irytowały też głupoty wygadywane przez Gustafa. Nic dobrego z tego nie mogło wyniknąć. Jeśli Mans coś narobił, byłoby najlepiej, gdyby Gustafa w ogóle tu nie było.

- Kto to strzelał? - spytał ostro.

Mans zwrócił ku niemu mokrą od potu twarz. Wzdrygnął się na dźwięk głosu i widać było, że jest roztrzęsiony. Zwykle nie dawał się przestraszyć.

**-Ja.**

- Ty przecież nie masz strzelby, chłopcze! To nie ty strzelałeś. - wtrącił się Gustaf i zanim Erik zdążył go powstrzymać, Mans wyjąkał:

- Rzuciłem ją... rzuciłem ją tylko...

Erik odwrócił się do Rickarda, który stał zmieszany z niezapalonym papierosem w ustach i gapił się na Mansa.

- Gdzie Bodin? - zapytał cicho Erik.

W tym momencie Rickardowi jakby ktoś zadał niespodziewany cios.

- Boże świąty! - wykrzyknął. - On jest przecież w drodze! Miał iść przez las... poszedł pierwszy, bo Fanny chciała, żebym niezwłocznie... Mans!

Ale teraz Erik uzmysłowił sobie, że póki Gustaf tu stoi i swym starym spojrzeniem wodzi od jednej twarzy do drugiej i chłonie wszystko, o czym się mówi, musi uciszyć ich obu.

- Gustaf - odezwał się - idź i zobacz, czy nie masz czegoś mocniejszego dla Mansa. Jest szokowany.

Gustaf ruszył, popatrzawszy badawczo na Mansa, który usiadł ciężko na brzegu porośniętego trawą rowu. Erik podszedł do niego i zapytał cicho:

- Co się stało?

- Nie wiem.

- Chyba jednak wiesz. Teraz weź się w garść i wszystko wyjaśnij. Coś ty robił w lesie?

- Nie mogłem spać - odpowiedział Mans i ukrył twarz w dłoniach.

- Mam to gdzieś. Ale co się wydarzyło?

Nie podnosząc wzroku, Mans zaczął opowiadać rwanymi zdaniami, chrypliwym szeptem, jak wyszedł ze strzelbą, jak udało mu się podejść starego łosia, który nie mógł być żadnym innym, tylko wielkim bykiem Gustafa.

- On mi go wystraszył! -

Kto?

- Bodin. Spudłowałem.

Erik rzucił wzrokiem ponad ramieniem i zobaczył Gustafa idącego ku nim.

- To był pierwszy strzał - powiedział cicho. - A te następne?

Mans nie odpowiadał. Jeśli zacznie znów skomleć, to go zdzieję, pomyślał Erik. Nic innego nie można zrobić.



- Te następne strzały? - wyszeptał.

- One były do niego - odparł Mans. - Dokładnie nie pamiętam, ale on się przewrócił. Wystraszył mi łosia.

Podniósł wzrok i napotkał ich spojrzenia.

- To nie dlatego, oczywiście! To przez tę całą resztę - powiedział oszołomiony. - Nie wiem dokładnie.

Gustaf podszedł z tyłu. Trzymał w ręce butelkę czystej i filiżankę do kawy, a jego wzrok biegł od twarzy Mansa do Andersa Floda, kiedy ten odwrócił się nagle do Mansa plecami.

- Uważam, żeś oszalał! Czegoś podobnego w życiu nie słyszałem. Ty chyba nie wiesz, co mówisz!

- Cicho - przerwał mu szybko Erik. - Wstań, Mans, i wypij to.

Wziął filiżankę i butelkę od Gustafa i nalał.

- A o co chodzi? - spytał ostrożnie Gustaf.

- Mansa chwyciła gorączka myśliwska - odezwał się Georg Mard nieoczekiwanie i Erik spojrzał na niego z wdzięcznością.

- Ach, nie, Mans, nie - powiedział Gustaf.

Erikowi wydało się, że Gustaf próbuje coś wywęszyć swym cienkim nosem.

- Tego łosia chciałbym bardzo zobaczyć.

- Widziałeś go. To był ten wielki byk, o którym mówiłeś - powiedział Erik. - Ten stary morderca.

Szparki szarych oczu Gustafa powiększyły się ze zdumienia, a wąs mu się ruszał, ale nie wyglądał na w pełni przekonanego.

- To do niego strzelałeś?

Mans skrzywił się, wypiwszy wódkę, i tylko skinął głową.

- To po co było opróżniać w ślad za nim cały magazynek, jeśliś spudłował?

Mans pokręcił głową.

- Nie wiem.

- To właśnie chyba nazywa się gorączką - odezwał się niespodziewanie Pelle i rzucił niepewne spojrzenie dookoła, szukając poparcia.

- Chyba tak.

Erik zakorkował butelkę i podał ją Gustafowi. Wcale nie był przekonany, czy wódka jest właściwym lekarstwem dla Mansa

akurat w tym momencie, nie miał jednak lepszego pomysłu, by odprawić Gustafa. Szczęściem wyglądało na to, że Mans próbuje wziąć się w garść. Znów usiadł na brzegu rowu i ukrył twarz w dłoniach, ale przynajmniej się nie odzywał.

- Gdzie masz strzelbę? - spytał Gustaf.

- Daj mu teraz spokój. Jest wykończony.

Erik pragnął na chwilę pozbyć się Gustafa, aby mogli rozważyć, co mają robić. Nie ufał też Rickardowi, że potrafi zachować dłużej milczenie. Rickard był blady i aż poszarzał na twarzy. Siedział obok Mansa i gapił się na Erika z miną dziecka, które niezastąpienie dostało lanie. Karim zaczął ujadać w lesie niedaleko nich i Erik błogosławił go za to w duchu. Nadarzyła się przynajmniej możliwość, by Rickard pomyślał o czymś innym albo na chwilę w ogóle przestał myśleć.

- Zobacz, co z tym bydlakiem, zanim narozrabia.

Rickard wstał i zagwizdał. Zabrzmiało to słabiotko.

- Ach, no jasne - odezwał się nagle Gustaf. - On przecież ma też być, słyszałem.

Erik w pierwszej chwili sądził, że miał na myśli Karima, ale gdy Gustaf strzyknął pogardliwie śliną przez ramię, a potem nadal wpatrywał się w dół w kierunku Gókkallan, skierował wzrok w tę samą stronę. Słyszał, że Mans ciężko oddycha, jego samego zaś kompletnie zmroziło.

Klas Bodin szedł ostrożnie po zarośniętej ścieżce prowadzącej z pastwiska. Miał dwie strzelby, a w ręce parę gumiaków.

- On będzie nosił tę żółtą kurtkę, by przyprawić łosia o atak serca? - spytał Gustaf, nie odrywając wzroku od krępej sylwetki w zamszowej kurtce i zielonych szewiotowych spodniach. - Czyżby go nogi bolały? - spytał niewinnie a propos ochraniaczy i pozwolił, by wszyscy usłyszeli parsknięcie, które przywodziło na myśl skrzywdzonego łosia.

Erik nie należał do ludzi, którzy na co dzień mają zwyczaj analizować swoje uczucia, ponieważ ten asortyment, którym dysponował, zwykle bez trudu trzymał na wodzy i potrafił kontrolować. Teraz jednak ogarnęło go uczucie tak ogromnej ulgi

pomieszanej z przytłumionym rozczarowaniem, że przez moment czuł się oszołomiony. Ledwie zdążył przywołać na twarz wyraz opanowania, a Klas był już koło nich i Gustaf witał go z nieukrywaną obojętnością.

- Widzę, że żyjesz i czujesz się nieźle.

Pelle Mard zaczął histerycznie chichotać, co udzieliło się innym. Gustaf posłał mu spojrzenie, w którym była zarówno wdzięczność, jak i nieufność.

Klas Bodin nie odrywał wzroku od Mansa. Rzucił tuż przed niego gumki, po nich, brzęknąwszy o kamienie w rowie, upadła strzelba.

- Uważaj na strzelbę! - zawołał gwałtownie Gustaf.

- Jest na pewno pusta.

Dopiero, gdy usłyszał głos Klasa, Erik pojął, jak on się musiał wystraszyć.

Mans patrzył mu w oczy, gdy Klas oznajmił:

- Spudłowałeś.

- Wyraźnie - odparł Mans i oblizał suche wargi. Zdumienie i ulgę udało mu się stłumić i teraz jego twarz wyrażała jedynie czujną wrogość.

- Z odległości dwudziestu metrów - kontynuował Bodin tym samym drżącym głosem, któremu próbował nadać silnie szyderczy ton. - Ale z tego powinieneś być zadowolony.

- Spudłowałeś do łosia z dwudziestu metrów? Tyś chyba całkiem zwariował, chłopcze! Co z tobą?

Gustaf był poruszony do głębi, ale nikt go nie słuchał. Wyglądało na to, że wszyscy, z wyjątkiem Mansa i Klasa Bodina, zaczęli dostrzegać puentę tego, co się działo. Na pociągłej twarzy Andersa ukazał się lekki uśmiech, a Rickard, by ukryć rozbawienie, zajął się zapalaniem papierosa. Erik także uznał, że obraz Mansa pałającego nienawiścią oraz chęcią oddania strzału i pułkującego z dwudziestu metrów był czymś przekomicznym w całej tej nieszczęsnej sytuacji. Lufa sztucera musiała podskakiwać jak ogon pliszki i możliwe, że on nawet zamknął oczy, strzelając. Koniec końców miał szczęście, że z tak niewielkiej odległości nie trafił, i Erik mógł

sobie wyobrazić, co czuł Bodin w czasie tej szaleńczej strzelaniny, gdy wszystko dookoła niego tylko pryskało. Dziwne, że udało mu się jakoś wstać, zebrać do kupy i mieć tyle przytomności umysłu, ile w każdym razie okazywał, gdy tak stał tu na szeroko rozstawionych nogach i zdjęty wściekłością wpatrywał się w Mansa.

- To ta gorączka myśliwska - odezwał się Erik łagodnie i na potkawszy wzrok Klasa, uśmiechnął się do niego wąskimi czarnymi oczami. - Słyszałem od ludzi, którzy dostali prawdziwej gorączki myśliwskiej, że ona chwyta jak choroba. Przeważnie człowiek nie ma pojęcia ani że strzela, ani do czego celuje.

Bodin zrobił zwrot i wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale Erik dodał pospiesznie:

- Czułeś taką gorączkę, Mans?

- Nie wiem - odpowiedział Mans krótko.

- Najmądrzej schodzić z drogi ludziom, którzy dostają tej febrы - zwrócił się Erik do Klasa z uśmiechem.

Bodin zdjął sztucer z ramienia i podszedł do volva Rickarda.

- Odwieź mnie do domu, Rickard.

Usadowił się na tylnym siedzeniu i zatrzasnął za sobą drzwi. Rickard spoglądał niezdecydowanie to na jednego, to na drugiego.

- Teraz on pojedzie i z miejsca złoży na nas doniesienie - odezwał się Georg Mard do Erika.

- Nie wiem. W każdym razie niewiele możemy zrobić.

- Może powinniśmy zdążyć przed nim - powiedział Georg z lekkim zażenowaniem.

Rickard ruszył w kierunku samochodu i kiedy ich mijali, przystanął. Nie śmiał się odezwać, ponieważ patrzyli na niego zarówno Gustaf, jak i Bodin, ale Erik kiwnął mu głową.

- Odwieź go do domu. Zobaczymy, jak to będzie. My przencujemy w chacie Tranang, tak jak planowaliśmy, więc wiesz, gdzie nas szukać.

Rickard wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Klas nie patrzył na nich, gdy volvo nawracało w bramie Gustafa i wyjeżdżało ponownie na leśną drogę. Gdy zniknęło na zakręcie, Gustaf powiedział w powietrze:

- Chyba on się szybko nami zmęczył.

Nikt nie odpowiedział i Gustaf, który dawno już musiał spostrzec, że wokół niego coś się dzieje, tylko on nie wie, o co chodzi, uznał wszelkie dalsze pytania za bezsensowne.

- Idź do domu i połóż się na trochę, Mans. Wygląda, że tego potrzebujesz. Możesz przecież wieczorem podejść do chaty Tranang, jak będziesz chciał.

Mans w milczeniu zebrał swoje gumiaki i sztucer, który Bodin rzucił przed nim. Ściągnął mokre skarpety i wcisnął stopy w gumiaki.

- Cześć - powiedział tylko i zaczął iść ze skarpetami w ręce.

Erik zastanawiał się przez moment, po czym zaczął go szybko doganiać. MIns spojrział na niego, gdy się zrównali, ale nie powiedział słowa, póki nie znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych.

- Pewnie uważasz, że zachowuję się, jakbym postradał rozum?

- Miałeś szczęście - odparł krótko Erik.

- Zamierzam teraz zgłosić wypadek autobusu. Głos Mansa brzmiał spokojnie, niemal obojętnie.

- Postaram się nie mieszać was do tego. W każdym razie to ja prowadziłem.

- Nie rozumiem, na co to się zda - powiedział Erik wolno.

- Lepiej, bym zrobił to sam, zanim Bodin zdąży to uczynić. Na to mu nie pozwolę.

- To wcale nie takie pewne, że on to zrobi.

- To z pewnością pierwsze, co zrobi! On teraz jest tak samo przestraszony, jak wściekły.

Erik stanął na drodze i obejrzał się przez ramię. Tamci już od dłuższego czasu nie mogli słyszeć ich rozmowy, ale widział całą grupkę zwróconą twarzami w ich kierunku, jak gdyby na coś czekali.

- Do cholery, nie możesz działać na własną rękę - powiedział szybko do Mansa. - Nie da się nas do tego nie mieszać. Dość już narozrabiałeś, a ja wcale nie jestem pewien, czy trzeba, żebyś pognął i zrobił coś, czego potem możesz żałować.

MSns sprawia! wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał. Erik musiał schwycić go za ramię, by przynajmniej spojrzeć mu w oczy.

- Idź do domu i połóż się. Jak rozumiem, nie spałeś.

- Trzy noce.

Wyszarpnął ramię i zaczął się oddalać. Erik zdał sobie sprawę, że niewiele może uczynić, by go powstrzymać, jeśli rzeczywiście postanowił złożyć zeznanie. Mimo wszystko zawołał za nim półgłosem:

- Nie rób niczego bez porozumienia z nami!

Nie dosłyszał, co MSns mruknął w odpowiedzi, i poczuł, jak ogarnia go bezsilna wściekłość, gdy patrzył na te szczupłe plecy niknące za zakrętem drogi. Zawrócił i całą drogę aż do furtki w Gókkallan kopał przed sobą kamień. Gdy podszedł, patrzyli na niego ciekawie i wyczekująco, ale nikt nie odważył się zadać żadnego pytania, póki Gustaf stał tam z rękami w kieszeniach, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

- Powinniśmy chyba postarać się o trochę dziczyzny - odezwał się i podniósł strzelbę i plecak.

Gdy Anders Flod chciał wziąć swoją skrzynkę, okazało się, że Karim dobrał się do niej i zawlókł za krzak. Próbował warczeć, by wzbudzić respekt, gdy odciągali go od naleśników i tego, co pozostało z bochenka chleba. Anders schwycił go za skórę na karku i cisnął na bok.

- Zacznę przypuszczać, że naleśnik to największa dziczyzna, jaką ten drań potrafi zwietrzyć - powiedział z goryczą.

Ruszyli gęsiego przez pastwisko w kierunku lasu. Karim rzucał się na krótkiej smyczy u boku Erika, który, widząc lufę remingtona Gustafa idącego na czele, zamykał pochód. Nikt się nie odzywał, dopóki nie znaleźli się przy furtce prowadzącej do lasu, którą Gustaf im przytrzymał. Jego spojrzenie było trochę ostrzejsze niż zwykle, gdy stał patrząc, jak przechodzą jeden za drugim.

- No tak - powiedział - w takim razie zaczęło się. Chociaż, cholera wie, czy tym razem będzie tak znów przyjemnie.

## 6

### Poniedziałek, 14 października

- Dziś rano słyhać było straszną strzelaninę. Gdzieś przy Flymyran.

Klas Bodin nie odpowiedział. Siedział na narożnej kanapie w salonie, z nogami wyciągniętymi przed siebie i z przymkniętymi oczyma przysłuchiwał się rozmowie dochodzącej z jadalni dla gości. Fanny przysunęła cukiernicę i rzuciła mu spojrzenie wyostrzone nieco ciekawością i niepokojem.

- Nie ustrzeliliście żadnego łosia?

-Nie.

Oczywiście nie mogła się zdecydować, czy zostawić go w spokoju, czy też nie.

- Nie? A ja powiedziałam do Clary, zobaczycie, że ustrzelili łosia, choć jeszcze nie ma siódmej. To brzmiało tak, jakby tam była wojna.

Takie miałem uczucie, jakbym, cholera, znalazł się na wojnie, pomyślał i gdy tylko zamknął oczy, wciąż widział pierwszy strzał, który trafił w pień sosny i rozłupał drzewo zaledwie pół metra od jego głowy. Ten jedyny zobaczył. Potem wcisnął twarz w mech i słuchał tego piekielnego huku i gwizdu wystrzałów zdjęty strachem tak wielkim, że czuł tylko pustkę. Po wszystkim zwymiotował w krzak jałowca, w ciszy.

- W takim razie kto to strzelał?  
- Mans Westling.  
- Jezus Maria! On ma zwykle tak pewną rękę. I nic z tego nie wyszło?

Gdy nie odpowiadał, nachyliła się i spytała cicho:

- Chyba się nic nie stało?

- Nie stało?

- Tak, ponieważ zaraz potem wróciliście?

Nie zwracał sobie nią głowy. Jeśli siostry miały jakieś podejrzenia, niech sobie z tym radzi Rickard. Pragnął, by przestały gdać koło Rickarda i koło niego. Nie chciał jeść śniadania. Gdy przyjechali z lasu, od razu poszedł na górę do swego pokoju, wyjął z szafki koniak i wypił kieliszek. Gwałtowne kołatanie serca i drżenie nóg nie mijało jednak, więc szybko wychylił jeszcze jeden, aż nim wstrząsnęło. Teraz poczuł się lepiej.

Mans Westling wyglądał na przerażonego, gdy zobaczył go wychodzącego z lasu przy Gokkallan. Ale potem Pelle Mard zaczął chichotać i leśniczy też wydawał się ubawiony. Przypuszczali pewnie, że go przestraszyli. Ale on chciałby przez chwilę zostać sam na sam z Rickardem i zobaczyć jego minę, jak będzie szedł do telefonu i zapyta o numer policji. To chyba był piątek, kiedy to się wydarzyło, miał powiedzieć, podnosząc słuchawkę. Późnym wieczorem. Był ciekaw, co wymyśliłby Rickard, by go powstrzymać. Co mógłby przyrzec.

Myśl była nęcąca, ale tak długo, jak siostry brzęczały wokół, nie mógł rozmawiać z Rickardem. W głowie nadal czuł pustkę i zamęt. Ten paniczny strach przeszedł w złość, którą nie bardzo wiedział, jak wykorzystać. Jeszcze nie. Kiedy zamykał powieki, stawała mu przed oczami twarz Erika Emilssona, widział, jak te błotnistobrunatne oczy ciemnieją i zwięzają się w szyderym uśmiechu i czuł, że miałby ochotę mu przyłożyć. Mniej więcej takie uczucie musiało ogarnąć MSnsa, gdy ujrzał jego twarz. Ale nie powinien był łapać zaraz za sztucer. Teraz można by pójść prosto do telefonu.



- Nie będziesz pił kawy?

Wstał, nie odpowiedział, i podszedł do drzwi jadalni. Fanny człapała za nim z dzbankiem kawy w ręce.

- Bądź w domu. Chcę później z tobą pomówić - odezwał się do siedzącego przy stole Rickarda, który z łyżeczką jajka w pół drogi do ust spojrzął rozszerzonymi ze strachu oczami i uśmiechnął się blado. Klas słyszał rozmowę, która niosła się za nim niczym fala przypiływu, jak tylko zamknął za sobą drzwi.

- Ależ Rickardzie drogi, co się stało?

Jasny głos Clary pełen natrętnej obawy i Fanny bardziej szorstki:

- W ogóle się nie odzywasz! To do ciebie niepodobne.

- Nie możesz brać tak dosłownie wszystkiego, co Klas mówi.

To nie jest absolutnie nic, co...

Nie miał siły słuchać dłużej tej paplaniny, wszedł więc na schody. Dźwięczny śmiech Clary słychać było jeszcze na drugim piętrze. Teraz pograżyli się w rozmowie na ulubione tematy.

Pokój gościnny, który zajął, tuż przed nim wynajmował porwoczy kancelista sądowy, przybyły tu z miasta jako rekonwalescent na kilka jesiennych tygodni. W powietrzu unosił się nikły zapach medykamentów pomieszany z mocniejszą starą, wystygłą wonią dymu z cygar. Podszedł do narożnej szafki i nalał sobie stożkowaty kieliszek koniaku. Wstrząsnął się, a podwójny podbródek zadrżał, gdy przetykał. Nie zdjąwszy białej szydełkowej kapy, ciężko położył się na łóżku.

Pokój był kiedyś pokojem dziecięcym. Nie mógł dostrzec nic, co by jeszcze o tym przypominało. Ścianką z desek podzielono go na dwa małe pokoiki gościnne. Umywalka za zasłoną, nocny stolik z Biblią na marmurowym blacie i lampa pod sufitem rzucająca skąpe światło, czyniły pomieszczenie tak anonimowym, jak pokój w jakimkolwiek pensjonacie. W ogóle niewiele było tego, co przypominałoby jego dzieciństwo w Rasby. Ojciec Klasa był właścicielem ziemskim i pryncypałem wzbu-

dzającym respekt i tę pozycję udało mu się zachować aż do śmierci. Potem wkroczył Rickard i zaczął rozwikływać płatani-  
nę hipotek i długów związanych z upadłą kopalnią. Siostry  
Klasa siedziały jak przestraszone kury na grzędzie i tylko przy-  
takiwały. Jemu samemu nie odpowiadały pomysły Rickarda  
dotyczące prowadzenia pensjonatu i innych przedsięwzięć, więc  
musiały go spłacić. Był przekonany, że to na dłuższą metę się  
nie uda, ale wszystko to działo się dwadzieścia lat temu.  
Pensjonat działał, Rickard robił interesy związane z lasem, a  
nawet ostrożne spekulacje ziemią, na ile Klas się orientował.  
Nigdy nie udało mu się ustalić, jaka była pozycja Rickarda w  
Rasby. Czy pobierał wynagrodzenie? Czy też zagarniał to, co  
było dostępne i do wzięcia. Na pytania tego rodzaju nigdy nie  
otrzymał od sióstr odpowiedzi. Biegały dookoła niego, gdakały  
i wymachiwały skrzydłami niczym kury. Uważał, że to powinno  
być trochę żenujące dla Rickarda siedzieć tutaj i żyć w  
dobrobycie, wiedząc, jak śmieszną sumą kiedyś zbył Klasa. Ale  
wyglądało na to, że Rickardowi w najmniejszym stopniu to nie  
przeszkadza.

Klasowi Bodinowi szło raz lepiej, raz gorzej. Zaczął od skle-  
pu ze słodyczami, potem przerwiał się na samochody, włącznie  
z krótkim występem gościnnym w branży ubezpieczeń. Teraz  
powrócił do słodyczy. Hurtownia szła relatywnie dobrze i nie  
mógł narzekać. Zazwyczaj tego zresztą nie robił. Tylko te krótkie  
i niezbyt liczne odwiedziny w Rasby wprawiały go w złość.  
Duży pokój na parterze z klubowymi skórzanymi fotelami, w  
którym nadal wisiała myśliwska broń ojca, nazywany był teraz  
gabinetem Rickarda. Nie mógł nic na to poradzić, że dla niego  
mały Rickard wyglądał śmiesznie za mahoniowym biurkiem.  
Pewnego ranka znalazł na tym biurku list zaadresowany do  
obywatela ziemskiego Rickarda Turessona. Obywatel ziemski!  
Rickard wyjaśnił, że to pewna firma w mieście, która nie była  
zorientowana w sytuacji. Diabła tam! pomyślał Klas. Ty nie  
masz nic przeciw temu, by cię nazywano obywatelem ziemskim,  
nawet jeśli tak się dzieje przez pomyłkę.

Ojciec Klasa Bodina w pełni zasługiwał na ten tytuł. Nie był wysoki, odznaczał się jednak silną budową i miał wrodzony dar zapewniania sobie posłuchu. Klas pamiętał polowania na łosie w czasach, gdy sam był chłopcem. Były to prawdziwie pańskie polowania z setką naganiaczy i obfitymi posiłkami w środku dnia. Leśniczy - to znaczy ten stary, który już nie żył - znajdował się tam, gdzie powinien, i pilnował przy przesiekach, a nie jak ten nowy, któremu pozwolono objąć kierownictwo nad wszystkim. To było nie do pomyślenia dla ojca Klasa Bodina, by takich ludzi, jak Anders Flod z Gillermossen, mieć w innej roli niż jako naganiaczy. Ojciec Mansa Westlinga także nie był nikim więcej jak tylko kmiotkiem, który dostawał kawę w kuchni, jeśli zaszedł do Rasby w jakiejś sprawie.

Ale teraz leśniczy i kmiotkowie polowali razem z tym, co pozwala tytułować się obywatelem ziemskim z Rasby, i nie wzdrali się nawet mieć w swym gronie takiego starego kłusownika jak Gustaf Akerman. Jednej rzeczy tylko szkoda, że Gustaf z Gókkallan nie znalazł się z tym całym towarzystwem w autobusie. Nie miałby nic przeciwko temu, by wreszcie zobaczyć Gustafa, jak odpowiada przed sądem. Ale Klas mógł w każdym razie dopilnować, by nastał dla niego koniec polowań. Ten stary kłusownik powinien czuć się zadowolony, że siedzi sobie spokojnie w swojej chacie i słucha strzelaniny w lasach.

Myśl o Gustafie Akermanie powiodła go jeszcze dalej w przeszłość do zadawnionych uraz, liczących sobie o wiele więcej niż te pięćdziesiąt lat, które obejmowało jego własne doświadczenie. Były to sprawy, o których tylko słyszał; stare historie o zwadach, do jakich dochodziło o zmroku przy leśnych przesiekach, o badyłach łosi, które znajdowano w dołach mokradel, i o służących, które pomstowały, kiedy za sprawą gospodarskich synów zaszły w ciążę. Przeważnie nie udawało się złapać kłusownika tak szybko, jak wtedy, gdy służąca z Halvóreby zdradziła. Przyszła do Rasby i opowiedziała, że Georg robił coś z Akermanem na mokradle Flymyran i jeśli tam pójda, to znajdą poroże, co je kłusownicy ukryli w śniegu i chcie-

li zabrać, jak się nadarzy okazja. Naturalnie Georga nie udało się przyskrzynić i odmówił także zajęcia się dziewczyną, chociaż z czasem okazało się, że dziecko ma takie same lodowobłękitne oczy jak wszyscy MSrdowie. Ale tamtym razem Gustaf wpadł i stanął przed sądem. Dostał tylko miesiąc i uśmieł się z tego.

Myśli, które wiodły go w coraz dawniejsze czasy, w cień sąsiedzkich uraz, kłótni służących, dawnych bójek, sprawiły, że powoli poczuł się senny. Myślał niejasno, że teraz sprawy przyjęły inny obrót, wreszcie przyjęły inny obrót. Strach i gwałtowna wściekłość na wybryk MSnsa Westlinga przeszły mu. Był rozluźniony i mimo wszystko czuł się prawie rozbawiony. Zasnął w przyjemnym nastroju.

O czwartej po południu Klas zszedł do salonu, gdzie Clara bawiła rozmową jedną z czterech starszych pań, które aktualnie były gośćmi pensjonatu. Krótco zapytał o Rickarda, a Clara natychmiast zauważyła, że wygląda zupełnie inaczej niż przy śniadaniu. Wtedy zarówno on, jak i Rickard wydawali się jacyś dziwni. Nie wiedziała dlaczego, ale przypuszczała, że się poróżnili, może o pieniądze. Klas nigdy nie zaprzestał interesować się ich sprawami, chociaż Rickard już piętnaście lat temu jasno i wyraźnie powiedział, że po podziale spadku nie powinno go już nic obchodzić.

Clara nie musiała wołać Rickarda. Wynurzył się ze swego gabinetu, jak tylko usłyszał Klasa na schodach.

- Wejdz do mnie. Chcę z tobą pomówić.

Klas trzymał w ręku list i Rickard wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany królik. Clara o mało nie parsknęła śmiechem, ale opanowała się. Coś jednak było nie tak. Biedny Rickard wydaje się taki zdenerwowany.

- Clara! Chodź tu!

Mówił tonem rozzłoszczonego dowódcy. Staruszka, która siedziała na narożnej kanapie z filiżanką kawy w ręce, zamrugła oczami. Była głucha, ale mimo to musiała zauważyć, że coś

wisi w powietrzu. Clara jeszcze bardziej zirytowała się na Klasa. Nigdy ani przez moment nie myślał o gościach. Tak, jakby ciągle uważał, że wszystko jest jak za czasów ojca.

- Powiedz Fanny, żeby wzięła ten list i pojechała mi go wrzucić.

Podał jej list, a ona zdumiona i zaniepokojona wpatrywała się w adres. To dziwne. I Rickard, który przez cały czas wlepia oczy w Klasa.

- Nie mogę sama nadać listu? - spytała oszołomiona.

- Nie, bo to trzeba szybko. Fanny ma wziąć samochód.

Rickard, nie odrywając oczu od Klasa, powiedział pospiesznie:

- To nie ma sensu... mam na myśli, to bez znaczenia.

Obliznął suche wargi i nieśmiało uśmiechnął się do Klasa.

-Bez?

- Jeśli ona pojedzie natychmiast, chciałem powiedzieć. Dziś po południu już wyjęto listy. Teraz poczta nie odejdzie przed...

Klas mu przerwał.

- Pojedzie teraz.

Clarę zdjął lęk i poczuła, że ogarnia ją silne wzburzenie, nie mogła się powstrzymać, by nie wtrącić:

- Rickard z pewnością zechce być tak miły i weźmie list, wtedy Fanny nie będzie musiała jechać.

Klas pochylił głowę. Twarz mu poczerwieniała.

- Powiedziałem, że chcę z tobą pomówić - odezwał się do Rickarda i ruszył przodem do jego gabinetu. Rickard poszedł za nim i zamknął za sobą drzwi.

Fanny czyściła srebro w pokoju łączącym kuchnię z jadalnią i Clara musiała przytrzymać jej list, by palce nie zostawiły czarnych śladów, gdy czytała adres.

- Nie rozumiem. Co to miałyby obchodzić Rickarda?

Tego Clara nie wiedziała.

- Chyba lepiej jedź. Wiesz, jaki jest Klas.

Przeważnie bała się jeździć z Fanny, która miała prawo jazdy, ale teraz pojechała z nią. List włożyła do swojej torebki. Fanny

siedziała bardzo prosto za kierownicą volva i prowadziła powoli, jak zwykle, na zakrętach niemal grawitacyjnie, bo zdejmowała nogę z gazu. Podczas jazdy nigdy nie rozmawiała. Dopiero gdy zaparkowała przed sklepem i wzięła list od Clary, powiedziała:

- Gdybym mogła zrozumieć, co to oznacza.

List klapnął na dno żółtej skrzynki.

- No, to po wszystkim. Teraz Klas nie może już nic mówić. Skorzystam z okazji i zrobię trochę zakupów.

Weszła w mrok pachnącego wędlinami sklepu, ale Clara została przed wejściem. Zobaczyła Evę Westling jadącą szosą na rowerze.

- Dzień dobry! - zawołała, gdy Eva zsiadła i stawiała rower pod ścianą. - Jak się masz?

- Dziękuję - odpowiedziała Eva. - Bardzo dobrze.

Clarze jednak przemknęło przez głowę - a wiedziała, że czasem w jednej sekundzie z niewyjaśnionych przyczyn potrafiła poznać, jak sprawy naprawdę się mają - że wcale nie tak bardzo dobrze.

- Jeszcze nic nie trafili - powiedziała żywo. - Ale wiesz, że Klas i Rickard natychmiast wrócili do domu.

- MSns też.

-Też?

Ewa rozwiązała szal, który starannie złożyła w kwadrat, po czym wsunęła go do kieszeni. Wydawała się niespokojna. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy ma wejść do sklepu, czy zostać i rozmawiać z Clarą.

- Chyba jednak nic się nie stało? - spytała Clara, kładąc rękę na jej ramieniu. Była pewna, a może to sobie wmówiła, że Eva aż się wzdrygnęła. Niewiarygodne, jak łatwo było rozniecić ten ogieniek niepokoju, który tlił się w jej zwykle spokojnych szafirowych oczach.

- Nie, nie sędzę - odpowiedziała pośpiesznie Eva. - MSns chciał tylko spać.

- Spać? Pierwszego dnia polowania na łosie...

Ale Eva skinęła głową i wzięła swoje torby.

- Bardzo wczesnie wyszedł dziś rano. No, muszę iść zrobić zakupy. To tymczasem, do widzenia.

Clara pozostała. Słyszała dzwonek nad drzwiami i jak sklepi-  
karz Sjólin powitał Evę w sklepie. Okazja do zadania kolejnych  
pytań wymknęła się jej. Może Eva nie wiedziała więcej niż ona?

Stała w słońcu na zewnątrz i czekała na Fanny. Z daleka  
dobięła ją odgłos strzału i to dziwne, ale poczuła się nieswojo.

- Rany boskie! Jeszcze jeden! - szepnęła do siebie. - Teraz  
w każdym razie powinni coś mieć.

Już zapadł zmierzch, gdy Mans oparł rower o stos drewna  
przy leśnej drodze i ze Śpiewką u boku zaczął podchodzić do  
chaty Tranang. Z góry słysząc było stukot siekiery, więc zro-  
zumiał, że pozostali już przyszli. Od dziewiątej rano spał ka-  
miennym snem. Zastanawiał się, jak tam im poszło. Eva  
powiedziała, że przez cały dzień słyszała tylko jeden strzał, a  
ponieważ nie przysłali po niego, prawdopodobnie nic nie stracił.  
Był spokojny i czuł się wypoczęty. To, co się wydarzyło w  
piątek wieczór i dziś rano, wydawało mu się tak odległe, że  
mógł myśleć o tym rozważnie. Było wiele prawdy w tym, co  
Erik powiedział, i cokolwiek by się działo, nie miał zamiaru  
znów się rozkleić.

Chata leżała wysoko na sosnowym wzgórzu, którego pod-  
nóże przechodziło w wilgotne, miękkie, porośnięte kępami traw  
niecki Tranangen. Kiedyś drenowano tu ziemię i na tych  
miejscach ciągle rosły stare jabłonie i wiśnie, które zwały się z  
zaroślami. Ale trzęsawisko zyskało przewagę i wypełnionymi  
mgłą koleinami weszło tu z łochynią i turzycą. Chatę myśliwską  
wybudował ojciec Mansa. Składała się tylko z jednego dużego  
pomieszczenia z piecem, ale nad drzwiami puszyły się zbielełe  
łopaty łosia. Tutaj, gdy był młodszy, przychodził ze strzelbą, a  
przed dwunastu laty siedział tu z Evą na schodkach przed  
wejściem i słuchał wołania kukułki. Była to uparta kukułka,  
która wołała z północy. Chociaż mieli wieczorem wracać do  
domu i chociaż to było żałosne kukanie, zwiódło ich

i zostali. Rano obudzili się w chacie przemarznięci, ale wtedy kukułki wołały już ze wszystkich stron świata, kukały jak oszalałe z radości.

Gdy doszedł do chaty, zobaczył Gustafa i Erika podchodzących po zboczu z naręczami drewna na opał. Nie musiał o nic pytać, po twarzy Gustafa widać było, że nic nie upolowali.

- Nie ma żadnego ryzyka, że się choć raz zobaczy tylne bady le łosia, kiedy obok jest ten karelski cudaczny pies - rzekł Gustaf porywczo. - Nigdy jeszcze nie widziałem psa, który by dał wał łosiowi takiego popędu, jak on. A mimo to tak się boi łosia, że sika po nogach, jak tylko go zwęszy.

Śpiewka, która zwykle wszystkich poza MSnem traktowała z rezerwą, okrzykiem Gustafa, machając przyjaźnie ogonem. Mrucząc coś do niej cicho, wszedł do chaty. Erik przywitał Mansa.

- Co robiłeś? - spytał przyciszonym głosem.

- Nic. Tylko spałem.

- To dobrze.

Obaj weszli do chaty, która tchnęła zimnem i stęchlizną. Georg MSrd napełniał lampę naftową, a Pelle zapalił świecę, żeby coś widzieć przy krojeniu chleba. Podczas gdy Erik rozpałał w piecu, opowiadał, że to było, jakby ktoś rzucił czary, mimo pięknej pogody. Anders Flod przynajmniej zobaczył kłepę, kiedy siedział, marznąc w rozpadlinie skalnej płyty, ale odległość była za duża do strzału, więc zwierzę nie zostało nawet draśnięte. Karim odmówił podjęcia tropu. Cały dzień gramolili się kilometrami przez kamieniste mokradła. Rozczarowanie wprawiło ich w ponury nastrój.

- Pechowe dni bywały już wcześniej - odezwał się Anders Flod. - Ale żeby aż taki. Ciekawe, czy łosiska zmęczyły się życiem i same się wykończyły.

- Pech to nie jest - powiedział Gustaf w zamyśleniu. Właśnie kroił na stole boczek.

- Więc co to jest? - spytał Anders. - Nie ciachaj tak grubo boczku. Co to jest, jeśli nie pech?



Gustaf nie odpowiedział. Mans jednak odgadywał, co myśli. Gustaf nic przecież nie wiedział o wypadku autobusowym, ale miał nosa do tego, co wisiało w powietrzu, i teraz z pewnością coś wyczuwał. Coś gęstego i obcego, co zatrzymywało atmosferę i mogło zepsuć im polowanie.

W piecu paliło się już na dobre i blask ognia tańczył na czerniejących ścianach. Rozchodzące się ciepło zaczęło wypierać z chaty nieprzyjemną wilgoć. Po chwili izbę wypełnił zwykły ludzki zapach suszących się skarpet i boczku, który Gustaf przysmażał, aż plastry skręcały się na patelni.

Mans zjadł w domu, więc nic nie chciał. Położył się na jednej z prycz poza kręgiem światła rzucanym przez lampę naftową, gdy tamci siedli do stołu. Po chwili Gustaf wziął swój talerz, podszedł cicho w samych skarpetach i usiadł na brzegu pryczy Mansa. Pokroił widelcem zimne kartofle w łupinach, posolił je i przez jakiś czas jadł w milczeniu. Nagle jednak zapytał, tak cicho i szybko, że wąż zaledwie drgnął:

- Słuchaj no, Mans. Strzelałeś do Bodina?

Mans rzucił szybkie spojrzenie na pozostałych przy stole. Nic nie słyszeli. Gustaf odwrócił głowę i patrzył na niego. Tak, miał ochotę powiedzieć. Tak, strzelałem do Bodina! Dlaczego nie miałby opowiedzieć Gustafowi całej historii? Byłoby mu lżej, a to przecież nie rozeszłoby się dalej. Ale wiedział już, dlaczego milczał i dlaczego się zawahał. Było mu wstyd.

- Nie - odpowiedział. - Zwariowałeś, wcale nie strzelałem do niego.

Gustaf chwilę się nie odzywał. Szczęki poruszały się, żując łykowany kawałek boczku, wzrok miał daleki, utkwiony w ogniu.

- Tak, tak - mruknął. - Zaczynam być stary. Wiesz, co sobie pomyślałem?

Mans nigdy się tego nie dowiedział, bo Śpiewka zaszczeakała i porwała za sobą Karima, który zerwał się z kupy swetrów leżących na pryczy i zaczął ujadać tak, jak pies, który niezupełnie wie, o co chodzi. Po chwili usłyszeli kroki na zewnątrz.

Rickard Turesson wetknął głowę przez drzwi, jakby chciał się upewnić, że wszyscy co do jednego są w środku, po czym wszedł.

- Zamknij drzwi - poprosił Anders Flod. - Udało nam się trochę tu ogrzać.

Na twarzy Rickarda malował się ponury wyraz. M&ns pojął, że musiało się coś wydarzyć, i uniósł się na łokciu. Wodził wzrokiem za Rickardem, który obszedł izbę, powiesił sztucer, zsuł buty z cholewami i zaczął rozpinać plecak. Wszystko to robił z nerwową precyzją i wydawało się, że nie słucha, co tamci opowiadali o mordędze i niepowodzeniu całego dnia. Nagle przerwał Andersowi wykład o klepie, której Flod nie trafił.

- Klas przyjdzie jutro rano.

Na chwilę zapadła cisza i Erik Eriksson tak gwałtownie pociągnął wilgotną fajkę, że aż zasyczała.

- Coś takiego - odezwał się. - Nie znudził się nami.

Rickard stał zwrócony plecami do Mansa i Gustafa. Wcisnął ręce w kieszenie spodni i skulił się, jakby mu było zimno.

- Najgorsze, że obstaje przy tym, co powiedział wczoraj.

- O czym?

- O Gustafie.

Odwrócił się i patrzył na Gustafa, który siedział nieruchomo na brzegu pryczy ze swym talerzem na kolanach.

- On nie chce, żebyś ty był, Gustaf.

Rickard próbował uśmiechnąć się przeproszająco, ale wyszedł z tego tylko grymas. Widać było, że jest okropnie zażenowany. Kiedy Gustaf nie odpowiadał, podjął bardziej żarliwie:

- Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu! Wszystkim nam, mogę przysiąc. Ale Klas ubrdał sobie, że nie chce ciebie na polowaniu, i my musimy się do tego dostosować.

Gustaf obrzucił wzrokiem ich twarze, jedną po drugiej. W końcu odezwał się powoli:

- Aha. On stawia wam warunki.

Gdy żaden nie odpowiedział, Gustaf zwrócił się do Mansa:

- M&nsen, ty też nie chcesz, żebym był z wami?

Pierwszy raz MSns usłyszał jego głos brzmiący starczo i lękliwie.

- Po tylu latach? Co się stało...

M&ns zrobił się purpurowy na twarzy i nie mógł odpowiedzieć. Był zadowolony, że światło naftowej lampy nie sięgało do jego kąta.

- Rany boskie, możemy chyba działać trochę spokojniej - odezwał się od stołu Georg M&rd. - Gustaf nie musi gnać stąd dziś wieczór.

- Lepiej nastawię kawę. Coś marnie wyglądasz, M&ns.

Anders Flod podszedł do pieca z kociołkiem w ręce. Napętniając go, chlapanął na płytę. Gustaf kawałkiem gazety wytarł swój talerz, po czym włożył go do plecaka.

- Usiądź no jeszcze, Gustaf- poprosił Anders. - Uważam tak samo jak Georg. Nie musisz przecież ruszać dziś wieczór.

- Może jednak tak byłoby najlepiej - wyjąkał Rickard.

- Chcę powiedzieć... jeśli na pewno nie chcesz zostać... tak, ta cała sprawa jest nieprzyjemna, Gustaf!

Gustaf nie raczył nawet na niego spojrzeć. Szybko i metodycznie wsadzał do plecaka swoje rzeczy, na głowę wcisnął filcowy kapelusz i wziął remingtona. W drzwiach odwrócił się i skierował wzrok ku pryczy, na której leżał M3ns.

- Człowiek nie powinien pytać o sprawę, które go nie dotyczą. Teraz w każdym razie idę. Wygląda na to, że tak będzie najlepiej.

M&ns nie podniósł głowy. Słyszał trzaśnięcie drzwi i potem kroki Gustafa na zboczu.

- Nie pojmuję, dlaczego tak od razu wyprawiliście go w drogę - odezwał się po chwili Erik. Mówił opanowanym głosem, ale MSns wyczuł, że jest zły.

- To był, niestety, mus - powiedział Rickard. - Musimy swobodnie porozmawiać.

Erik wydał z siebie długie sapnięcie.

- Gadać chyba możecie, i to jak.

Rickard nie zwracał na niego uwagi. Podszedł bliżej i usiadł przy stole. W żółtawym świetle naftowej lampy widać było, jak

jest wykończony. Sięgnął palcami po kapciuch i fajkę, której nie zapalał.

- Mam was pozdrowić od Klasa.

- Słyszeliśmy - powiedział Georg Mard i odchylił się na krześle, aż zatrzeszczało. - On myśli o nas, kiedy siedzimy w lesie i marzniemy. To rozgrzewa, doprawdy.

Pelle zachichotał, ale Rickard ciągnął gorączkowo:

- Niestety, teraz to jest poważne. Rozmawiał ze mną po południu i mówił serio.

- W takim razie chcielibyśmy usłyszeć troszkę więcej, co znaczy bodinowskie serio - odezwał się Anders. Jego oczy lśniły w blasku ognia, kiedy siedział przy piecu, pilnując zawieszonego na haku kociołka z wodą.

- Nie podobało mu się to, co Mans zrobił dziś rano - zaczął Rickard, rzuciwszy nerwowe spojrzenie na Mansa, który nie poruszył się w swoim kącie.

- Pewnie, komu by się to spodobało? Mógł zostać podziurawiony jak sito, gdyby nie miał szczęścia.

- Może by mu to pasowało? - spytał Pelle Mard i mrugnął do Andersa.

- Napisał list.

Zrobiło się cicho. Rickard mówił dalej i nikt mu nie przerywał:

- To było pierwsze, co zrobił. Clara i Fanny musiały jechać na rynek i wrzucić go jeszcze teraz, po południu. Był zaadresowany do adwokata w mieście, który zwykle pomaga mu wypełnić deklarację podatkową. W środku nie było doniesienia, tylko zaklejona koperta, która ma zostać otwarta, gdyby mu się coś stało. Bo po tym, co się wydarzyło dziś rano, on nam nie ufa.

Georg gwizdnął i wymienił spojrzenie z Erikiem.

- Co jest w takim razie w tej kopercie?

- Wyjaśnienie tego, co się stało w piątek wieczorem.

Anders Flod podszedł do stołu i stanął obok krzesła Rickarda. Twarz wydłużyła mu się jak u konia i widać było na niej głęboki namysł.

- Więc w każdym razie na nas nie doniósł.

- Nie, tego nie zrobił. Ale gdyby mu się przytrafiło coś takiego, jak dzisiaj rano, to wpadliśmy. To chciał nam powiedzieć. Zresztą tak samo leżymy, jeśli on fajtnie i umrze na atak serca - dodał z goryczą.

Woda w kociołku bulgotała, aż się przelała, i płyta syczała, ale żaden nawet nie spojrzął w kierunku pieca.

- Wygląda na to, że od tej chwili musimy się bardzo troszczyć o zdrowie Bodina - odezwał się Erik cicho.

Rickard oblizwał wargi i spojrzął na nich.

- On chce także, żebyśmy zainwestowali pieniądze w jego firmę.

- Zainwestowali pieniądze w jego firmę? - powtórzył Anders, nie pojmując.

Ale Erik zapytał szybko: -

Ile?

- Trzydzieści tysięcy.

- To pięć tysięcy na głowę. Nieźle, jak na początek - podsumował Erik z osobliwym uśmiechem.

Anders Flod wytrzeszczył na niego oczy.

- Ale dlaczego mamy to robić? - spytał zgnębiony. - Nic z tego nie rozumiem. Zainwestować pieniądze...

Trzydzieści tysięcy dla Andersa Floda stanowiło sumę niemal abstrakcyjną. Prawie tak samo jak pięć tysięcy. Trudno mu było w ogóle wyobrazić sobie pięć tysięcy w ręku. Czy to był gruby plik sfatygowanych i z oślimi uszami stukoronowych banknotów? Czy też pięć gładkich i w kolorze chłodnego różu tysiąckoronowych?

- Niesłychanie dziwaczne - wymruczał ze złością, aż zirytowany Georg mu przerwał:

- Nie rozumiesz, że tu chodzi o szantaż? Ale to podobne do Klasy Bodina, by nazwać to inwestowaniem.

- On chce pieniędzy za to, że będzie milczał o całej tej sprawie?

- Oczywiście.

Nagle na twarzy Andersa pojawił się wyraz zrozumienia.

- Ale ja nie mam żadnych pięciu tysięcy. I ty chyba także, Mans? Do cholery! Przecież to niemożliwe! On to chyba rozumie.

Poczłapał do pieca i zdjął z haka zalany kociołek z wrzącą wodą.

- To nic nie pomoże - odezwał się cicho Rickard. - On się tym nie przejmuje. Pewnie wie, że ani ty, ani Mans, ani Erik nie możecie wydać tyle pieniędzy naraz. Ale zostaniemy do tego zmuszeni. W przeciwnym razie złoży na nas doniesienie. Napomknął coś, że możemy pożyczyć od Georga. Mamy załatwić to, jak chcemy.

- Dzięki - powiedział Georg z kwaśnym uśmiechem. - Mamy załatwić to, jak chcemy. Aha, to świetnie. A kiedy on chce mieć pieniądze?

- Siedemnastego. To jest w czwartek.

Anders obtarł kociołek, ręce mu trochę drżały, kiedy uzupełniał wygotowaną wodę. Mans leżał cicho na pryczy i obserwował go. Zmartwiony Anders kilka razy pociągnął nosem i wisząca mu na czubku kropla zniknęła. Mrugał jasnoniebieskimi oczami, które łzawiły od dymu z pieca. Ale wyglądało na to, że powoli dochodzi do siebie.

- Aha - odezwał się butnie. - To więc jest nie do uniknięcia. Pięć tysięcy. Chociaż to dużo.

- Chociaż - powiedział Erik miękko i główką fajki popukał w stół - to dopiero początek.

Anders odwrócił się.

- Będzie chciał więcej?

Kiedy nikt nie odpowiedział, westchnął żałośnie.

- W takim razie byłoby lepiej pójść i samemu się przyznać!

-Nie.

To wyszło od Georga, krótkie i zdecydowane jak uderzenie siekierą. Powoli Anders podszedł znów do pieca, przykucnął i zaczął odmierzać kawę. Mierzył skąpo i starał się, by ręka mu nie drżała.

- Najlepiej by było, gdybyś ty go trafił, Mans - wymamrotał.

- Tak by było najlepiej. Gdybyś go naszpikował kulkami.

- O tym on także pomyślał - powiedział Rickard. - To dlatego napisał ten list. Tak więc ma nas naprawdę w garści.

Popijali kawę Andersa, niezwykle słabą i lurowatą, w milczeniu. Potem powłazili na prycze w swoje śpiwory i koce i leżeli zapatrzeni w żar i słabo pełgający ogień. Mans nie zamienił z nikim słowa. Nie widział w tym większego sensu. Wydawało się, że pozostali mimo wszystko są senni po tym całodziennym łożeniu po lesie. Sam był wypoczęty i całkowicie rozbudzony, nawet kiedy zgasła fajka Erika w odległym kącie. Słyszał, jak Anders poświstuje przez sen w długich, pełnych ulgi chrapnięciach. Jeszcze nie było dziewiątej, ale planowali wstać o zmroku. Mądrze zrobili, zasypiając. Mans zamierzał w końcu uczynić to samo i być może mu się uda. Teraz to była wielka różnica, kiedy człowiek wiedział, czego ma się trzymać.

Leżał i myślał o pięciu tysiącach. Jasne, że to mnóstwo pieniędzy i niełatwo będzie utrzymać Evę w niewiedzy, kiedy zacznie spłacać Georga. Zresztą wcale nie jest takie pewne, że Georg pokryje wszystko. Zastanawiał się nad pożyczką bankową, ale wiedział, że wtedy byłoby jeszcze trudniej z Evą. A i tak to dopiero początek, powiedział Erik. Rozmyślanie nad tym do niczego nie prowadziło. Sprawa jest nieunikniona i nieodwołalna. Powoli zanurzał się w półsen, gdzie nie straszło już tych pięć tysięcy. Zamiast tego ujrzał przed sobą twarz Gustafa, widział go, jak stojąc w drzwiach, odwrócił się i patrzył na niego. Mansowi udało się go zranić, i to zranić głęboko tylko tym, że milczał. Wprawdzie stało się tak z powodu Klasa Bodina, ale o tym Gustaf nie wiedział.

Miał już na dobre zasnąć, gdy usłyszał, że prycza nad nim zatrzeszczała i para nóg zadyndała niepewnie w półmroku. Zaszurało lekko na górze, po czym Pelle Mard miękko zeskoczył na podłogę. Mans leżał cicho i udawał śpiącego, bo wyglądało na to, że Pelle nie chce być widziany. Rozejrzał się, a potem szybko i cicho podszedł do drzwi z butami w rękę. Nie wkładając ich, otworzył drzwi i wyslizgnął się w ciemność.

Mans leżał całkiem rozbudzony i nadśluchiwał. Po półgodzinie zauważył, że to nie banalna potrzeba wyjścia za róg chaty sprawiła, że Pelle się wymknął. Dochodziło wpół do dziesiątej, ale na zewnątrz panowała już ciemność październikowej nocy i wiatr szarpał i targał koronami sosen. Mans leżał i w miarę, jak wskazówki jego zegarka poruszały się w ciemności, ogarniał go coraz większy niepokój. W końcu już tylko wpatrywał się w te lśniąco punkty na tarczy zegarka. W każdym razie był zadowolony, że Pelle nie wziął ze sobą strzelby.



**Wtorek, 15 października**

Gdyby wyszli o świcie, miałyby to sens, ale dopiero wpół do ósmej rano usłyszeli odgłos volva Rickarda na leśnej drodze. Klas polecił, by czekali, aż on przyjedzie, i oczywiście dostosowali się do tego, chociaż Erik Emilsson mimo opalenizny był szary z wściekłości. Najspokojniej podchodził do tego Anders.

- On wodzi nas na pasku - powiedział tylko i nasunął czapkę na czoło, by podrapać się po karku. - Mój Boże, co to będzie za polowanie?

Ale wydawało się, iż swym długim nosem poczuł zapach mięsa, ponieważ jak tylko zaczęli brnąć przez Tranangen, był znowu w niemal dobrym humorze. Świeciło słońce i wiał lekki zachodni wiatr. W osłoniętych nieckach jeszcze zalegała mgła, kiedy od wschodu zakosami zmierzali ku niełatwym do polowań okolicom daleko za Tranangen. Wszędzie dookoła między zagłębieniami mokradła sterczały rozrzucone bloki skalne, a gęste kępy świerków na porośniętych mchem obrzeżach moczarów czyniły teren trudnym do przejścia. Szli powoli i ostrożnie z Karimem na krótkiej smyczy u boku Rickarda i Śpiewką puszczone luzem. Pelle Mard nie pojawił się rankiem przy chacie, ale wyglądało na to, że nikogo poza Mansem nie obchodziło, gdzie on się podziewa. Mans także się uspokoił, gdy przybył Klas Bodin. Czego właściwie się obawiał, sam nie wiedział.

Po chwili Śpiewka zniknęła gdzieś w kierunku północnym i przez pół godziny nie pokazała się ani nie wydała głosu. Wleźli na skalisty pagórek, siedzieli w milczeniu i czekali. Mans mógłby przysiąc, że Klas Bodin się nudzi, i Andersowi Flodowi musiało to samo przyjść do głowy, bo odwrócił się i za plecami Bodina mru-gnął znacząco do Mansa. Ale tego rodzaju malutki triumf niczego przecież nie zmieniał w całej sprawie. Bodin wyglądał na pewnego siebie i skupionego. Nie patrzył na Mansa, a gdy czekali, siedział, paląc cygaro, chociaż Erik jasno i wyraźnie powiedział, co myśli na temat palenia w lesie. On i Gustaf Akerman z fanatyczną dokład-nością podchodzili do tego, by chrapom łosi nie dać ekstraszansy. Na to jednak, że teraz Bodin palił, nic nie mógł poradzić. Pokazał mu jedynie, jak ma wsadzić kawałek papieru do pudełka zapalek, by nie grzechotały, kiedy zaczną się skradać.

- Że też on chce przebywać z nami - szepnął Anders do Mansa. - Po tym, jak nas załatwił. Ludzie są dziwni.

Anders z Gillermossen nigdy nie doznał tej przyjemności, którą daje władza, i nie miał najmniejszego pojęcia, jakie to uczu-cie. Gapił się tylko skonsternowany na szerokie plecy w jasnożół-tej zamkowej kurtce, częstował Mansa tabaką i od czasu do czasu wzdychał podczas długich minut wyczekiwania.

Usłyszeli Śpiewkę, jej donośne dalekie ujadanie, gdy chwyciła wiatr. Dochodziło jak gdyby z kotliny porośniętej młodnikiem, jakieś pięć kilometrów na północ, i wyraźnie przemieszczało się w kierunku wschodnim, choć ciągle dobiegało z bardzo daleka. Erik zaczął pośpiesznie przydzielać im zadania. Mans miał ruszyć pędem, by dojść do strzału, choć według wszelkiego prawdopodo-bieństwa i tak nie uda mu się zbyt szybko dotrzeć na miejsce. Przypuszczalnie była to kłępa z łoszakiem i do niej nie wolno strzelać, ale mogło być tam więcej zwierzyny. Erik podejrzewał, że trochę niżej jest rodzina łosi i napalił się na byka. Georg Mard, Anders i Erik będą powoli iść za nim. Rickardowi i Klasowi wy-znaczył bezpieczne stanowisko. Mieli je zająć i czekać. Mans, za-nim wyruszył, zdążył jeszcze wymienić rozbawione spojrzenie z Andersem. Klasowi Bodinowi niełatwo było przejrzeć zamiar

Erika, który tak go ustawił, że z miejsca, gdzie został odesłany, nie dojrzy nawet zadu łosia.

Mans, uwolniwszy się od plecaka, biegł na zachód. Po co najmniej trzech kilometrach usłyszał niosące się echem szczekanie Śpiewki i zrozumiał, że udało jej się dopaść łosia. Suka była stara, a na skutek podeszłego wieku i przy całkiem niezłym stanie zdrowia trochę tłusta, ale rzadko dawała za wygraną. Czuł zawsze to samo radosne podekscytowanie, gdy słyszał, jak szczeka, wystawiając mu zwierzynę. To nie było już donośne ujadanie, jak podczas tropienia, teraz szczekała, wydając z siebie głęboki, niski i silny głos, który wzywał Mansa, aby przyszedł i strzelił. Te mroczne, głuche tony, które niosły się lasem, nazwali dzwonem śmierci. Nic, co znalazło się za kurtyną tego dźwięku, nie miało prawa ujsć z życiem.

Teraz biegł ostrożniej. Na porębie pozostawiono na wysiew kilka sosen, słaby wiatr kołysał ich koronami, za nimi prześwitywało mokradło, które nie dawało jednak najmniejszej osłony, żeby się ukradkiem zbliżyć. Gdzieś z tamtej strony rozbrzmiewał dzwon śmierci i wyliczał zwierzęciu minuty. Śpiewka wyraźnie wytropiła takiego, który już był kiedyś tropiony, bo wystawiała go w gęstej kępie młodych drzew. Mans przykucnął i wykorzystując kamienie i sosnowe pnie, przekradł się prawie do porośniętego mchem skraju mokradła. Było za mokro, by bezszelestnie podejść, a odległość strzału nie mogła wynosić więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Nie pozostawało mu nic innego, jak w swej szarej wiatrówce i szarozielonych spodniach ustawić się na tle grubego sosnowego pnia i w całkowitej ciszy czekać, aż łos raczy się pokazać. Czuł, jak spływający pot łaskocze go w szyję, ale oddech po biegu zaczynał mu się uspokajać.

Po dziesięciu minutach pokazała się. To znaczy najpierw zobaczył biały supełek ogona Śpiewki, która wyszła tyłem z kępy młodych drzew, a za nią kłępa, rośla i okazała. Parskała i tupała na Śpiewkę, która mimo swoich lat i tuszy kręciła się dookoła niej, ani na sekundę nie przerywając swojego głębokiego szczekania. Ponieważ kłępa mogła być z młodym, musiał poczekać, by dobrze się jej przyjrzeć, zanim strzeli. Po chwili znów zniknęła wśród drzew, a suka za nią. Mans nie miał nic do roboty, mógł się tylko gapić na

świerki i to jednostajnie łyse mokradło. Śpiewka zaczęła chrypnąć, więc zirytował się i stracił cierpliwość. Żeby ta cholerna kłępa nie była aż tak przebiegła i ostrożna! Postanowił spróbować ją przechytrzyć i przekraść się z powrotem w górę na porębę, a potem pobiec dookoła i zająć ją od północnego brzegu mokradła przy wietrze wiejącym z boku.

W tym samym momencie, gdy oderwał ciało od chroniącego go brunatnego tła, jakim był pień sosny, usłyszał trzask po drugiej stronie kępy młodych drzew. Kłępa z hałasem wyskoczyła z młodnika i pomknęła w górę zbocza szybkimi susami, które mimo jej ciężaru były tak miękkie i lekkie, że wydawała się płynąć. Była sama, jej białe skarpetki i zadek Śpiewki błysnęły w słońcu, ale M&ns nie odważył się strzelić od tyłu. Został więc nie tylko wyprowadzony w pole, lecz zdradził swoją obecność, teraz mógł jedynie zgadywać, dokąd się skieruje. Jeśli pogna prosto na południe, to zniknie z okolicy, ale jeśli zatoczy szeroki łuk i od południowego zachodu wróci na wschód, to może nie będzie musiał się poddać.

Puścił się biegiem znów w stronę południowego wschodu, żeby mieć wiatr z dobrej strony. Co chwila stawał i nadstuchiwał w napięciu, ale choć wiało bardzo słabo, nic nie słyszał. Szczekanie zamarło. Wściekał się na siebie i było mu wstyd przed Śpiewką. Mimo że stara i tłusta, biegła za łosiem jak cień co najmniej kilometr, a teraz już tylko sapała. On sam był zupełnie wykończony, gdy wreszcie usłyszał niespodziewane słabe szczekanie. Wydawało się, że dopadła kłępę, która pomimo oszczekiwania powoli przemieszczała się na wschód. Dłuższą chwilę stał, słuchając, i korzystał z okazji do odpoczynku, po czym znów puścił się biegiem. Wtedy dobiegło go szczekanie z południa, więc stało się dla niego jasne, że musi ominąć zwierzę dużym łukiem od północnego wschodu, jeśli nie chce ponownie sprawić Śpiewce zawodu.

Kiedy wreszcie zbliżył się cicho na miękkich podszwach, jej szczekanie brzmiało już desperacko. Ostatni kilometr przebiegł szybciej, bo teren był łatwiejszy, w dodatku znalazł ścieżkę, która prowadziła obok miejsca, gdzie suka wystawiła mu zwierzę. Teraz ochrypli głos i zziąbane sapanie dochodziło spośród gęstego sku-

piska olch. Tym razem nie zamierzał zawieść biednej psiny. Cicho i ostrożnie podszedł tak, że znalazł się niemal obok olchowych zarosli, w których mroku kłępa parskła na Śpiewkę. Nie mogło być do nich więcej niż dwadzieścia pięć metrów. Postanowił okazać cierpliwość i załatwić tę hiperostrożną kłępę. Musiała mu tylko pokazać komorę, a wtedy gotowe.

Jedyne, co ujrzał, to jak mignęła mu kawałkiem zadu. Zaczął tę kłępę darzyć respektem oraz żywiołowo i serdecznie nienawidzić. Znów prysnęła - teraz bez wątpienia wycofała się na zachód, a on czatował na nią od wschodu. Wiedział, że tym razem się nie zdradził, ale to zwierzę wyraźnie było wyposażone w szósty zmysł. Cholera wie, może Gustaf miał rację, pomyślał Mins. Łosie posiadają chyba coś ekstra, coś, co pozwala im namierzyć człowieka, chociaż ani go nie widać, ani nie słychać, ani nie czuć jego zapachu. W każdym bądź razie ta cholerna zatracona kłępa miała to coś. Ruszył za nią i udało mu się jeszcze raz pochwycić ją spojrzeniem, jak mignęła mu od tyłu, kiedy krocząc z wyrafinowaną gracją, co zakrawało niemal na ironię, samym brzegiem wąskiej półki skalnej weszła na wzgórze. Była daleko poza zasięgiem strzału. Nie pozostało mu nic innego do roboty, jak udać się za nią. Słyszał, jak Śpiewka dyszy wypompowana daleko za kłępą.

Tym razem jednak nie ujawnił swej obecności, więc powinna chyba zostać na górze. Odczekał pięć czy dziesięć minut. Nie chciał patrzeć na zegarek, żeby dokładnie wiedzieć, jak długo już ugania się za tą chyżą damą. To byłoby zbyt deprymujące. Teraz wyglądało na to, że trzeba wycofać się spośród skał. Najwidoczniej nie zamierzała zrobić niczego, co on mógłby przewidzieć. Po kwadransie przybiegła Śpiewka, goniąc po śladach klepy, i wyczerpana natknęła się na niego. Padła obok Mansa na ziemię, a spojrzenie jej złotych oczu było pełne wyrzutu i bezgranicznego zawodu. Wydawała się niepokieszona. Bo też on zachował się niezbyt mądrze.

- Dopadniemy tę szelmę - próbował ją pocieszyć. - Poczekaj tylko. Na pewno ją dostaniemy.

Jakiś czas niósł Śpiewkę. Musiała odpocząć, on zresztą też. Powoli zaczęli zbliżać się do miejsca, gdzie usłyszeli, że suka zwie-

trzyła trop. Po chwili dobiegł go odgłos strzału. Gdy znalazł się u podnóża góry, podniósł zostawiony plecak i zobaczył Georga MSrda, który właśnie rozpałał ogień. Ożywiony i rześki, opowiadał z zapalem o młodej łoszy, którą ustrzelili. To znaczy Anders był tym, który strzelił, a Erik i on pilnowali ofiary. Po rannym bieganiu wyszli, bynajmniej nie zachowując ostrożności, i mieli szczęście natknąć się na samotną młodą łoszę stojącą na mokradle. Była tak miła, że ustawiła się o jakieś sto metrów od nich, eksponując połec, i pozwoliła do siebie strzelić.

- Niech mnie diabli, czasami to jest tak, jakby wybrać się do sklepu i kupić wędlinę - mruknął MSns. - Co zrobiliście potem?

- Ona była tak miła - odpowiedział Georg wesoło - że kiedy Anders spudłował, odwróciła się drugim bokiem i pozwoliła mu spróbować ponownie.

Erik i Anders wrócili, gdy kociołek na kawę, zawieszony na drążku nad ogniem, zaczął szumieć. Dopiero co usłyszeli strzał ze strony, gdzie byli Rickard i Klas Bodin, a po godzinie ukazał się, na wpół biegnąc, zdyszany Rickard i powiedział, że jeden byk został postrzelony.

- To ty strzelałeś? - spytał Erik.

- Nie, Klas.

- Chyba nie poszedł za nim?

- Kiedy się na niego natknąłem, mówiłem mu, żeby zaczekał przynajmniej godzinę. Ale myślę, że on już zdążył pójść za nim spory kawałek. Pewnie zaraz nadejdzie.

Klas Bodin wynurzył się spocony i trochę wyczerpany, gdy właśnie skończyli jeść.

- Jak to się stało?

- Biegł klusem przez chwilę skrajem lasu w pewnej odległości od miejsca, gdzie siedziałem. Pewnie spłoszyliście go, jak żeście poszli za Minsem.

- Strzelałeś w poprzek mokradła?

Erik tak dobrze znał wszystkie miejsca, że nie miało sensu kręcić. Odległość była za duża, cel zbyt zasłonięty młodymi świerkami i brzozami. Byk w żadnym razie nie powinien zostać

postrzelony, ale teraz był, a Klas twierdził, że najpierw zwierzę zważyło się z łoskotem. Kiedy Klas zaczął biec w dół przez łąkę, łoś podniósł się i ruszył w las. Klas wyjaśniał dalej, że próbował go tropić, i Erik zaklął, kiedy usłyszał, że biegł za zwierzęciem pół godziny.

- Powinieneś mieć przynajmniej tyle rozumu, żeby nie łązić po śladach. Przypuszczalnie i tak będzie z tym trudno. Gdyby miał czas wyszukać sobie legowisko, gdzie mógłby się schronić, nigdy by nie zaszedł tak daleko. A nie ma nic trudniejszego, jak postrząłek, którego zaczęło się szukać za wcześnie. Nie masz, oczywiście, pojęcia, gdzie go trafiłeś?

Widać było, że Erik z przyjemnością używa sobie na Bodinie, ile się da. Wzrok MSnsa napotkał spojrzenie Andersa Floda, którego oczy błyszczały złośliwie, chociaż twarz pozostawała bez wyrazu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Erik zawsze był poruszony, jeśli chodziło o postrzeloną zwierzynę. Wszystkich wtedy ponaglał, by ją wytropić i ubić.

- Musimy wziąć do pomocy Gustafa Akermana - odezwał się Erik, wstając. - Ty, MSns, zejdź na dół do domu i weź jamnika, bo on tropi najlepiej. Śpiewka wydaje się wykończona.

- Karim... - zaczął Rickard, ale Erik prychnął tylko na Karima równie szybko, jak zbył protest Klasa, kiedy ten usłyszał, że będą korzystać z pomocy Akermana. Klas musiał się poddać. Przy tropieniu Gustaf był niezastąpiony, a skoro Klas strzelił, raniąc łośa, niech przestanie marudzić na temat Gustafa.

- W takim razie starczy na dziś - powiedział Klas - ale wiecie, co myślę na temat Gustafa Akermana.

- Świetnie też wiemy, co my na twój temat myślimy, draniu jeden - odparł Erik, nie patrząc w jego kierunku, jednocześnie pakował swój niezbędnik.

Klas spojrzał na niego ciężkim wzrokiem, ale się nie odezwał.

Po tym, co się stało poprzedniego wieczora, M&ns raczej nie sądził, żeby udało mu się przekonać Gustafa, aby do nich dołączył. Gdy jednak przyszedł do Gókkallan, Gustaf był dziwnie cichy i ruszył z nim na miejsce zestrzału prawie w milczeniu.

- Gniewasz się, Gustaf? - Mans rzucił pytanie w kierunku zgarbionych pleców, gdy szli ścieżką od Gókkallan.

Przez chwilę Gustaf nie odpowiadał. W końcu spojrzał na Mansa przez ramię i mruknął:

- A jak ty byś się czuł?

- Gdybym nie mógł brać udziału w polowaniu, to masz na myśli?

- Tak. I gdybyś nie wiedział, dlaczego.

Nagle głos mu się załamał i Mans odczuł to boleśnie.

- Gustaf, porozmawiam z Bodinem! Naprawdę.

Niewiele zaferował i znać było po plecach Gustafa, że też tak uważał. Po chwili powiedział powoli:

- Myślę, że powinieneś porozmawiać ze mną.

- Z tobą?

- Tak. O tym i owym.

Splunął w zarośla borówek i dodał spokojnie:

- Pomyśl nad tym, Mansen.

Więcej nie powiedział, bo już byli na miejscu, gdzie zwierzę zostało trafione i gdzie czekali Erik i Klas Bodin. Gustaf jeszcze splunął dodatkowo prosto przed siebie, zanim się przywitał. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Kiedy Klas pokazał, gdzie stał i skąd strzelał do łosia, i gdzie on się ukazał, Gustaf powiedział opanowanym głosem:

- Tacy jak ty uważają, że to bardzo zabawne nafaszerować łosia kilkoma kulkami ołowiu. Potem nie ma znaczenia, co się z nim dzieje i jak jest daleko.

- Pamiętaj, żeś nie przyszedł tu, aby wygadywać głupoty - powiedział Klas ostro.

- Nie, tylko żeby wytropić dla ciebie łosia.

Gustaf myszkował wokół miejsca zestrzału i przyglądał się śladom. Tu, na skraju lasu, ziemia była sucha i ubita i dopiero po długiej chwili poszukiwań Gustaf znalazł słaby odcisk racicy tylnego badyla. Kilka minut później podniósł i ułożył na dłoni parę ścinków sierści, stanął i wpatrywał się w nie. Oświadczył, żeby podłożyli na trop Strzała i że chce mieć przy sobie tylko Mansa.



- Jeszcze nie widziałem żadnej posoki. Ale myślę, że tu chodzi o strzał w miękkie, a wtedy poszedł gdzieś dalej. Mógł pognać bardzo daleko, z takim postrzałem i tak wystraszony, bo nie miał czasu się ukryć i położyć.

Na twarzy Klasa malowała się niechęć i sprawiał wrażenie, jakby miał mdłości, co radowało Minsa. Gorąco pragnął, by Gustaf jeszcze bardziej mu dołożył, może to odstraszy go od dalszego udziału w polowaniu. Ale Gustaf się spieszył. Wyliczył linię strzału, a nieco głębiej w lesie, gdzie ziemia była bardziej miękka, dostrzegł ślad łosia. Znalazł też troszkę posoki, wodnistej i jasnej, sprawdził jej smak i stwierdził, że jest pewien, iż zwierzę zostało trafione w trzewia.

- Czekaj tutaj, Bodin. Usłyszysz, jak go dostaniemy, wtedy będziesz mógł przyjść i go wypatroszyć.

- Niech Mans to robi.

- Tu jest zwyczaj, że ten, co ustrzelił, patroszy łosia - oświadczył Gustaf szorstko. - Ale może ty nie chcesz. Ryzykuje się przecież, że można ubabrać sobie ręce, to jasne.

Podłożyli Strzała na trop i wyruszyli. Jamnik uchodził w domu za rozpieszzonego leniucha, ale poza domem za niezawodnego tropiciela zajęcy. Jako tropowiec był spokojny i ostrożny, przedzierał się tak, że nie słyszało się ani drapania, ani sapania. Mans trzymał go na rzemieniu, którym przewiązał się w pasie. Szli cicho i ostrożnie w tempie, do którego Strzał bez żadnego oporu się dopasował, a gdy zaraz na początku tropu wywęszył kolejno kilka maleńkich kropel posoki, przestało go obchodzić wszystko inne. Za zajęcem, który, gdy uszli z kilometr, przeciął im ślad i nieprzytomny ze strachu jak wariat skoczył w przeciwnym kierunku, nawet nie spojrzął. Szerokim łukiem obchodzili Flymyran i MSns przypuszczał, że łoś być może szukał wody i że ich poszukiwania skończą się gdzieś w dole przy jeziorze Spjuten, którego wschodni brzeg był nie do przejścia, zarośnięty olszyną aż do samych szuwarów.

Okazało się, że zgadł. Już poczuł zapach szlamu z jeziora, kiedy po zachowaniu Strzała poznał, że pies chwycił wiatr i nagle jego pulchne, połyskujące czernią ciało zaczęło się czołgać w zarośla

czarnych jagód. Jamnik próbował wtarabanić się na kamień i pomogła mu w tym ręka Mansa, podpychając jego zadek. Pies przez chwilę siedział skulony, w napięciu, a nos mu wibrował. Niewątpliwie zwęszył łośia w pobliżu, ale między gęstymi krzakami czarnej olszyny, która porastała zbocze aż do jeziora, nie było nic widać. Musieli podpełznąć za nim, najciszej, jak tylko się da. Gustaf został odrobinę w tyle i Mans nie słyszał, czy też się czołga. Gustaf potrafił pełznąć w trawie jak wąż i jeśli trzeba było czekać bez ruchu, miał tę bajeczną cierpliwość, której próbował przez wszystkie lata nauczyć Mansa, i o której twierdził, że przychodzi z wiekiem.

Nagle znienacka zatrzeszczało nie dalej niż piętnaście metrów od nich i w ciemności olch łoś błysnął połciem. MSns zdołał jeszcze dostrzec zarys łopaty i pyska, kiedy zwierzę drgnęło, gdy się podnieśli, ale nie zdążył nawet unieść sztucera. Strzelba Gustafa trzasnęła i łoś zniknął jak starty z obrazu. Zaszleściło tylko w krzakach i na kilka sekund zapadła cisza, po czym Strzał zaszczeł gorączkowo i Gustaf pobiegł w zarośla. Mans za nim. Ujrzał jeszcze, że łoś ledwie wstał z legowiska, gdy został rażony strzałem, który zwałił go z nóg, tak że dosłownie zrolował się do przodu i łopatami niemal zarył w ziemię. Jego tylna kończyna wierzgała niebezpiecznie blisko Gustafa, gdy podeszli. Gustaf cofnął się kilka kroków i posłał mu śmiertelny strzał na ukos od tyłu za uchem. Jamnik szarpał się, by podbiec i dorwać się do sierści zwierzęcia, i Mans go spuścił ze smyczy.

- Ten tutaj to nic szczególnego - powiedział Gustaf, oglądając zwierzę. - To szpiczak. Niespecjalnie nadaje się dla Bodina, żeby sobie powiesił na ścianie.

Złapał za końce poroża, by ustawić prosto głowę zwierzęcia, i przyglądał się jej. Potem zabrał się do patroszenia i trzebień. Gustaf zawsze, gdy znalazł się przy ubitym zwierzęciu, był bardzo szybki. Lekko posapując, pracował prędko, ale nigdy niedbale. Prawdopodobnie pozostało to w nim z czasów, gdy musiał uwijać się z patroszeniem na miejscu i ani na minutę nie przestać nasłuchiwać kroków leśniczego.

Finką poszukał po omacku wklęsłości w czarnobrunatnej klatce

piersiowej łosia, po czym pchnął. Mans pomógł mu obrócić zwierzę na bok, żeby posoka mogła wypłynąć.

- Chyba najlepiej, jeśli weźmiemy się do niego od razu - odezwał się Gustaf. - To był postrzał w trzewia, tak jak myślałem. Ale ty możesz tymczasem nastawić kawę, bo czuję, że jednak trochę brak mi tchu po tym marszu. Chyba mimo wszystko czło-  
wiek zaczyna się robić stary.

Wydawał się być w tak dobrym humorze, gdy krzżeli się wokół ubitego łosia, że Mans przez chwilę sądził, iż zapomniał o całej historii z Bodinem. Ale gdy przykucnął i podpałał niewielki stosik drewna, które zebrał, Gustaf rzucił znienacka:

- Gdy idzie o wytopienie i patroszenie, to się człowiek nadaje.
- Weź wątrobę ze sobą do domu - powiedział Mans pośpiesznie. - Zrób to. Możesz wziąć ją do plecaka.
- A Bodin zgodzi się na to?

W głosie Gustafa słychać było drwinę i Mansowi wystąpiły czerwone plamy na twarzy. Wsadził w ziemię rozwidlony patyk i zawiesił na nim metalową puszkę, która w lesie była Gustafa kociołkiem do kawy. Jeśli w ogóle kiedykolwiek, to właśnie teraz mógłby porozmawiać z Gustafem. Chciał tego i jednocześnie nie chciał. Wstyd było wyznać, jak to się stało, że Bodin ma ich wszystkich w garści. Ale również wstyd było dać sobą tak pomiatać, kiedy Gustaf nie wiedział, dlaczego na to pozwalają.

Milcząc, pomógł mu odwrócić łosia na grzbiet i podczas gdy Gustaf siedział na zwierzęciu okrakiem z łbem łosia za sobą, utrzymywał zwierzę w równowadze. Gustaf rozciął skórę wzdłuż od żeber i Mans, jak zawsze, podziwiał jego lekkie i pewne ruchy rąk. Pomagając sobie palcami, które powoli i ostrożnie wcisnął w dziurę zrobioną nożem w powłóce brzucha, utworzył w niej podłużne zagłębienie, żeby przejechać ostrzem noża, nie uszkadzając niczego w środku. Mans nigdy nie potrafił tego zrobić, nie podkładając czegoś do środka. Gustaf macał ręką w jamie brzucha i jednocześnie lekko manipulował nożem. Wyciął przeponę po obu stronach równie zręcznie, jak gdyby kroił boczek w kuchni, a oczy mu się zaświeciły, gdy spojrzał na Mansa, choć zdołał za-

chować poważną twarz. Nie ulegało kwestii, że lubił się grzać w blasku podziwu Mansa.

Przewrócili łosia na bok, po czym Mans chwycił za tylne baidyle i uniósł w górę rozciętą część, w tym czasie Gustaf macał w dziurze klatki piersiowej, szukając tchawicy, znalazł ją i, zakławszy, pociągnął z całej siły, tak że za jednym zamachem wyrwał serce i płuca. Jednocześnie ukazały się też żołądki, więc ostrożnie wykroił wszystkie wnętrzności zwierzęcia. Mans wziął wątrobę i grzebał w plecaku w poszukiwaniu plastikowej torby, by ją zapakować. Odrobiną zimnej wody sklarował kawę, która się tymczasem zagotowała, rozlał dla nich obu, podczas gdy Gustaf kończył patroszenie.

Nawet kiedy siedząc w promieniach popołudniowego słońca, małymi łykami popijali gorącą kawę, przepelnieni przyjemnym uczuciem, gdy uderzał ich w nos zapach posoki i myśleli o całym tym mięsie, które przyniosą do domu, nawet wtedy nie usłyszał Mans z ust Gustafa ani słowa na temat tego, co się wydarzyło. Rozumiał, że Gustaf nie zamierzał prosić go jeszcze raz, tylko czekał. Gustaf sączył kawę przez kostkę cukru, spojrzenie miał dalekie. Siedzieli tak przedtem wielokrotnie i Mans zwykle paplał ożywiony i rozluźniony po przeżytych napięciach przed strzałem. Po długich godzinach wyczekiwania i skradania się gorąca kawa smakowała wyjątkowo. Po chwili Gustaf wstał i zaczął wycierać mchem ubite zwierzę. Musiał wyciąć sporo mięsa po strzale w brzuch i to go irytowało, nawet gdyby miał nic nie dostać z tego łosia, Mans wiedział o tym. Mans wziął nóż, podszedł do głowy zwierzęcia i rozciął skórę na podgardlu. Przeciął mięśnie, które trzymały ozór po bokach szczęk, wyłowił go i zgrabnie uciął przy nasadzie. Wiedział, że Gustaf lubi ozór, więc włożył go do plastikowej torby. Pomagali sobie, by przenieść zwierzę na skałę, gdzie je ułożyli i wsadzili rozporki. Patrochy zagrzebali wspólnie, najlepiej, jak się dało, w twardej ziemi. Podczas tych czynności Gustaf powiedział z lekkim uśmiechem:

- Kiedyś zasypywało się ziemią i mchem. Potem pięknie sadziło się dookoła młode drzewka, a wszystkie bebechy polewało się naftą.

- Ale po co?

- Chyba rozumiesz. Nafta dla zmylenia psów leśniczego, a za-  
lesienie dla samego leśniczego, kiedy chodził, myszkując. W ten  
sposób nie można było odkryć miejsca oprawiania zwierzyny,  
przynajmniej nie przed latem, dopiero wtedy, gdy młode drzew-  
ka uschły i były rude.

Kiedy opuszczali miejsce, byli spoceni, a Gustaf obtarł zakrwawione ręce wilgotnym mchem.

- Dawniej trzeba było od razu targać - odezwał się. - Suneło się na kolanach i człowiek musiał dźwigać nocami, a najgorzej w księżycowe noce i po świeżym śniegu. Wtedy nie było wielkiej szansy, żeby zdążyć zejść z drogi, kiedy leśniczy kręcił się w pobliżu. Ale miało się swoje sztuczki - dodał melancholijnie i z wielką lubością, po czym rzucił wzrokiem do tyłu na leżące zwierzę, którego ciężka głowa zwisała w dół, a lekko wygięte tyki sterczały smutnie.

Po kilku kilometrach, w miejscu, skąd Gustaf miał pójść w górę ścieżką do Gókkallan, rozdzielili się. Zanim odszedł, wyjął plastikową torbę z ozorem i wątroba, które Mans wsadził mu do plecaka, i oddał mu.

- Nie weźmiesz?

- Nie, dziękuję, nie wezmę. Nie wcześniej, nim Bodin pozwoli ci rzucić mi kasek.

Odwrócił się i odszedł, miękko uginając kolana, jak zawsze z niesamowicie zgarbionymi plecami.

- Gustaf! - zawołał Mans. - Zaczekaj! Nie chciałem, żeby tak wyszło!

Ale Gustaf pomału, spokojnie szedł dalej i wkrótce Mans widział już tylko lufę strzelby, która chybotą się ponad młodymi świerczkami.

Gdy Mans wrócił na miejsce ich postoju, nikogo z pozostałych nie zastał, więc doszedł do wniosku, że robili ostatni obchód przed zmrokiem. Siedział, marznąc trochę, i przez chwilę nadśluuchiwał, ale las wydawał się wymarły. Ułożył kilka patyków w stosik i podpalił je, żeby trochę się ogrzać, trudno mu było jednak usiedzieć w spokoju. Samotność i beczynność sprawiły, że myśli o tym, co się zda-

rzyło, zostały wprawione w jego głowie w ruch i teraz leży się nowe, a z nich rodziły się jeszcze bardziej ponure i bynajmniej nie przynoszące odpowiedzi na pytanie, co teraz będzie. Ucieszył się, kiedy usłyszał, że ktoś nadchodzi lasem, nawet jeśli zirytowało go, że ten ktoś porusza się tak nieostrożnie i wyraźnie mu się spieszy.

Był to Pelle Mard, który na wpół biegł, bez broni, z plecakiem podskakującym mu na plecach. Mans nie widział go od czasu, gdy wymknął się z chaty na Tranangen w nocy i prawie zapomniał o swym dziwnym niepokoj. W świetle dnia sprawy przedstawiają się jednak inaczej.

Pelle na przykład też wyglądał zupełnie inaczej, nawet trochę śmiesznie. Był zaczerwieniony z przejęcia, spocony i przez chwilę nie mógł wydobyć głosu, kiedy znalazł się obok Mansa.

- Dobrze, że cię znalazłem! Rany, co ja się za tobą nalatałem.
- A co ci się stało? I gdzieś ty właściwie chodził w nocy?
- Widziałeś, jak wychodziłem? Czekaaj, coś ci pokażę.

Pelle był tak zdyszany, że ledwie mógł mówić, jednocześnie usiłując rozsupłać sznurki plecaka.

- Masz - powiedział i podał Mansowi pomietą i dość zabrudzoną kopertę. Mans przeczytał adres. Kancelaria Adwokacka Hugo Jörgensson, Drottninggatan 12. Koperta była rozcięta i gdy zajrzał do środka, znalazł kolejną niechlujnie rozciętą kopertę, która musiała być przedtem zapieczętowana i zawierała cztery gęsto zapisane arkusze listowego papieru. Chociaż zaczynało mu coś świtać w głowie, zapytał:

- Co to jest?
- To list - wypalił Pelle. Wydawał się szczęśliwy.
- Jak tyś, u diabła, go zdobył?

Pelle usiadł i zaczął opowiadać. Mans poznał od razu, że tę cudowną historię wyraźnie opowiadał nie po raz pierwszy.

- Leżałem i myślałem o tym liście wczoraj wieczorem - powiedział. - Nie mogłem zasnąć, póki wiedziałem, że on ma nas w garści, i zupełnie nie miałem- pojęcia, co mógłbym na to poradzić. Wtedy przyszło mi na myśl, że Clara Bodin wrzuciła list po południu, a jeśli było już po czwartej, to jeszcze nie został wyjęty. Wiesz

przecież, że pocztę ostatni raz wybiera się w czasie popołudniowej tury. Potem poczta leży w skrzynce, aż Jonsson wybierze ją rano. Wtedy wstałem, poszedłem do domu i sam napisałem list.

- Ty? Napisałeś list?

- Aha - odpowiedział Pelle dumnie. - Chociaż właściwie tylko zaadresowałem kopertę. Do szwagra taty w mieście, Everta. Wiesz, Evert Karlsson.

M&ns słabo przypominał sobie Everta Karlssona, ale miał trudności z powiązaniem owego łysiejącego szefa stacji benzynowej z ich historią.

- Możesz wyobrazić sobie, jak Evert się ucieszy, kiedy dostanie pustą kopertę!

- Jasne - odparł MSns - mogę. Mogę wyobrazić sobie wszystko. Ale nie mogę pojąć, co ma jedno do drugiego.

- No, potem wrzuciłem kopertę do skrzynki przy sklepie. Ale napisałem zły adres, rozumiesz. Napisałem Hastangsgatan 4, ale nie napisałem właściwej nazwy miasta, tylko Sztokholm! Pojmujesz? Później wróciłem do domu i położyłem się spać, a rano zerwałem się przed szóstą i stanąłem obok skrzynki, pilnując, kiedy Jonsson przyjedzie, żeby ją opróżnić. „Słuchaj, Jonsson - powiedziałem. - Wrzuciłem tu list, na którym jest zły adres.” Zgodził się, abym przejrzał pocztę, a nawet mi pomógł. To było całkiem proste odsunąć na bok list Bodina, żeby tego nie spostrzegł, i naturalnie zaraz wsadziłem go za pazuchę. A potem Jonsson znalazł mój list i zobaczył na własne oczy, że napisałem źle, więc przekreśliłem Sztokholm i napisałem właściwe miasto. Potem trzeba było tylko podziękować i odejść. Było to dość nerwowe, ale miałem list, a on niczego nie zauważył.

Nabrał tchu i spojrzął z zadowoleniem na Mansa, który obracał w rękach kopertę.

- Wiesz, kim ty jesteś? - spytał Mans powoli i podał mu kopertę. - Jesteś duży cwaniak.

Pelle nie sprawiał wrażenia, że docenił pochwałę.

- Tak, jesteś nim - powtórzył Mims. - Pokazałeś to innym?

- Jasne. Latałem cały dzień, żeby złapać jednego po drugim.

*Przecież* śmiertelnie się bałem, żeby Bodin czegoś nie usłyszał albo nie zobaczył listu. Wtedy byłoby znowu równie fatalnie.

- Dlaczego żeście go otworzyli?

- Żeby zobaczyć, co w nim jest, oczywiście!

Jasne. Chcieli zobaczyć, co w nim jest, więc obracali i wodzili palcami po tych czterech arkuszach z ponurą relacją, jak wdowa Svea Maria Hellberg została potrącona i zmarła, i jak zostawiono ją własnemu losowi przy bocznej drodze do gospodarstwa Nipparbol, kilometr od stacji Rasbyfors. Arkusze papieru były osmolone dymem z ogniska, zakrwawione po sprawianiu łośia i poskładane wiele razy.

- I co ty teraz zrobisz? - spytał MSns lekkim tonem. Nie spuszczał wzroku z twarzy Pellego.

- Teraz to spalimy - odparł Pelle. - Erik sprzeciwił się, żeby go spalić, zanim ty przeczytasz, bo ty jesteś ostatni.

Dmuchał w ognisko Mansa, żeby się lepiej paliło i dołożył kilka suchych patyków. Ogień strzelił z cichym trzaskiem i lśnił, i migotał w oczach Pellego, kiedy wyciągał arkusze jeden za drugim i pozwolił im skręcić się i szernieć w płomieniach. Koperta i list do adwokata poszły za nimi. Spłonęły szybko i żwawo, tylko kilka zakopconych na czarno płatków zawirowało i zatańczyło w smużce dymu. I było po wszystkim. Pelle wytarł ręce o spodnie na udach i kiwnął MSnsowi głową.

- No, to pozbyliśmy się tego gówna.

Mins siedział z rękami splecionymi wokół kolan i popatrzył na niego.

- A teraz? - spytał.

- Co takiego?

Pelle spojrzał na niego błękitnymi oczami.

- Co zamierzacie teraz zrobić? - powtórzył MSns cierpliwie.

Pelle zdjął czapkę i chustką do nosa otarł spocone czoło. Jego spojrzenie umknęło w bok.

- Tego to ja nie wiem - odparł. - Ja wziąłem tylko ten list. Nie wiem, co będzie teraz. Chyba musicie o tym porozmawiać.

Wyglądał na przestraszonego.



## 8

### Wtorek, 15 października

O zmroku z lasu wyjechał traktor, ciągnąc platformę, na której leżała młoda łośza, a obok niej chudy łoś. Długie przednie badyle byka zwisały bezwładnie, a wielka głowa podskakiwała na zakrętach drogi. Ludzie powychodzili z chat, by obejrzeć i ocenić wynik polowania, kiedy pojazd przejeżdżał obok. Spoglądano na mężczyzn, zmęczonych i utrudzonych, oraz na leżące tusze i konstatowano, że widywano już większe. Opowiadano zresztą, że w tym roku polowanie nie szło najlepiej, ale z jakich przyczyn, nie wiadano. Mężczyźni byli mniej skorzy niż zwykle do mówienia o tym, co się działo na górze w lesie, a z pojedynczych strzałów i psiego ujadania, które dochodziły do zabudowań, nie można było wydedukować zbyt wiele. Mówiono, że brat panien Bodin też w tym roku brał udział, ale Gustaf Akerman nie. Było to osobliwe, żeby nie powiedzieć nieprawdopodobne. Inni słyszeli, że to właśnie Gustaf z Gókkallan ustrzelił byka, ale w takim razie powinien być razem z pozostałymi.

Nikt nie wiedział, jak było naprawdę, ale wieczorem okazało się, że kiedy ubite zwierzęta znalazły się w szopie przy Stora Nybygget, Gustafa nie było. Ze wszystkich stron mglistymi w październikowe wieczory drogami schodzili się

ludzie, żeby popatrzeć na rozbieranie mięsa. Było rzeczą naturalną, że światło z szopy przyciągało znajomych i krewnych myśliwych. Kusiła ich myśl o smakowitych kawałkach, które zwykle odrąbuje się i rozdziela bezpłatnie, kiedy mężczyźni tacy jak Georg Mard i Mans Westling trochę sobie golną i zaczynają opowiadać o polowaniu. Ale również znajomi znajomych podchodzili cichcem, dalecy kuzyni tłoczyli się na progu, i z błyszczącymi oczami przychodzili także żujący tytoń starcy z domu opieki. Starzy wspominali dawne strzały i łosie niesłychanych rozmiarów, i psy, które były prawdziwymi psami na łosie, a nie jak te obecne z delikatnymi łapami, piskliwie poszczekujące i leniwe. Wszystkich dziesięcioro Gillermysząt kręciło się dookoła upolowanych zwierząt i gapilo wielkimi oczami. Dłubiąc w nosie, dzieci stwierdziły, że ubite łosie wyglądają jak wielkie strachy w ostrym świetle reflektorów. Zwierzęta wisały na mocnych hakach, byk na żerdzi, która przebijała ścięgna Achillesa. Georg MSrd uderzał siekierą, a Anders Flod zdierał czarnobrunatną kudłatą skórę, zmierzwioną i pozadzieraną pasynkami rywali w czasie rui.

- Kiedy będę duży, to zastrzelę jeszcze większego - zwierzył się najstarszy z Gillermysząt kilku młodszym siostronom stojącym z okrągłymi oczami. - Zastrzelę tego byka Akermana, o którym on mówi: morderca. Łeb powieszę w pokoju, a wy będziecie mogli przychodzić i go oglądać.

- Wtedy to on już będzie dawno ubity.

- Oni go nigdy nie dostaną!

- Poczekaj tylko, aż będę miał strzelbę.

- Cicho, dzieciaki, odejdźcie stąd - zdenerwował się Anders.

Zdzierając skórę, myślał o tych pięciu tysiącach koron i może o kolejnych pięciu tysiącach i Bóg jeden wie, ilu jeszcze. Było prawdopodobne, że to nigdy się nie skończy i trzeba będzie opuścić swoje gospodarstwo i pójść na drwala do koncernu celulozowego, a chłopak poogląda sobie strzelbę na księżycu. Fabryka w mieście, pomyślał i szarpnął za skórę, pociągając nosem i z trudem patrząc pod światło, które kłuło prosto w piekące oczy.

Pierwszego dnia nie sprzedawano do rzeźni. Zwykle dzielili mięso na tyle stosów, ilu myśliwych brało udział w polowaniu, to znaczy na siedem, jeśli byli wszyscy. Potem losowali te stopy. Ale jeśli ktoś miał pecha i musiał zostać w domu, przedtem wybierali dla niego na oko udziec albo kawałek łopatki. Gdy kawa z doławką wódki zaczynała się grzać i pod blaszanym dachem szopy narastał szum, zwykle kości na rosół, a także inne kawałki rozdawano jako kąski na spróbowanie, a kierujący psami posypywał skórę grubą solą i zwijał ją, by zabrać do domu. Jeśli łopaty łosia były coś warte, naturalnie dostawał je ten, kto go ustrzelił. Ze dwadzieścia lat temu były tu spory na temat rozdziału zdobyczy, co się komu należy w przypadku, gdy odległość od granicy rewiru wynosiła niecałe sto metrów, a strzelanina była chaotyczna i w konsekwencji doszło do kłótni z komisarzem okręgu.

Ale w tym roku wyglądało na to, że nie będzie żadnych kąsków na spróbowanie. Harmider ucichł i ludzie zaczęli powoli rozchodzić się do domów. Mężczyźni nie robili wrażenia zadowolonych, kiedy dzielili mięso, a leśniczy tak mrocznym wzrokiem świdrował Bodina, który, dziwne to, ale rozkazywał, jak mają wyglądać stopy mięsa, i pilnował, żeby kaździutki skrawek kładziono na właściwe miejsce, no i żeby kości oskrobywano do czysta.

- Ten to się zachowuje jak wredny generał - mruknął jeden ze starców z domu opieki, przyglądając się kościom, które były rąbane do samego końca, na dokładnie tej samej długości kawałki, i odkładane na stopy mięsa.

Tym, co zostali tak długo, aż rozebrano łoszę, dane było usłyszeć coś niesłychanego, więc rozbiegli się do domów z tą wiadomością i przekazali ją innym mieszkańcom chat, bo ich także dotyczyła, i czuli się zarówno podnieceni, jak i zaciekawieni sensacją.

- Jutro będzie polowanie z naganką - rozpowiadali. - Leśniczy powiedział, że ludzie do naganki mają się zgłosić do niego.

- Polowanie z naganką? Rany boskie, a co to znowu za pomysły? Oni przecież nigdy tak nie polowali.

- Tak, ale teraz będą. To Bodin z miasta powiedział, że będzie polowanie z naganką, bo on tak chce.

- A on o tym decyduje?

Najwyraźniej tak było. Stał rozkraczony, mrużąc oczy od świateł reflektorów w szopie, i rozdzielał stopy mięsa, nie słuchając gwałtownych protestów Mansa, że polowania z naganką nie można zorganizować w jedną noc. Miało być zrobione i już. Dziwne jednak, że nie protestował leśniczy, chociaż to na niego spadała cała praca. Powiedział tylko, że jako kierującego naganiaczami chce mieć Gustafa Akermana, polowanie będzie prowadził sam, a jeśli idzie o przepisy bezpieczeństwa wewnątrz rewiru, ma prawo wymagać posłuszeństwa od każdego. Bodin dostanie najlepsze stanowisko i Erik, by go przekonać, nawet pokazał mu na mapie, gdzie będzie stał, kiedy rano ruszy obława. Ale jeśli chodzi o Gustafa, musi się zgodzić. Bez godnego zaufania prowadzącego naganiaczy Erik nie chce mieć gromady ludzi krążących po lesie.

- Nigdy nie wiadomo, co się wtedy może zdarzyć - powiedział, a Bodin posiał mu długie spojrzenie, zanim wpakował swoją część mięsa do volva i odjechał. Rickard miał zostać w Nybygget, żeby wspólnie z innymi zaplanować polowanie z naganką.

Eva Westling przez cały czas była obecna i przyglądała się rozbieraniu zwierząt. Teraz stała niezdecydowana przed jedną z części, podczas gdy mężczyźni weszli do domu, żeby ułożyć plan jutrzejszego polowania. Kiedy została sama, chwyciła kawałek papieru pakowego, który leżał w rogu, i owineła nim spory kawał łosiego udźca wzięty z porcji Mansa. Przymocowała mięso do bagażnika roweru, wsiadła i odjechała w ciemność. Gdy znalazła się przed Vinterrónningen, minęła podjazd i popedałowała dalej w las w kierunku Gókkallan.

U Gustafa w oknie kuchennym paliło się światło, a on sam wyszedł na schodki i patrzył, jak opierała rower o płot. Wyda-

wało jej się, że przyjechała tak cicho, ale Gustaf miał słuch jak lis.

- To ty? Przyjechałaś w takie ciemności?

Ucieszył się, to było od razu widać, chociaż w jego głosie brzmiała ostrożność. Wzięła z roweru mięso i weszła z nim do środka. Spojrzał na paczkę, kiedy położyła ją na stole w kuchni, ale nie odezwał się. Eva po jeździe na rowerze miała zaróżowione policzki, a jasne włosy rozwichrzzone. Próbowwała je trochę doprowadzić do porządku, ale Gustaf nie posiadał żadnego lustra. W chacie było gorąco od pieca, załatywało naftą, kawą i starym człowiekiem lasu. To nie był nieprzyjemny zaduch, ale czystości tu nie pachniało. Eva była schludna i gdy odwiedzała Gustafa, jej oczy zwykle omiatały wszystkie kąty, tak że Gustaf czuł się trochę zakłopotany. Ale lubił ją. Była szczerą, trzeźwo myślącą i naprawdę pracowitą kobietą. A mimo to miała w sobie jakąś dziewczęcą lekkość, która sprawiała, że czuł się przy niej pięćdziesiąt lat młodszy. Jej szczupła twarz szybko zmieniała wyraz od roześmianej do zamyślanej.

- Słuchaj, Gustaf- wypaliła prosto z mostu. - Dlaczego nie bierzesz udziału w polowaniu?

Musiał się odwrócić i zaczął się krzątać przy piecu, dorzucił kilka szczap do ognia i otworzył szyber. Postawił na piecu kociołek z kawą i wychłapał przy tym trochę wody, która zasyczała na rozżarzonych fajerkach.

- Mans nic o tym nie mówił?

- Nie, w ostatnich dniach Mans niewiele się odzywa.

Odwinęła papier, w którym było mięso, i pokazała mu.

- Przyniosłam ci kawałek udźca. Słyszałam, że to ty w końcu ustrzelełeś tego byka.

Jego oczy zalśniły nieklamana radością na widok pięknego kawałka na stek, ale odwrócił wzrok.

- Czy Bodin ci na to pozwolił? W takim razie prześlij mu pozdrowienie i powiedz, że niczego nie potrzebuję.

Hałasował fajerkami na piecu, plecy miał zgarbione i wydawały się napięte ze złości.

- To jest z części Mansa - powiedziała spokojnie. - I sama sobie wzięłam. Bodin nic o tym nie wie. Co mu zresztą do tego?

- Ano właśnie.

Nie mogła nic wskórać, póki był odwrócony plecami. Ale gdy postawił na stole kubki z kawą i wsypywał cukier do filiżanki bez ucha, wyglądał znów bardziej po ludzku.

- Nie mam dosłownie nic, czym mógłbym cię poczęstować - odezwał się zdenerwowany. - Kanapki ze zwykłego chleba raczej nie można podawać, kiedy się ma wytwornych gości.

- Podaj. Jestem porządnie głodna.

Nakroił jej grubych plasterów sera, żeby położyła na chleb, bo zależało mu, by ją ugościć, i wyraźnie było mu przykro, że przed chwilą okazał się opryskliwy.

- Należy ci się podziękowanie za mięso - powiedział. - Przyjmę je, jeśli pochodzi od ciebie. Widzisz, ten Bodin...

Spodkiem z kawą balansował na trzech palcach i siorbał ją powoli.

- On mnie nie cierpi. I mogę ci opowiedzieć, dlaczego. Różne były sprawy między jego ojcem a mną, wiesz o tym. I wcale nie zrobiło się lepiej, kiedy Bodin dostał strzelbę i, biegając we wszystkie strony po lesie razem z innymi młodymi panami, chciał polować. A ponieważ nie był to czas ochronny, korzystali z tego jak diabli wszędzie dookoła, no to ja siedziałem w chacie albo w pobliżu niej. Mam dwie morgi ziemi, jak wiesz, a granica rewiru przebiegała na samej górze przy strumieniu. Pewnego ranka słyszę, że psy musiały coś zwietrzyć i to zwierzę pędzi prosto ku Gókkallan. Najpierw biegło łukiem na zachód, a ja właśnie kopałem kartofle tu, na polu, więc stanąłem i słuchałem. Po chwili poszedłem po swego remingtona, bo wiedziałem, że w górze przy potoku jest przesmyk łosi, którym zwykle ciągną do lasu, i to wcale nie było niemożliwe, że tamtędy pobiegnie. No, ale oczywiście nic więcej się nie działo. Nie słyszałem ani razu nawet

pojedynczego strzału i łosie pewnie im uszły. Ale następnego dnia, kiedy orałem, miałem strzelbę ze sobą i nagle znów słyszę ujadanie psów, i cała sprawa się powtarza, chociaż tym razem najpierw łoś pognał na wschód, zanim skręcił w dół w moim kierunku. Wtedy zrobiło się cicho i nic nie zauważyłem, aż dopiero kiedy rozległ się łośkot przy potoku. Koń się spłoszył, a wielki, piękny byk pędzi na sztych przez kartoflisko. Szczęściem zrzuciłem z ramienia pas strzelby, bo trzeba było się spieszyć. Koń zupełnie oszalał ze strachu i pognał przed siebie z pługiem, ale pozwoliłem mu lecieć, gdzie sobie chce, bo teraz chodziło o to, żeby strzelić, więc strzeliłem i byk rymnął jak worek, aż łopatami zarył w kartoflisko i wyglądał tak głupio, kiedy tak leżał, że dostałem ataku śmiechu jak jeszcze nigdy w życiu, zanim mogłem zająć się koniem, bo biedaczysko pomknął jak królik.

Łyknał trochę kawy, nim znów podjął opowieść, a oczy mu błyszczały na samo wspomnienie tamtych chwil.

- Po chwili przyleciał pies Bodina, który gonił po tropie łośia, całkiem wykończony, oczywiście, i skacze niemal pionowo do góry, kiedy zobaczył leżącego zwierza. Ale zebrał się zaraz i wziął ostro do kudłów, więc podchodzę do łośia. Psa naturalnie uwiązałem na starej linie, bo myślałem, że Bodin będzie pewnie chciał z powrotem swego gagatka, nawet jeśli tym razem nie wystawił żadnego łośia. Linę przywiązałem niezbyt ścisłym węzłem do końca jednej z łopat - a musisz wiedzieć, że miał wspaniałe poroże! - bo przecież na kartoflisku nie było pod ręką nic innego, żeby go uwiązać. A potem siadam i go kastruję. Właśnie skończyłem i wstałem. Ale wtedy, dasz wiarę, widzę, jak dreszcz przechodzi przez te długie białe giry i on błyskawicznie wstaje i zaczyna wiać. Stałem i wytrzeszczyłem oczy, z jądrami w ręku, to znaczy, jądrami byka, i widziałem, jak to psie biedaczysko leci łukiem nad łopatami, a potem lina szarpnęła i obydwaj zniknęli za potokiem, zanim zdążyłem zamknąć usta.

Uśmiechnął się do Ewy, która też nie zdążyła zamknąć ust.

- A wiesz - ciągnął - to był wielki byk. Pobiegłem za nim, oczywiście, i pięćdziesiąt metrów za potokiem przewrócił się. Ale uderzył głową, a z oczu nie patrzyło mu dobrze, o nie. One płonęły, i wiesz, łopatomami, a miał je wielkie i rozgałęzione, wałnął w mech tak, że aż dym poszedł, i widać było po tych jego oczach, jak walczy, choć jest ranny. Uniosłem sztucer, a lufa mi się chwiała, miałem bardzo spocone ręce, bo je go oczy miały iskry. Ale odległość była mała, więc zaraz nastął jego koniec. Z biednego psiska wiele też nie zostało. Miał połamane żebra i zmiądzoną tylną łapę, więc zastrzeliłem go także, żeby się nie męczył. Nie trwało długo, kiedy ukazał się Klas Bodin i jego łowiecka kompania. No i wtedy zrobił się okropny zgiełk, możesz mi wierzyć. Krzyczał, że łoś jest jego, ponieważ to jego pies go wytropił i mu wystawił. Na to ja powiedziałem, że nie wystawił go bardziej niż mój stary biedny koń. I że został ustrzelony na kartoflisku, a pole jest moje. Bodin powiedział, że zabiłem mu psa, i to mu przyznałem, chociaż wiedziałem, że byłem do tego zmuszony. Łośia zatrzymałem, bo został ubity w odległości mniejszej niż sto metrów od granicy rewiru, i nie poddałem się, chociaż Bodin przyprowadził zarówno leśniczego, jak komisarza z okregu i wymierzali, i szwendali się po polu. W końcu Bodin oskarżył mnie, że zastrzeliłem jego psa. To był pies rasowy, czempion z medalami i pies myśliwski ułożony na łosie, dzie sięć razy więcej wart niż takie bydło i kłusownik jak ja. Ale w końcu komisarz powiedział mu, żeby się uspokoił, bo oni i tak nic na mnie nie mają.

Kilka sekund napawał się zdumieniem i śmiechem Ewy, z nim wstał i dolał kawy.

- Tak więc rozumiesz, że on mnie nie cierpi - powiedział. -A to i tak nie wszystko. Było jeszcze wiele innych historii.

- Opowiedz, chętnie posłucham - poprosiła Eva.

- Nie, Eva. Lepiej zachowam je dla siebie. Kiedy nie można już brać udziału, to człowiekowi zostają tylko stare wspomnienia.



W swej samotności wydawał się spokojny i niezależny, ale wyraz jego twarzy szybko się zmienił. Siateczka zmarszczek wokół roześmianych oczu zniknęła. Usta tworzyły cienką linię pod wąsem, oczy patrzyły twardo. Nie bardzo było wiadomo, czego można się po nim spodziewać. W jednej chwili tak, w następnej inaczej. Ale Eva nadal uważała, że najlepiej mówić wprost, bez ogródek.

- Oni chcą ciebie do polowania z naganką, jutro.

- Będzie polowanie z naganką? - spytał zdumiony. - Rozumiem, że to pomysł Bodina. Wymiecie się wszystko, co tylko żywe z lasu, a panowie będą siedzieć wygodnie na krzesłach, z kolanami owiniętymi kocem, i wybiją wszystko, co się napatoczy. To im pasuje, rozumiem.

- Nie musisz tak tego brać. Erik Emilsson może z pewnością urządzić przyzwoite polowanie z naganką. A on chce absolutnie ciebie jako prowadzącego naganiaczy, w przeciwnym razie nie zgadza się.

- Aha, w takim razie niech sobie da z tym spokój.

Nie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Znowu poczłapał do pieca, mamrocząc pod nosem:

- Żeby iść na polowanie z naganką bez strzelby, to się człowiek nadaje. I płoszyć zwierzynę dla takich jak Bodin, który strzela, gdy tylko zobaczy, że coś się rusza. On nie jest w stanie odróżnić, czy łoś jest zwrócony komorą czy zadem. Nie, to nie dla mnie. Tylko masa zwierząt zostanie postrzelona, a potem trzeba będzie znów pędzić, zanim się ściemni, z Mansem i jamnikiem, i próbować je wytropić. Chyba Mans też nie chce w czymś takim brać udziału?

- Gustaf - powiedziała Eva cicho i poważnie - ja chcę, żebyś ty tam był.

-Ty chcesz?

Małe usta zacisnęła tak zdecydowanie, że aż się zdumiał, a w jej pociemniałych oczach zobaczył niepokój. Położyła mu rękę na ramieniu w niebieskiej bluzie, a zacząwszy mówić, ścisnęła silniej.

- Nie wiem, o co chodzi, ale Mans jest jakiś dziwny i nie sypia po nocach. To coś jest związane z Bodinem. Wygląda, jakby się poróżnili, ale to niepodobne do Mlnsa ani do pozostałych pozwolić mu na takie zachowanie wobec nich. Oni mu się poddali, chociaż Erikowi, kiedy rozmawia z Bodinem, cie mniej oczy, a Mans jest jak odmieniony. Ja chcę, żebyś ty wziął udział w tym polowaniu, Gustaf. Właściwie dlatego przyszedłem.

Przeniósła spojrzenie na mięso i widać było, że jest trochę zażenowana.

- Jasne, że mogę wziąć udział - powiedział Gustaf powoli. - Ale nie rozumiem, co to da.

- Nie wiem więcej niż ty. Ale się boję.

- Boisz się?

Przytaknęła głową.

- Czego?

Tego nie wiedziała. Z tymi zaciśniętymi ustami sprawiała jednak wrażenie jeszcze bardziej zdeterminowanej i powiedziała, że zbiórka jest przy pierwszej bocznej drodze do kopalni o siódmej.

- Przyjdiesz?

Oczywiście, że przyjdzie. Skonsternowany i nieufny, odprowadził ją do roweru przy leśnej drodze. Czuł się równocześnie miło polechtany w swej dumie. Mans zawsze się do niego zwracał, od czasu, jak był mały. To było coś innego. Zdecydowana i dziarska mała Eva nie od wielu przyjmowała rady i w pierwszym ruchu nie szukała pomocy z zewnątrz. Wzruszyła go też trochę jako mężczyznę jej szczupła i młoda sylwetka, kiedy wsiadała na rower, bo spytał:

- Nie boisz się o tej porze jechać przez las? Mogę cię odprowadzić.

- Ech, zwariowałaś. Nie pierwszy raz tędy jadę.

Zanim ruszyła, przez chwilę majstrowała przy lampce roweru.

- Szczęście w każdym razie, że mam światło - powiedziała. - Bo w dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, czy nie nadjedzie

drogą samochód. Ta biedaczka, którą potrącono, nie miała światła. To nie jest wcale pewne, czy kierowca ją w ogóle widział.

- Nie złapali go jeszcze?

- Nie, to chyba nie będzie łatwe.

Siedząc wyprostowana, zaczęła pedałowac i pomachawszy mu ręką, odjechała. Widział światło roweru przesuwające się po pniach świerków, przez chwilę skakało zabawnie, aż połknęła je ciemność. Kiedy to zobaczył, naszły go dziwne myśli. Przypomniał sobie piątkowy wieczór, wtedy gdy najechano na tę opiekunkę z domu starców. Słyszał, że było spotkanie w sali Małej Betel, i podejrzewał, że Valborg, ta zmora na długich girach z Nybygget, przypuszczalnie wkrótce wyjdzie. Około jedenastej wyruszył na rowerze do Stora Nybygget, żeby pogadać na temat polowania z pozostałymi. Ale ich tam nie było. Wczoraj rano spytał o to Pellego Marda i Pelle powiedział, że zjechali na dół, żeby zabrać ze stacji Bodina i nowego psa Rickarda. Tymczasem Rickard mówił później, że cały wieczór byli w domu. Nie myślał o tym zbyt wiele. Do teraz, a w tej chwili też nie bardzo wiedział, co to za dziwaczne myśli go dopadły.

Żeby uciszyć niepokój, zaczął grzebać w starych gazetach leżących za przepierzeniem w sieni, ale nie znalazł tej, której szukał, więc wziął latarkę i poszedł do ustępu. Tam znalazł sobotnią gazetę w skrzynce na podłodze i gdy wrócił do kuchni, usiadł przy stole i zaczął szukać notatki. Miał w kredensie parę okularów do czytania po ojcu MInsa i choć nie pomagały mu dojść do ładu z literami, które wiły się jak węże i pełzały po stronicach w niewłaściwie pedantyczny sposób, czuł się w nich jednak pewniej. Powoli brnął przez artykuł o opiekunce, która została potrącona na drodze do stacji. Niewiele się dowiedział, co byłoby pożywką dla jego dziwnych, nie do końca sprecyzowanych myśli. Lampa naftowa zaczęła kopcić, więc musiał szybko przykręcić knot.

W kuchni Stora Nybygget siedział zespół myśliwych wokół mapy, którą Erik rozłożył między kubkami kawy. Ołów-

kiem zakreślił miejsca, z których ruszą naganiacze, stanowiska strzelców oznaczył kółkami. Wszyscy wiedzieli, gdzie mają stać, nawet jeśli było bardzo mało czasu na zorganizowanie tego wszystkiego perfekcyjnie, to, zdaniem Erika, jakoś się ułoży.

- Gustaf Akerman zna teren tak dobrze, że może poprowadzić szereg naganiaczy, nie korzystając z oznakowanych drzew. Zresztą nie mamy wielkiego wyboru.

- Cały czas nie pojmuję, dlaczego tak chętnie zgadzamy się na polowanie z naganką - odezwał się Georg Mard.

- Raczej musimy - odpowiedział wymijająco Erik.

Wstał, złożył mapę i wszyscy wyszli za nim, by wziąć swoje mięso z szopy. Łatwiej było rozmawiać na dworze w ciemności. Georg zapalił latarnię sztormową i zawiesił ją na ścianie, ale jej światło nie sięgało daleko.

- Musimy i musimy.

Georg powiódł badawczym wzrokiem po ich twarzach.

- Tak bardzo to on nas już nie trzyma w garści. Chociaż o tym nie wie.

- Jutro zobaczymy, czy potrafimy wywabić tego wielkiego byka Akermana, czy też on tylko straszy jego i M&nsa - powiedział Erik.

- Powinieneś był go zastrzelić, Mlns.

Mlns stał zwrócony do nich plecami i zbity z tropu przeszukiwał kawały mięsa. Mógłby przysiąc, że czegoś brakuje. Kiedy usłyszał głos Pellego, wzdrygnął się.

- Mówisz, jakbyś postradał rozum - powiedział porywczo.

Erik zaśmiał się cicho.

- On ma na myśli łosia, oczywiście. Tego starego mordercę, jak nazywa go Gustaf.

Roześmiali się cicho, stojąc dookoła niego w ciemności.

- Coś ty pomyślał?

- Powiedz.

- Chociaż w zasadzie - odezwał się Georg i potarł podbródek - nie byłoby to wcale takie głupie. W każdym razie teraz.

M&ns wiedział, co miał na myśli, mówiąc „teraz”. Teraz,

kiedy Pelle zdobył list. Zrobiło mu się sucho w ustach. W tym słabym świetle było coś przerażająco obcego w ich twarzach. Nawet Pelle wydawał się dziwnie podekscytowany.

- Wszystko zależy od tego, kto jutro zajmie stanowisko obok Bodina - odezwał się nagle Erik. Głos miał spokojny i obojętny, ale Mans zdrętwiał.

- Myślałem, że będziesz chciał sam je wziąć.

- Tak chciałem. Ale bez pomocy nie zdziałam zbyt wiele.

Rozpostarł mapę pod latarnią i stłoczyli się dookoła niej, podczas gdy on wskazywał palcem i objaśniał.

- Tu, poniżej Kolby, siedzi Bodin. To jest stanowisko numer pięć, a szóstka jest tutaj. On sam chciał piątkę, bo tędy jakieś zwierzę wyjdzie na mur. Kąt, pod którym można strzelać, będzie taki - powiedział i szybko naszkicował ołówkiem na mapie. - Dalej niż dotąd nie będzie mógł się wysunąć, jeśli chce być bezpieczny przed szóstką. Wtedy szóstka, jak coś się tu poruszy, może pomyśleć, że widzi łosia. Tam jest trochę zarośli olszyny i pole ostrzału małe. W zasadzie należałoby je wyrębać, ale nie ma na to czasu, kiedy tak mu cholernie pilno z urządzeniem sobie polowania z naganką.

Erik mówił trzeźwo i precyzyjnie. Tak samo, jak przed chwilą przy kuchennym stole. Mans nie rozumiał, do czego zmierza, zanim Anders Flod nie zauważył:

- On przecież nie zaryzykuje i nie wyjdzie zza olszyny.

- Nie, jeśli nie zostanie o tym wcześniej powiadomiony, oczywiście.

- Że nastąpiły zmiany?

- Jasne.

Mans wsunął spocone dłonie w kieszenie spodni. Do czego oni zmierzają? Bawili się tylko samą myślą, czy to było na poważnie? Oczy Erika tak dziwnie lśniły. Wydawał się rozba- wiony i spięty zarazem, często spoglądał na Mansa.

- Chociaż potem możemy przecież zaświadczyć, że o żad- nych zmianach nie było mowy i że wyszedł w pole ostrzału szóstki na własną rękę.

- To zawsze niebezpieczne opuścić stanowisko - dorzucił Anders Flod. - Wiąże się z ryzykiem.

- To raczej on zauważy.

- Jak się rzekło...

Erik złożył mapę i powiódł po nich wzrokiem.

- Wszystko zależy od tego, kto będzie miał szóstkę.

- Tyś oszalał - powiedział MSns gwałtownie. - To nigdy nie pójdzie tak gładko. To jest... to przecież morderstwo.

Wokół niego zaległa wroga cisza.

- To ty tak podchodzisz - odezwał się w końcu Erik. - Chaotyczna strzelanina zdarzała się już wcześniej. A co to było, coś nawyrabiał przy Flymyran wczoraj rano?

- To było coś innego!

Czy rzeczywiście? Sam już nie wiedział. Spojrzał na Rickarda, ale nie otrzymał wsparcia. Rickard stał, obracając w palcach swoją fajkę, twarz miał pozbawioną wyrazu.

- Masz ochotę być szantażowany o pieniądze, aż nic ci nie zostanie... i żeby tobą pomiatano i rządono?

Głos Andersa Floda brzmiał piskliwie, a on sam patrzył na Mansa tak, jakby właśnie jego pragnął ujrzyć zastrzelonego w chaotycznej strzelaninie. Właściwie to przecież o mnie chodzi, pomyślał Mins z rozpaczą. Wszyscy oni są w potrzasku przeze mnie. Jeśli Bodin doniesie, to będzie oznaczało dla nas koniec wszystkiego. Nie doniesie, to będziemy płacić. Jest dokładnie tak, jak Anders mówi - będziemy płacić, aż nic nam nie zostanie, a wtedy musimy zostawić swoje gospodarstwa i... na jedno wychodzi, cokolwiek zrobimy. Ma nas w rękę. Naszym jedynym triumfem jest ten list, o czym on nic nie wie. To bydlak i nienawidzę go, ale ja też jestem bydlakiem i ja zawiniłem. I nie ma na to ratunku, bo ten, kto będzie na szóście, po tym wszystkim nigdy nie zazna spokoju.

To właśnie chciał powiedzieć. Zamiast tego padło:

- Weźmiesz szóstkę, Erik?

- Tak myślałem.

Erik przypatrywał mu się uważnie. Wyraźnie nie był pe-

wien, czego można się po nim spodziewać, ale Mans sam tego nie wiedział, z jego twarzy nie dało się więc wiele wyczytać. Chciałby porozmawiać o tym z kimś innym, lecz to było przecież niemożliwe. Chciałby na chwilę uwolnić się od tego zamkniętego kręgu twarzy, które patrzyły na niego z wyrzutem: to ty prowadziłeś, Mans. Przynajmniej jemu wydawało się, że oni tak myślą, chociaż trudno powiedzieć, bo nagle Anders położył mu rękę na ramieniu i wymamrotał:

- Nie bierz tak wszystkiego do serca. To przecież nie twoja wina, jeśli...

- Uważam za niesłuszne, żeby Erik tak po prostu brał to stanowisko - przerwał Georg.

Nim Mans zdołał się zorientować, jak do tego doszło, stali spokojnie i dyskutowali o stanowisku szóstym, w pobliżu Kolby, jak gdyby to była zwykła sprawa.

- Chyba możemy rozwiązać problem w dawny sposób.

Prawie nie wierzył, że sam wypowiedział te słowa. Spojrzeli na niego z chytrym uśmiechem, kiedy uzmysłowili sobie, co ma na myśli. Część stanowisk była przecież lepsza od innych i aby strzelcy mieli równe szanse, zgodnie ze starym zwyczajem ciągnęli losy o te najkorzystniejsze pozycje. Choć tym razem jest akurat odwrotnie, pomyślał Mans. Ale gdy popatrzył na twarze Georga i Erika, nie był tego taki pewien.

- Ciągniemy - zdecydował Erik. - Tak będzie najlepiej i po tem nie ma co tego dalej roztrząsać. Każdy jest równie odpowiedzialny za to, co się stanie na szóstce, jak gdyby sam tam siedział. I ma nie być o tym żadnego gadania. Ale tego chyba jesteście świadomi?

Rzucił spojrzenie na Mansa.

- Ze względu na was samych.

Mans miał uczucie, jakby znalazł się w czymś lepkiem. Teraz wpadliśmy bardziej niż kiedykolwiek, pomyślał, ale Erik nie zastanawia się nad tym.

- W takim razie ciągniemy - odezwał się zdenerwowany i wyjął pudełko zapalek.

- O, nie.

Erik wsadził mapę za pazuchę i zapiął wiatrówkę.

- Teraz idziemy do domu spać. Zbieramy się wpół do siódmej, pół godziny przed innymi. Ty, MSns, dopilnuj, żeby poszła wiadomość do Gustafa. Ciągnąć będziemy dopiero jutro. Ten, kto wyciągnie długą zapałkę, miałby zbyt wiele do myślenia dziś w nocy.



## 9

### Środa, 16 października

Przed siódmą zaczął się ruch na drogach prowadzących do Nybygget, skąd ludzi do naganki miał zabrać jeden z autobusów Marda i zawieźć na miejsce zbiórki. Ciągnęli w szarym brzasku pieszo, na rowerach, grubo ubrani w skórzane kurtki i wełniane swetry, bo zima przysłała w nocy mroźny powiew jako zapowiedź i przypomnienie o sobie i ziemia była sztywna od przymrozku. Dymy z kominów szły pionowo w górę i wielu uważało, że polowanie z naganką w taki dzień, jaki się zapowiadał, wcale nie jest głupim pomysłem. Żaden pies nie może się prawdziwie wykazać, jeśli trawa chrzęści i trzeszczy pod łapami, a przy tym nie ma krztyny wiatru.

Mans, dość niezwykle jak na niego, przyszedł na spotkanie ostatni i pozostałych pięciu zobaczył, jak stoją zmarznięci w nieruchomym kręgu przy bocznej drodze do kopalni.

- Musimy się pośpieszyć, bo zaraz nadejdą ludzie - powiedział Erik Emilsson zamiast powitania.

- Przejdźmy lepiej w stronę mielerza.

Przy każdym słowie z ich ust wydobywały się obłoczki pary niczym lekki dym. Mans, ociągając się, szedł w milczeniu za Georgiem, który prowadził ich drogą do Kolby, a potem obok opuszczonego domostwa. Stało z zabitymi oknami i na wpół

zwaloną przybudówką w dżungli zdziczałych wiśni. Ścieżka prowadziła obok jednego z pozostawionych wykopów. Wiosną, kiedy pierwiosnki jak szalone rosły wokół tych dołów - tutaj były większe niż gdzie indziej - wiatr niósł stąd fetor, który zwabiał zrywających kwiaty miastowych, by podejść do krawędzi i zajrzeć w dół. W dole w czerni widać było przednią część łosia, ale teraz jesienią aż po samą krawędź stała woda i jedynie niebo odbijało się w nieruchomej powierzchni.

Mans spał spokojnie w nocy, ale zasnął dopiero jak przemyślał to, co się wydarzyło wieczorem w Stora Nybygget. Gdy wrócił do domu do Vinterrónningen, nastąpiła reakcja na to wszystko, tak gwałtowna, że musiał zamknąć się w kancelarii i uspokoić, inaczej poszedłby na górę do Evy, obudził ją i wyrzucił z siebie, co mu leżało na sercu. Kiedy opanował się na tyle, że mógł jasno i spokojnie wszystko po kolei prześledzić myślą, pojął, że to, w czym uczestniczył wieczorem, wynikało z samej natury polowania. Byli w lesie dwa dni i jedną noc. Biegali, podpełzali i zmachali się, by mieć zwierzynę na strzał, a gdy strzał wreszcie padł i zabrali się do patroszenia, to podniecenie, które zawsze towarzyszyło polowaniu na łosie, przenikało ich do głębi. Sprawiało, że szalone pomysły, których w zwykłych warunkach nikt by nie zaakceptował, wydawały się rozsądnymi planami. Boże święty, pomyślał, przecież jesteśmy normalni. Znam ich wszystkich. W pojedynkę żaden z nich nie wpadłby na coś takiego, nawet Erik. I nigdzie, tylko w Nybygget, w zwodniczym dla oczu świetle latarni, w mroku październikowej nocy, na dworze, nie można by tak się dać omamić, aby przystać na coś takiego.

Potem poszedł się położyć, trochę osłabiony, i dziwne może, ale przekonany, że w rześkim świetle poranka spojrzą sobie w oczy i na tym się skończy. Problem zniknie.

Tymczasem nic nie zniknęło. Zauważył to już, kiedy zaczął podchodzić drogą do Kolby ze sztucerem na ramieniu i Strzałem szarpiącym się obok niego. Klas Bodin nadal wiedział, co wiedział. Z tej strony nie można było oczekiwać uległości. Tamci, którzy zmarznięci czekali na niego, wydawali się myśleć to samo.

Erik odwrócił wzrok, gdy powiedział, że muszą się pospieszyć, i nikt nie zadał pytania, z czym mają się spieszyć. Człapali cicho w górę do miejsca po mielerzu, gdzie zwykle w poprzednich latach robili przerwę i zdejmowali plecaki. Teraz Mins wiedział, że powinien coś powiedzieć, i w nocy nawet wymyślił, co powinien powiedzieć. Zamiast tego stał, wodząc palcami po zamku sztucera, a przez głowę przemknęło mu, że nic nie jest tak godne zaufania jak dobra broń myśliwska. Już od tygodnia wieczorami zajmował się sztucерem, przeciągał lufę wyciorem, potem smarem, a później polerował suchymi szmatkami. Strzelba była teraz czysta, sucha i bez skazy niczym świeżo przewinięte niemowlę. Tutaj w lesie wszystko zależało od tego, czy broń jest sprawna i czy nie zawiedzie w odpowiednim momencie. Wystarczyło pójść pół kilometra, by poczuć się zdanym na łaskę broni. Tutaj wszystko od niej zależało. Problemy, które nie mogły zostać rozwiązane jednym strzałem, nie istniały. Nie miały prawa istnieć.

- Diabelska pogoda - odezwał się Anders Flod. Głos miał porannie chropawy i zachrypnięty. - W nocy termometr wskaazywał minus trzy stopnie.

Więc nie spałeś, pomyślał Mins. Oczy Rickarda były także zaczerwienione od niewyspania i stale nimi mrugał.

- Ciągniemy?

Dziwne, że to właśnie on spytał. Wydawał się zdenerwowany i niechętny. Stał, obracając w palcach fajkę.

- Zapalaki?

Erik skinął głową. Wyjął sześć zapalek z pudełka Rickarda i przyglądali się, jak z każdej po kolei odłamywał siarkę. Jedną pozostawił całą. Ponieważ obłamywał główki z dużą precyzją, zabrało to sporo czasu i Georg poprosił, by się pospieszył.

- Wkrótce zaczną tędy iść naganiacze.

Minsowi także wydawało się, że słyszy głosy dochodzące z drogi.

- Siarka jest szóstką - powiedział Erik i podsunął im przed oczy dłoń tak, żeby mogli widzieć zapalaki, pięć złamanych i jedną z główką siarki.

- Wszyscy ciągną?

Powiódł wzrokiem po ich twarzach. Pelle Mard gwałtownie otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je na powrót.

- Nie! Nie możemy... nie...

To był Rickard, który teraz się odwrócił. Twarz mu zblętała, ale blady był cały ranek, a jego zaciśnięte wargi tworzyły cienką kreskę. Erik odczekał chwilę, patrząc w milczeniu na jego plecy w lodenowej kurtce. W końcu zapytał ponownie:

- Ciągną wszyscy? Inaczej chyba nie będzie...

- Więc się pospiesz! - przerwał mu Rickard, obróciwszy się znów ku nim.

Erik powoli odwrócił się do nich tyłem i zaczął układać zapalniczki. Kiedy zrobił ponowny obrót, rząd absolutnie idealnie równych białych zapalniczek sterczał pomiędzy kciuka i palca wskazującego jego prawej ręki. Tylko duża dłoń Erika mogła utrzymać sześć sztuk tak równo. Najpierw spojrzeli na siebie, jak gdyby zamierzali się certować, ale niemal zaraz zacerwieńniony z zażenowania Georg wziął zapalniczkę. Zrobił to tak szybko, że żaden nie zauważył, zanim nie zacisnął jej w dłoni. Anders Flod wciągnął wiszącą u czubka nosa kroplę i też sięgnął po zapalniczkę. Zrobił to tak samo jak Georg, a najbliżej niego stał Pelle. Nie Pelle, pomyślał Mans. Na Boga, tylko nie Pelle. Dlaczego, nie bardzo wiedział. Ze względu na Pellego? Czy też dlatego, że był prawie pewien, że Pelle nie da temu rady?

Oczy Pellego były rozszerzone i niemal bezbarwne, gdy ciągnął. Przez ułamek sekundy Mans sądził, że Georg się sprzeciwi, ale nic takiego się nie stało. Pelle schował swoją zapalniczkę w rękę i z twarzą pozbawioną wyrazu stał, patrząc na Mansa i Rickarda, którzy pociągnęli niemal jednocześnie. Mans wcisnął pięść w kieszeń spodni, nie czując, co wyciągnął, i wtedy Erik odwrócił dłoń i pozwolił swojej zapalniczce spaść na ziemię. Była złamana. Jeśli to Rickard, zdążył pomyśleć Mans, to nic z tego nie będzie. On nie może, wiem to. Jeśli to ja...

Poczuł coś ostrego w dłoni, wyciągnął rękę i odrzucił od siebie zapalniczkę. Złamana.

- To nie ja! Ja jej nie wyciągnąłem!

Pelle odrzucił od siebie swoją. Kąciki ust mu drgały, oczy były tak samo rozszerzone jak przedtem, gdy popatrzył na swego ojca. Georg z nieprzeniknioną twarzą rzucił złamana zapalniczkę pod stopy i to samo zrobił Rickard. Wszyscy patrzyli na Andersa Floda, który stał, trzymając na piersi rękę zaciśniętą w pięść.

- Tak - odezwał się i miał taki sam ochrypły głos jak przedtem. - Tu ją macie.

Trzymał w górze zapalniczkę z główką siarki, po czym pstryknął nią kciukiem o palec wskazujący.

- Biorę stanowisko szóste, tak jak mówiliśmy. A główny łowczy daje oczywiście swoje instrukcje.

Gdyby Anders nie był tak odległy od wszystkiego, co nazywa się ironią i sarkazmem, Mans byłby skłonny sądzić, że coś takiego zabrzmiało w jego głosie, gdy popatrzył na Erika.

- Wszystko powiem. Teraz jednak lepiej stąd chodźmy.

Erik wziął broń i zarzucił plecak na jedno ramię.

- Zrobisz dokładnie to, co będziesz uważał za stosowne - powiedział do Andersa. - Decydujesz sam. Ale tak jak powiedziałem wczoraj, wszyscy jesteśmy dziś odpowiedzialni za szóstkę.

Anders Flod szedł pierwszy i prowadził ich gęsiego ścieżką z powrotem obok wykopu i Kolby. Było za pięć siódma i od strony drogi dolatywały głosy i warkot samochodu. W momencie gdy wyszli na drogę, podjechał samochód Rickarda, zatrzymał się obok zaparkowanego autobusu i wysiadł z niego Klas Bodin. Mans zobaczył, że Anders przystanął. Kilka chwil stał i kołysał się w swoich gumiakach z palców na pięty. Potem odszedł na bok bez powitania, siadł na brzegu drogi i zaczął coś majstrować przy plecaku.

- Wyszedłeś wcześniej?

Wydawało się, że Rickard nie bardzo wie, co ma odpowiedzieć Klasowi, ale Erik zrobił to za niego.

- Przed polowaniem z naganką jest wiele do ustalenia.
- Również drogo to wyniesie - powiedział Georg Mird i rozejrzał się dookoła.

Przyszło więcej ludzi, niż się spodziewali. Jeśli dwadzieścia czy trzydzieści osób ma dostać zapłatę za cały dzień, to już są niemałe pieniądze. Ale to i tak były drobne sumy. Mans był przekonany, że wszystkich sześciu obliczało w myślach, ile to będzie kosztować. Liczenie nie wychodziło, bo stałe sześć razy pięć tysięcy mieszało się z tymi obliczeniami i wywracało cały rachunek. Erik zatrzymał około dwudziestu mężczyzn, a resztę odesłał do domu, w tym nieznaną liczbę małych potomków Gillermossen, które nastawiły się na to, że wezmą udział w nagance, i teraz głęboko rozczarowane wlokły się do domu.

Dopiero gdy Mins ujrzał Gustafa Akermana, stojącego bez strzelby z rękami w kieszeniach spodni i kapeluszem nasuniętym na oczy, przypomniał sobie, że miał go zawiadomić.

- Wiedziałeś, co tu się będzie działo?

- Eva przyszła do mnie wczoraj wieczorem z kawałkiem mięsa na pieczeń. Prosiła, żebym wziął udział.

Mins osłupiał, ale nic nie powiedział.

- To dobrze, żeś przyszedł. Erik chce, żebyś poprowadził naganiaczy. Tylko pod tym warunkiem zgodził się na polowanie z naganką - dodał i próbował złowić spojrzenie Gustafa pod rondem kapelusza. Ale nic z tego nie wyszło; twarz była niewidoczna, widział tylko wąsy i nieodłączną szczyptę tytoniu pod wargą.

- Więc ona cię poprosiła?

Gustaf nie odpowiedział. Poruszył prymką i prześlizgnął się wzrokiem po zebranych.

- To prawdziwa gromada, z którą człowiek ma przeciągnąć przez las.

Podszedł do Erika, który akurat rozwijał mapę.

- Chłopaków z Arby możesz odesłać do domu.

- Dlaczego?

- Najstarszy to prawdziwy awanturnik. Będą z nimi tylko kłopoty.

- To się wściekną, wyjdą przed nami i zastrzelą nam łosia.

Ale zrobił tak, jak Gustaf powiedział, i trzech wysokich chłopaków, szemrając, ruszyło w dół drogi, debatując nad tym, jak najlepiej wykorzystać prowiant i wódkę i cały długi dzień.

Wielu uważało, że leśniczy niepotrzebnie opóźnia polowanie przez te wszystkie instrukcje. Był rozpaczliwie dokładny w rozdzielaniu poleceń, którzy mężczyźni będą skrzydłowymi w łańcuchu naganki i im to rozdano takie same rogi do wydawania sygnału, jak ten, który miał Gustaf idący w środku. Chodziło bowiem o możliwość zatrzymania naganki przed linią myśliwych, żeby żadne nieszczęście się nie przytrafiło. Gdy podśmiewali się z jego staroświeckiej ostrożności, warknął, że powinni być wdzięczni za jego surowe nakazy, bo od dawna nie było tu polowania z naganką. Żaden z nich nie ma pojęcia, co to znaczy mieć tyle ludzi i broni na niewielkim terenie. I teraz żeby jeden z drugim pilnowali, co do nich należy, strzelcy mają nie opuszczać swoich stanowisk pod żadnym warunkiem, dopóki naganka nie zostanie odtrąbiona, i nikt z łańcucha naganiaczy nie może działać na własną rękę, a wtedy przyrzeka im ekstrazapłatę za każde zwierzę, które zostanie ustrzelone. Leśniczy był w niezwykle cierpkim nastroju, ale to zrozumiałe, mówili ci, którzy już kiedyś brali w czymś takim udział. Jak tylko się rozwidniło, był już na nogach, cechował drzewa i przeszedł próbnie drogę naganki.

W jego ocenie naganka z Kolby przejdzie w czterdzieści minut. Mieli iść szeroko, na przełaj, ale teren był porośnięty i trudny. Chciał, aby odległość między mężczyznami w obławie wynosiła najwyżej pięćdziesiąt metrów. Strzelcy, których było tylko siedmiu, nie wystarczali do pokrycia całej linii, tak że w kilku miejscach zamiast strzelców ustawiono plecaki. Sam miał iść luzem dwieście metrów na przodzie i z boku prawego skrzydła obławy. Obława zaczynała się na północy przy pierwszym wykopie kopalni i szła prosto na południe do leśnej drogi. Linia myśliwych biegła wzdłuż

leśnej drogi do opuszczonego domostwa i mielerza. Zbiórka odbędzie się w tym samym miejscu, co teraz, po odtrąbieniu naganki.

Kiedy ludzie z naganki rozeszli się, strzelcy, marznąc, stali nadal wokół Erika. Bodin miał Iodenowy płaszcz, który sięgał niemal do ziemi, pod nim zamszą kurtkę, a mimo to nos mu zsiniał z zimna.

- Że też musieliśmy wybrać się tak wcześnie - zauważył. - Przecież zmarzniemy porządnie na stanowisku.

- Pierwsza naganka w każdym razie nie wyruszy wcześniej niż za piętnaście ósma.

- To z iloma zdążymy?

Erik był zaskoczony. Rzucił w kierunku Bodina mroczne spojrzenie, pierwsze od dawna. Bo więcej niż jednej obławy nie planował.

- Z sześcioma, jeśli dobrze pójdzie.

Przykazał, żeby zachowywali się cicho, idąc na stanowiska, nie opuszczali ich przed odtrąbieniem obławy i pod żadnym pozorem nie biegli za postrzelonym zwierzęciem. Wyruszyli: Rickard, Pelle, Georg i Mans w górę leśnej drogi. Anders i Bodin poszli razem w kierunku mielerza. Rozstali się, kiwnąwszy sobie głowami, i Bodin powiedział cicho:

- My niemal widzimy jeden drugiego.

Ale tak nie było. Anders okrążył wykop i poszukał swego stanowiska, które leżało tuż przy brzegu spłachetka ziemi obok gospodarstwa, a teraz zaczynały je brać w posiadanie młode świerki. Usiadł na pniaku, mając za plecami na wpół zwalone ogrodzenie i gęste stare świerki. Niżej na ukos z lewej strony znajdował się otwór wykopu, którego dna nie mógł widzieć, i jeszcze był tam zagajnik osik niemal pozbawionych liści. Gapił się na tych kilka pozostałych liści, które drżały, mimo że nie czuło się najlżejszego wiatru. Połyskiwały to siarkowożółto, to znów purpurą byczej krwi, tworząc nieregularny wzór na tle smukłych świerków. Im dłużej siedział i wpatrywał się w nie, tym dziwniejszy wydawał mu się ten wzór. Można było wyobrazić sobie właściwie wszystko za tym cicho szemrzącym zagajnikiem.



Gustaf miał trudności z uformowaniem łańcucha naganiaczy wzdłuż wyznaczonej linii. Tyle samo było pomysłów na temat tego, jak naganka powinna iść, ile głów sterczących spośród młodych świerczków. Jeden z chłopaków już wpadł w dziurę mokradła i teraz domagał się, by poczekano na niego, podczas gdy ściągał mokre wełniane skarpety i wkładał wyjęte z plecaka suche. Kilku młodych ubrdało sobie, że trzeba robić jak najwięcej hałasu, aby wystraszyć łosia. Pokrzykiwali, śpiewali i uderzali drewnianymi pałkami jedną o drugą, aż Gustaf nadbiegł niczym rozwścieczony byk.

- Nie hałasujcie w lesie!

Było ich czterech, więc odważyli się na szydercze kpiny.

- To nie jest kłusowanie, Akerman. Zapomniałeś się?

- Nie musisz się bać leśniczego, nie tym razem!

Niesubordynacja wszystkich dookoła i zadowolone twarze doprowadziły do tego, że stary musiał pokazać, iż jeszcze ma tyle siły w kufaku, aby dać jednemu z tych drągali małą pamiątkę na drogę. W końcu uzyskał to, że wyrównali i byli w linii. Tuż przed długim sygnałem, który oznaczał, że naganka zaczyna iść, zrobiło się dokoła niego tak cicho, że mógł usłyszeć stadko raniuszek hałasujących na sośnie. Chętnie im także powiedziałby, żeby się uspokoiły.

Teraz był spięty i chociaż nie miał strzelby, wypełniło go silne i miłe uczucie oczekiwania. Tam w środku znajdował się łos, nie było wątpliwości. Skąd to wiedział? O, wyczuwał! Czuł bliskość szybkich, płochliwych i mądrych zwierząt równie spiętych jak on. Wiedział, że nastawione łyżki aż drgają tam w mroku zarosli. Wrażliwe chrapy węszyły. Zaraz odkryją, że mają naprzeciw siebie szczelny łańcuch, który odcina odwrót. Powinny zacząć przedzierać się ostrożnie swoimi przesmykami, bo jeśli nie będą szybsze i bardziej przebiegłe, natkną się na strzelców, którzy staną się ich przeznaczeniem. Jedno albo dwoje z nich będzie za mądre, by dać się wypchnąć. Wcisną się w jakąś ciemną gęstwinę, gdzie szarobrunatna masa cielska zostanie wzięta za kontur głazu, a białe badyle pomyłone z pniami młodych

brzóz. Stamtąd będą nad słuchiwać zdyszanych nawoływań naganiaczy i wietrzyć zapach człowieka - potu, tytoniu i silnych woni, które nawet Gustaf wyczuwał. Stąd i zowąd zalatywało wódką i pomadą do włosów, mydłem, wonią jedzenia, obory, zaduchem chaty. Nie były to zapachy natrętne, ale dziwne dla kogoś, kto miał czułe powonienie. Silny i odważny byk może zdoła przetrzymać obławę i wyrwać się z niej, wycofując. Gdyby bykowi z Flymyran przydarzyło się stać tam w środku, Gustaf miał nadzieję, właściwie był pewny, że on się wyrwie. Nie mogą go dopaść w czasie polowania z naganką, gdy Gustaf nawet nie miał broni. To byłoby zbyt ciężkie do zniesienia.

Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po ósmej, więc dał długi sygnał, który natychmiast został powtórzony na skrzydłach. Ruszył. Raniuszki poderwały się w górę i rozpierchły w różne strony. Teraz w całym lesie rozległy się trzaski i szelesty obławy, która parła do przodu. Ludzie zaczęli się nawoływać, ale tylko na tyle głośno, by usłyszał najbliższy sąsiad i powtórzył dalej. Po kilkuset metrach zauważył, że znów się rozochocili. Lewe skrzydło oddaliło się od niego z dużymi odstępami, a prawe prawdopodobnie zaszło za daleko. Las zaczął rozbrzmiewać krzykiem i nawoływaniami, wkrótce hałas nasilał się jak w crescendo, przypuszczalnie miał na celu takie przestraszenie łosia, by dostał ataku serca, teraz, kiedy nie wolno im było mieć ze sobą broni. W podnieconych głosach słychać było chęć mordu pomieszaną z radością i Gustaf, by znów zaprowadzić porządek w tej całej gromadzie, musiał nakazać postój, który został wesoło powtórzony wzdłuż skrzydeł. Prawe skrzydło nadal szło za szybko i mógłby przysiąc, że kilku z nich uznało za zbyt kłopotliwe przedzieranie się na wprost, więc ominęli najgęściejsze zarośla. Warknąwszy ponownie, ustawił ich w szeregu i myślał o wszystkich tych wielkich i pięknych zwierzętach, które mogły nie niepokojone kryć się, leżąc właśnie tam, gdzie zrobili unik przed gęstwina. Gdy odtrąbił postój, był przekonany, że tej niepewnej, wijącej się, pokrzykującej armii, którą przyszło mu wlec ze sobą przez las, nic nie da się zwabić w pułapkę. Postanowił dać im porządną burę przed wyruszeniem w na-

stępną naganę, żeby pojęli, o co mu chodzi. Byli jak poganie, którzy nie znali bożych nakazów. A przecież każdy z nich dorastał na skraju stumilowej świątyni lasu.

Klas Bodin umościł się na swoim stanowisku ze sztucercem na kolanach, gdy rozległ się sygnał, by naganka ruszyła. Za sobą miał domostwo Kolby ze ślepyimi oknami, a wzgórek, na którym siedział, był kawałkiem ziemi deptanej od setek lat. Spod gruzowatego podłoża wyzierały wypolerowane ze starości, powykrzywiane korzenie sosny. Ale zaledwie sto metrów przed nim wznosiła się bezlitosna ściana lasu. Mokradło wysyłało w przód odnogę i dzięki niej miał swobodny wgląd w wąską szczelinę prowadzącą w głąb lasu. Rosły tam gęsto zwiędłe teraz skrzypy, które chyliły się przy najlżejszym wietrzyku. Siedział, nad słuchując pierwszych trzasków i głosów naganiaczy. Po chwili raczej wyczuł, niż zobaczył jakiś ruch prześlizgujący się przez morze skrzypu i wydało mu się, że dostrzegł czerwoną smugę, która złamała brudnożółty kolor zielska. To może był lis, a może po prostu nic, tylko podmuch wiatru.

Pierwszy dźwięk, który naprawdę usłyszał, dobiegł z tyłu i był to cichy głos. Przestraszył się. Gdy odwrócił głowę i zobaczył, że to Erik Emilsson wynurzył się tuż za jego plecami, strach nie zelżał. Przyszło mu do głowy, że Erik tyle mówił, że nikt pod żadnym warunkiem nie może opuścić stanowiska. Powiedział to głośno.

- Chodzę w pojedynkę, mówiłem przecież.

Erik mówił cicho, prawie szepcząc, i był zdyszany.

- Musimy zmienić trochę stanowiska tu na górze - powiedział.

- Dlaczego?

Zrobił tylko niecierpliwy ruch głową na znak, że muszą być cicho.

- Anders przemieścił się też trochę na lewo. Tam masz większe pole ostrzału.

Formułował słowa samymi tylko wargami i Klas ledwie je rozumiał.

- Przy zagajniku osik. Pospiesz się, bo zaraz tu będą, a wtedy nie możesz strzelać ku środkowi.

Wskazał ręką i Klas kiwnął głową. Zagajnik osik wystawał ze zbocza przed wykopem jak kil. Była to płatanina luźnych pni i niemal bezlistnych gałęzi. Na ziemi połyskiwały liście niczym czarodziejskie złoto i bryzgi krwi dookoła drzew. Jego zdaniem było to złe stanowisko i nie bardzo wiedział, gdzie ma się ustawić. Ale gdy odwrócił głowę, by o tym powiedzieć, po Eriku nie było śladu. Poczł przemożną i trochę przerażającą ochotę, by cicho się stąd wynieść.

Z daleka dobiegały głosy naganiaczy i pojął, że szli dość szybko, ponieważ mógł ich już zrozumieć. Z lasu napłynął powiew, ale tak słaby, że znać go było tylko po wrażliwych osikach. Tchnęły strachem, a liście chrzęściły jak cienkie blaszki metalu. Wstał ostrożnie i oceniał swoje szanse zejścia cicho i szybko.

Mans stał nieruchomo na tle szarzejących pni świerków, nasłuchując nadciągającej obławy. Próbował skoncentrować się na widoku, który miał otwarty w dwóch kierunkach, częściowo ku zimowej leśnej drodze, prowadzącej dwoma zarośniętymi koleinami w las, częściowo na małą wysepkę na torfowisku pod skalnym blokiem. Wiedział, że teraz powinien natężyć uwagę, bo jeśli coś będzie się tu działo, to musi się dziać szybko. Gdyby jakiś łoś wybiegł z łoskotem z zagajnika przy porośniętym mchem brzegu torfowiska lub, prześlizgując się ostrożnie między świerkami, starał się przeciąć leśną drogę, musi być gotów do natychmiastowego strzału. Odległość może być mała, a wtedy miał pewną skłonność do mierzenia za wysoko, wiedział o tym. Ale prawie już stracił zapal, zanim naprawdę się zaczęło. Cały czas nasłuchiwał odgłosu strzału z góry, ze stanowiska obok Kolby. Ponad połowę uwagi kierował w stronę, z której niczego nie trafi. Marzył i próbował przestać napinać mięśnie.

Mężczyźni zbliżali się szybko do końcowego punktu naganiki. Zdaniem MSnsa, szli o wiele za szybko. Mógł już rozróżnić jeden i drugi okrzyk. Wyglądało na to, że wykazują niesłychaną żywotność w tym marszu. Gustaf był pewnie bliski eksplozji.

A tam w górze siedział Anders Flod, nieruchomy i skulony. Stał przed oczami tak samo, jak widział go na stanowisku setki razy wcześniej. Duże, brudne ręce wokół strzelby, usta na wpół otwarte, żeby lepiej słyszeć, i ani jeden muskuł nie drga. Tylko oczy penetrowały pole ostrzału. Tam i z powrotem ślizgało się jasnoniebieskie uważne spojrzenie, aż nagle stawało się ostre, a źrenice odrobinę większe. W następnej sekundzie cel był na drżącej muszce. Brał oddech i celownik nieruchomiał.

Mans był tak pochłonięty myślami, że wzdrygnął się, gdy z góry dobiegł go dźwięk. Okazało się, że to tylko błotniak, który zataczał koła, ale była to najwyraźniej zapowiedź, ponieważ teraz wydało mu się, iż daleko przed sobą, na krańcu pasma mchu widzi jakiś ruch. Odległość wynosiła co najmniej dwieście pięćdziesiąt metrów, ale złożył się do strzału i wodził tam uważnym wzrokiem. Wydawało mu się tylko, że coś się poruszyło wśród krzewów olszyny? Tak musiało być, bo następny ruch zauważył dużo dalej po prawej stronie i to nie było złudzenie, ponieważ ruchowi towarzyszyły ciche trzaski i dostrzegł niewyraźny zarys szarego cielska, które zniknęło zwrócone w jego kierunku zadem wzdłuż skalnego bloku. Zniknął, zanim Mans zdążył rozstrzygnąć, czy to na pewno poruszało się zwierzę, które można ustrzeżlić. Najwidoczniej tak było, bo zaledwie dwie minuty później doszedł go odgłos strzału od strony, gdzie stał Pelle.

Teraz już wyraźnie mógł słyszeć mężczyzn z naganki. Trzaśkało i chrzęściło im pod nogami, a głosy i pohukiwania rozbrzmiały silniej. W każdej chwili spodziewał się sygnału zatrzymującego obławę i zastanawiał się, czy zanim to nastąpi, zdąży coś wyjść mu na strzał. Albo czy coś się wydarzy. Czterdzieści minut wyliczył Erik dla naganki. Nie zostało więcej niż dziesięć. Mimo dobiegających ludzkich okrzyków i pohukiwań, dookoła niego było cicho. Las w swej ciszy z łatwością połyka haust ludzkich dźwięków. Trawa wokół jego stóp była srebrzysta od mrozu.

Od strony Kolby dobiegł strzał. Dźwięk był wyraźny i sekundę stał nieruchomo w zimnym powietrzu. Zobaczył kozła

biegnącego kłusem przez leśną drogę, widział go i zarejestrował mechanicznie, ale nie strzelił. Nadsluchiwał tylko dźwięków z góry z szóstego stanowiska. Nic więcej się nie działo. W ogóle nie wiedział, co mogłoby się jeszcze zdarzyć. Teraz Gustaf zatrąbił krótko trzy razy, sygnał powtórzono po bokach i naganka stanęła. Znow zrobiło się cicho. Żadnego strzału, żadnego wiatru. Po chwili usłyszał, że idą. Ich głosy były w pełni rozróżnialne. Dobiegło go, że ktoś wołał kogoś o imieniu Turę i Turę odpowiedział rozbawiony. Pierwszy z naganiaczy ukazał się na porośłym mchem skraju lasu, niewysoka postać w wełnianym swetrze migająca biało i niebiesko. Gustaf wynurzył się spodzie pni, biegnąc truchtem, ale Mans zauważył go dopiero, jak znalazł się tuż obok niego.

- Co z tobą?

Mans nie zrozumiał, o co mu chodzi. Powoli odwrócił się i uświadomił sobie, że od strony Kolby nic więcej nie słychać. Gustaf stał wpatrzony w sztucer, który upadł w trawę przy jego stopach, i zobaczył, że jest odbezpieczony.

- Zupełnie cię nie rozumiem. Powinieneś umieć obchodzić się z bronią. Chcesz doprowadzić do nieszczęścia?

Podszedł bardzo blisko MSnsa, przestraszony i rozwścieczony jednocześnie.

- Co się z tobą dzieje? Strzeliłeś?

- Nie, nie - odpowiedział MIns pośpiesznie. - Ja nie strzelałem. Nie widziałem tu nic, co by się poruszyło.

Podniósł sztucer i wyjął naboje na oczach Gustafa. Naganka została odtrąbiona.

**Środa, 16 października**

Leśnym telegrafem poszła wiadomość od naganiaczy, którzy wynurzyli się na skraju lasu i przy zagajniku, że jedno albo dwoje zwierząt zostało ubitych gdzieś za linią stanowisk. Słyszano dwa strzały, jeden od strony Kolby, a drugi daleko w głębi na lewo. Późniejsza zbiórka odbywała się z tak wielkim hałasem, że Gustaf wszedł na stopień autobusu i pierwszy raz w życiu wygłosił mowę. Mówił, co myśli o ludziach, którzy leżą przez las jak poganie i mimo przebywania obok świętości nie zachowują się lepiej od gromady miastowych, pchających się, gdzie popadnie, żeby naszarpać grzybów czy borówek. Atmosfera zrobiła się odrobinę spokojniejsza, ale wkrótce znów powstał hałas, gdy nadbiegł Georg Mard i powiedział, że Pelle położył byka i właśnie go sprawia. Całe towarzystwo, mimo protestów Gustafa, ruszyło w kierunku miejsca, gdzie padło zwierzę. Przypominali chłopskie wojsko w marszu, kiedy tak ponad dwudziestu czerwono noszących, grubo ubranych w wełniane swetry młodych mężczyzn spieszyło, by zobaczyć, co nagonili. Pelle stał szczęśliwy i rozdygotany nad swym pierwszym w życiu łosiem i wymachiwał bronią niebezpiecznie blisko to jednego, to znów innego chłopaka. Opowiadał, jak łos wyszedł z lasu z kierunku, gdzie stał Mans Westling, i nagle zaczął uciekać przez bagnistą łąkę, i jak on się złożył, i o tym, co sobie pomyślał, i jak

łoś zwał się od strzału na kulawy sztych, który był najtrudniejszy ze wszystkiego, i co sobie powiedział, kiedy łoś runął. Teraz chudy łośzak z dużymi łyżkami i dwoma ledwie widocznymi guzami rogowymi leżał na boku w turzycy. Miał szyję przestreloną kulą typu Brenneken, więc należał do Pellego. Chłopskie wojsko na ten widok wydało morderczy wrzask i zawyło radośnie, a Pellego poklepywano po plecach i choć oczy łzawiły mu od mrozu, musiał jeszcze raz opowiadać o trudnym strzale na kulawy sztych, swoich myślach i wszystkim od początku.

- Chyba jeszcze jeden padł, bo słyszano też strzał od strony Kolby - stwierdził ktoś.

Ale wtedy Pelle zrobił się biały jak płótno i oddał nóż i siekierę temu, który stał najbliżej, z prośbą, by dalej patroszył zwierzę. Sam zaś pobiegł długimi niepewnymi krokami na miejsce zbiórki, gdzie pozostali strzelcy stali już razem z Gustafem Akermanem w ciasnym i nieruchomym kręgu. MSns zobaczył go pędzącego i wystąpił przed resztę z rękami opuszczonymi po bokach.

- Czy... czy coś się stało?

- Tam w górze padł strzał. Musimy zobaczyć, co z tego wyszło - odpowiedział Gustaf, ponieważ pozostali milczeli.

- On jeszcze nie zszedł?

- Bodin?

- Nie, Anders.

- Żaden z nich - odparł Gustaf i przygryzając wąsy, przyglądał się Pellemu. - Zastrzelełeś byka, jak słyszałem. Zostawiłeś go, żeby tu przybiec?

- Nie mógłbyś go wypatroszyć? - spytał Erik Emilsson.

Ale Gustafa niełatwo było się pozbyć. Ruszył ścieżką w górę ku Kolby, na odchodnym rzuciwszy przez ramię w kierunku Erika:

- Sami sobie patroszcie swoje łośie.

Szli za nim, wlokąc się, jakby byli ciągnięci liną.

- Możesz odciągnąć jakoś Gustafa? - szepnął Rickard do Mansa. Powinien rozumieć, że to niemożliwe. Gustaf szedł z uniesioną głową, nieustępliwie jak stary wyżeł, który coś zwie-



trzymał. Nagle stanął i szereg za nim zahamował, jak gdyby zatrzymany szarpnięciem liny.

Z chaty Kolby szedł im naprzeciw Klas Bodin. Sztucer włożył do futerału i trzymał broń oburącz, jak gdyby obawiał się, że może wypalić. U Mansa, który przez ostatnie pół godziny miał mdłości i ze zdenerwowania nie mógł zapanować nad rękami, widok Bodina wywołał głębokie rozczarowanie i uczucie jakiejś pustki. Bodin wyglądał dobrze i schludnie w żółtej kurtce, ochraniaczach starannie zapiętych na krótkich łydkach i z lodenowym płaszczem przerzuconym przez ramię. Mans, mimo osłupienia, przyłapał się na myśli, że to dobrze, iż Bodin wygląda tak zdrowo i schludnie.

- Mało brakowało, a doszłoby do wypadku - powiedział, gdy znalazł się bliżej. Po raz pierwszy jego głos zabrzmiał w ich uszach cicho i niepewnie. Kiedy nikt nie zareagował, podjął ostrzejszym tonem: - Mój błąd to nie był! Żle mi pokazałeś sta nowisko!

Erik kucnął koło plecaka i grzebał w nim, szukając fajki i tytoniu. Jeszcze się nie odezwał, ale kiedy Bodin na niego wsiadł, sprężył się jak kot, gotów do skoku.

- Słyszeliśmy strzał - odezwał się Gustaf.

- To mój.

- Gdzie Anders? - spytał Erik w dalszym ciągu skulony i czujny.

- Tam w górze.

Zrobił ruch głową. Widać było, że stał się teraz pewniejszy, ale nie trwało to długo.

- To ty strzelałeś?

Erik wstał. Był wściekły. Szybko postąpił kilka kroków i stanął tuż przed Bodinem, który trzymał strzelbę przed sobą jak drag. Jego krótkie pulchne palce ścisnęły ją nerwowo. Mans obawiał się, żeby Erika nie poniosło ze złości. Spróbował położyć rękę na ramieniu Erika i ścisnąć ostrzegawczo, ale ten strząsnął z siebie jego dłoń i rzucił mu ostre spojrzenie.

- Mógłbyś wreszcie wydusić z siebie, co się stało?

- Ja nie zszedłem do osikowego zagajnika - powiedział Bo-

din i nieznacznie odsunął się do tyłu. - To wcale nie było dobre stanowisko. Zostało źle wybrane. W ogóle tam nie poszedłem.

Zamilkł, jak gdyby czekał, że Erik teraz go zbeszta, ale gdy Erik się nie odezwał, ciągnął pospiesznie:

- Tak, ja zostałem tam, gdzie przedtem. Nie widziałem żadnego ruchu, nic. Jak tylko naganka stanęła, usłyszałem, że coś się poruszyło przy osikach i coś także zobaczyłem. Ciemnego, szarego czy brązowego... no i posłałem tam kulkę...

Teraz Gustafa ogarnęła wściekłość. Ale Erik powstrzymał go niecierpliwym ruchem.

- Co to było?

- Anders - odpowiedział Klas Bodin i spojrzał w ziemię.

- Na miłość boską, nic się nie stało! - dorzucił energiczniej. - Poszedłem tam. Kula przeleciała dobry kawałek od niego.

Gustaf, parsknąwszy ze złością, odszedł na bok. Było to coś pośredniego między gwizdnięciem a prychnięciem, które sprawiło, że wąsy mu zadygotały. Odwrócił się na pięcie i zaczął schodzić w dół ścieżki.

- Idziesz, Gustaf? - zawołał Mans.

- Tego możesz być pewien!

- Do domu?

- Skombinujcie sobie innego prowadzącego nagankę, jeśli chcecie sobie urządzić przedszkole z bronią. Ja nie mam ochoty zostać podziurawiony jeszcze przed wieczorem.

- Tu coś się poplątało! - krzyknął Erik. - Jak ludzie lekceważą instrukcje, to tak się dzieje. Mówiłem to od początku.

Wydawało się, że bardzo mu zależy na tym, by wyjaśnić sprawę z Gustafem, zanim zniknie im z oczu. Klasa zamierzał oszczędzić, lecz Klas nagle zdobył się na większą pewność siebie i próbował wtrącić, że Anders Flod nie mógł znajdować się tam, gdzie powinien.

- Zbierz ludzi z naganki i dopilnuj, żeby zostali odwiezieni do domów! - zawołał Erik za Gustafem. - Koniec z polowaniem z naganką.

- Ale mieliśmy przecież zdążyć sześć razy - odezwał się Bodin.

Mans wiedział, że Erik nie planował więcej niż jedno, i to jedno rozstrzygające, ale wyraźnie nie dał się zbić z tropu.

- Nie będzie więcej. Nie możemy ryzykować i mieć dwudziestu lub trzydziestu ludzi w lesie, gdy ktoś strzela do wszystkiego, co się rusza. Wyślij ich do domu, Gustaf!

- Wróć potem! - zawołał Mans.

- Po co? - spytał Gustaf cicho i jednocześnie z irytacją. - To całe cholerstwo jest już wystarczająco paskudne.

Ale Mans nagle nabrał przekonania, że to ważne, aby Gustaf wrócił. Wszystko się odwróciło, pomyślał. To bajeczny cud. Klas Bodin to tłuste, wyelegantowane i chytre ścierwo, które szantażuje mnie, chcąc pieniędzy, i napawa się tym, że ma nad nami władzę. Ale cieszę się, że żyje. Tak się cieszę, że żyje, że mógłbym się nim opiekować. Boże drogi, że też najpierw musi się wszystko zawalić, żeby człowiek mógł zobaczyć, co jest słuszne, a co nie. Ale wiedział, że przez resztę dnia musi mieć blisko siebie Gustafa. To wtedy, gdy jesteśmy samotni, wszystko się wywraca. Gdy jesteśmy osamotnieni, czarne staje się białe.

- Musimy sprawdzić, co z Andersem - odezwał się Rickard.

- Nic mu się nie stało. Ale uważam, że to powinno zostać wyjaśnione - powiedział Klas Bodin rozkazująco. Zaczynał przychodzić do siebie. Nie powziął jednak najmniejszych podejrzeń.

To cud, pomyślał Mans. Udało nam się wybrnąć z tego, a on się nie zorientował, o co w tym wszystkim chodziło.

- Tu nie ma, do cholery, czego wyjaśniać, jeśli ludzie nie idą tam, gdzie zostali posłani, i strzelają, jak tylko coś zaszeleści w krzakach - warknął Erik.

Klas wzruszył ramionami i odszedł ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Wydawało się, że nie ma już obaw, iż mogłaby mu wypalić w rękach.

Znaleźli Andersa przy samym brzegu wykopu. Siedział i jadł grube i twarde jak ze skóry naleśniki z borówkami, które naszykowała mu matka z Gillermossen. Jak na to, że w chaotycznej strzelaninie mało brakowało, a sam by dostał, wydawał się dość opanowany.

- To wszystko idzie w cholere - powiedzial, zujac, i popatrzyl na Erika, ktory wyrosl przed nim jak wieza.

- Siedzisz tu sobie i zajadasz?

Ale MSns rozumial Andersa. Czlowiek robi sie glodny, kiedy dostaje w prezencie zycie. Wygladalo, ze moze przegryzc sie przez cala gore posilnych naleśników smażonych na smalcu i posmarowanych wyłazającymi teraz na brzegach borówkami, które dziesięcioro Gillermysiat uzbieralo na zboczach, by obdarzyc swego ojca werwą i radością.

- Coś ty robil na dole w zagajniku osiki?

- On tam przeciez nie poszedl - odparl Anders bezbarwnym głosem.

Trudno bylo powiedziec, czy jest zawiedziony, czy czuje ulge.

- Byl zbyt ostrozny. Zaczalem schodzic tam bardzo powoli, ze by zobaczyc, gdzie on jest. Naganka juz prawie dochodzila, zrobilo sie malo czasu. Ale w ogole go nie zobaczylem. Tylko trzasnelo i tuż obok miejsca, gdzie lezalem, poczułem podmuch od kuli. Tak bylo.

Przez moment patrzyl przed siebie pustym wzrokiem, jak gdyby rozwalal decymetry, ktore dzielily go od smierci.

- To naprawde powazna sprawa.

- Chyba nie siedzisz tu nastrojony nagle filozoficznie z jedna nogą wyciągniętą z grobu? - spytal Georg drwiaco.

- Ja nie bede tego robic po raz drugi.

Akcent polozyl na „ja” . Rickard zaczal sie smiac powstrzymanym dotad, gwałtownym śmiechem.

- Tak to bywa - zanosil sie. - Sami widzicie. Gadamy, planujemy i sadzimy, ze mamy wszystko ustalone, a Klas wywraca to do gory nogami.

Mans odniosl wrazenie, ze on smieje sie troche histerycznie. Ale jego wypowiedz zawierala wiele prawdy i Erikowi sie to nie spodobalo. Badz co badz to Erik nimi dowodzil, lakoniczny i rzeczowy, zarowno na drodze, gdzie doszlo do wypadku autobusowego, jak i tutaj w lesie. Ustalal wszystko z precyzja i stanowczoscia, ktora wydawala sie przerazajaca. Ale teraz, kiedy nic sie nie wydarzylo i Anders z Gillermossen siedzial ze swoimi naleśnikami, i zadekla-

rował, że on już nie chce brać w tym udziału po raz drugi, stanowczość Erika nie robiła już tak przerażającego wrażenia. Przecież on jest właściwie śmieszny, pomyślał Mlns. Tam na drodze zapomniał 0 rowerze. I do głowy mu nie przyszło, że Klas może gwizdać na jego polecenie.

- Tyś to ustawiał. I z tego wszystkiego wyszły tylko naleśniki.

Mimo że żart Georga był całkiem marny, roześmiali się wszyscy z wyjątkiem Erika. Na jego twarzy malowała się złość, a to nie wróżyło nic dobrego. Przedtem był spokojny i rzeczowy, a zorganizował wszystko do kitu. Teraz milczał i rejestrował w pamięci ich wesołość. Człowiek, który ma prawie dwa metry wzrostu, jest małowówny i inteligentny, zwykle nie budzi śmieszności. Ale kiedy choć jeden raz się nią okryje, trudno mu ją z siebie strząsnąć.

- Powiedzcie więc, jak chcecie to załatwić?

W jego głosie brzmiało jednak wahanie.

- Jutro on chce pieniądze - wyjaśnił Pele Mard zbyt cicho. - I może dziś zadzwonić do biura adwokackiego i usłyszeć, że za den list nie przyszedł. No i macie!

Zachował dziecienny sposób mówienia o niebezpieczeństwach z dreszczykiem szczęścia.

- Potem złoży na nas doniesienie. Z pewnością to zrobi!

- Może sobie składać, bo ja i tak nie mam żadnych pięciu tysięcy - powiedział Anders, z rezygnacją żując swój naleśnik.

- Pomyślałeś, czy kobieta i dzieci dadzą sobie radę z gospodarstwem, kiedy ciebie nie będzie?

- Nie będzie?

Anders został dopiero co wskrzeszony i w podarowanym na nowo życiu nie było miejsca na więzienie i kłopoty z uprawą ziemi.

- Nie ma mowy, żeby on na nas doniósł - zdecydował Georg.

Nie, tak po prostu to nie mogło się stać. Gapili się przed siebie i oczyma duszy widzieli, jak przewodnictwo rady parafialnej i stanowisko męża zaufania przechodzi mimo nich. Cięte języki krewnych i wysoka Yalborg, nieposzlakowana do szpiku kości, i siostry Bodin, i ten cholerny pastor, który był ich duchową podporą, i Yinterronningen, które splajtują, jeśli Albinsson będzie

tylko grzebał widłami, i Eva czerwona od płaczu, dzieci w szkole. To tata Kenta ją znalazł, kiedy wioził mleko. A tata Gorana i Hassego ją przejechał. Jest o nim w gazecie. I wreszcie cały szereg minionych pokoleń, z pewnością ani szczególnie biednych, ani szczególnie honorowych, ale chłopskich przodków, nieskończenie odległych w czasie i przestrzeni. Wszyscy oni czepiają się człowieka, ciągną w dół. Więzienie!

- Nie, nie - odezwał się Rickard - tak się nie może stać. Po prostu nie może. Musimy zapłacić. Tymczasem - dodał, gdy zobaczył wzrok Andersa Floda. - To się przecież da załatwić. Możemy chyba zaradzić, żeby zorganizować dla Andersa na razie, Georg? Ty, Mans, chyba dasz sobie radę?

Co miał odpowiedzieć? Błyskawiczna kalkulacja dawała dzieśnięć tysięcy z ręki Georga plus może połowę części Andersa Floda, jeśli Rickard weźmie drugą połowę. Dwanaście tysięcy pięćset od Georga, siedem tysięcy pięćset od Rickarda.

- Tak, chyba sobie poradzę. Na razie.

Chociaż skąd je weźmie, nie wiedział.

- Po południu możemy pojechać do banku. To będzie na piśmie, rzecz jasna - powiedział Georg do Andersa, który skinął spokojnie głową.

- A ty, Erik?

- O mnie to ty się nie martw.

Podniósł strzelbę i ruszył w drogę.

- Masz pieniądze? - zawołał Rickard ze strachem i Mansowi przemknęło przez głowę, jak teraz są ze sobą związani. Jeśli jeden z nich się wysunie, muszą go wciągnąć, inaczej wpadną wszyscy. Erik nie odpowiedział.

- On! - odezwał się Georg. - On chyba nigdy nie miał złamanego óre nadwyżki.

- No, to musisz dać za niego - powiedział Rickard pośpiesznie - bo ja nie wydobędę więcej niż tamtą część, i to ledwo, ledwo.

- Wtedy na mnie przypadnie ponad połowa!

- Tak, z pisemną gwarancją, rzecz jasna.

- Myślisz, że jestem zrobiony z pieniędzy? - wybuchnął Georg i Mans zrozumiał, że nie ma najmniejszego sensu występować ze swoimi zmartwieniami. Nie odezwał się. Dwieście koron na rachunku oszczędnościowym i polisa ubezpieczeniowa na życie Evy i dzieci. Jeszcze sześćset koron w gotówce w starej szafie ojca.

- Możemy pojechać po południu - powiedział Georg - i podając pieniądze. Musimy jechać tak, jak stoimy, i powiedzieć, że jesteśmy prosto z lasu. Inaczej coś takiego łatwo się rozniesie.

Gdy wrócili na miejsce zbiórki, naganiacze się zbuntowali. Odmawiali rozejścia się do domów, zanim zostanie uiszczona zapłata. Zostali namówieni, by wziąć cały wolny dzień na polowanie, a gdy okazało się, że to jest tylko jedna jedyna naganka przez czterdzieści minut, nie chcieli przyjąć pieniędzy. Zamiast tego chcieli mieć udział w podziale mięsa.

- Wyście powariowali! To przecież jeden jedyny mizerny łoś - oponował Gustaf Akerman. - Poszarpiemy go na trzydzieści kawałków, to dla myśliwych zostaną tylko same kulasy.

Ale oni czuli już na języku smak dziczyzny i teraz byli niemal na granicy buntu, podnieceni wódką z prowiantu, którą wypili pośpiesznie, ponieważ dzień i tak się szybko zakończył.

- Możecie dziś wieczór przyjść do Nybygget, to zobaczymy - próbował udobruchać ich Erik. - Ten łoś ma iść do rzeźni, to już postanowione.

Nie, ma zostać rozebrany i podzielony na miejscu.

- Taką odrobinę to akurat możemy zabrać do domu.

- Tutaj nie chodzi się po lesie i nie marznie, żeby nic z tego nie mieć.

- Ja wpadłem w grzędawisko tam na dole!

- Cholerni myśliwi - burczał jeden z chłopaków z Arby, który nagle znów się wynurzył i kolebał się na szeroko rozstawionych nogach. - Trzydziestu ludzi w lesie, a oni mają jednego jedynego nieprzytomnego ze strachu łośia.

Klas Bodin spróbował zaprowadzić porządek, mówiąc władczym głosem dawnego właściciela, ale zostało to przyjęte szyderczym śmiechem i lakonicznymi uwagami.

- Nie ma sprawy, powiedział chłop, kiedy sracz się spalił!
- Stać cię na coś lepszego! Pokaż Bodinowi, coś ty za jeden!

Chłopak z Arby zbliżył się żwawo, zgiął kolana i żartobliwie zaczął wymachiwać pięściami.

- Podziel łosia, żebyśmy się ich pozbyli - powiedział Rickard zmęczonym głosem.

- Całego łosia?

Gustaf znał lepsze sposoby wykorzystania dwustu kilo mięsa, niż rzucić w paszczę tej chmary wilków. Nie wiedział jednak, jak mało waży jeden łos, gdy na drugiej szali kładzie się trzydzieści tysięcy koron.

- Podziel go i odeślij ich do domów - potwierdził Erik.

Potrzeba było jednak mądrości Salomona, by chuderlawego łosia podzielić na dwadzieścia siedem części, gdy przypatruje się temu zgłodniała i wrzeszcząca gromada. Gustaf próbował ukryć plaster mięsa czy wątroby i napominał, że udziec jest zastrzeżony dla właściciela ziemi i strzelców, ale ludzie z naganki byli jak zamroczeni sukcesem i rościli pretensje do każdego kawałka nogi, który został odrąbany. Pelle MSrd stał obok i patrzył spod ciężkich powiek, jak jego wymarzony łos rozpływa się w bulionach czy w eskalopkach przyrządzanych w kuchniach obcych domów i łagodnie pociągnął nosem, kiedy pozostał tylko łeb z nędznymi guzami rogów.

- Jak stado wilków - rzucił Gustaf za zgrają, która obładowa na włókła się do autobusu. - Teraz na pewno pójda do domów i będą opowiadać swoim kobietom, jakiego to wyczynu dokonali w lesie. Pfuj!

Zachował w sobie tyle oburzenia, że udało mu się strzyknąć śliną niemal aż na pięty ostatniego z odchodzących.

Na miejscu po mielerzu myśliwi zrobili sobie przerwę na kawę, choć dopiero była jedenasta, ale ledwie płomyki objęły ułożone przez Gustafa patyki, kiedy od strony drogi dobiegł ich klakson samochodu. Georg posłał Pellego, żeby zobaczył, kto to. Gdy wrócił w towarzystwie trzech mężczyzn, Gustaf pochylał się bardziej nad ogniem, mrucząc takie przekleństwa, że ci trzej na



miejscu skamienieliby na amen, gdyby tylko słowa miały skrzydła i mogły fruwać.

- Spotkaliśmy w dole na drodze ludzi, którzy nam powiedzieli, że zrobiliście sobie przerwę śniadaniową, to pomyśleliśmy, że sprawdzimy pozwolenia na broń.

Słowa te wypowiedział jeden z ubranych po cywilnemu policjantów miejskich. Inspektor ochrony zwierząt trzymał się z tyłu, przywitał z Rickardem, którego znał, i przysłuchiwał się, co ustrzelili.

Z niemal trwożną gotowością, która charakteryzuje ludzi mających chwilowo uczciwe zamiary, pokazywali swoje papiery i broń. Wszystko było w porządku; strzelbę Georga marki Fran-sa Sodii obejrzano z należyty podziwem, a Pelle mógł w skrócie opowiedzieć o byku, zarówno o tym, co sam zrobił i co pomyślał, i co być może pomyślał byk, zanim padł. Kiedy podeszli do Gustafa, nie podniósł nawet wzroku znad pełgającego po drewniakach ognia, który nie chciał się rozpalić na dobre.

- Nie brałem broni, więc nie ma problemu - mruknął.

Inspektor uniósł brwi. Między nim a Gustafem panowało coś takiego, jak między kotem a myszą czy między kobietą i wężem. Spotkanie nie mogło się odbyć bez syczenia jednej ze stron.

- Czyżby Akerman zaczynał się starzeć? - spytał łagodnie i współczująco, ale odpowiedzią było tylko jeszcze większe zgarbienie pleców nad ogniem.

Ponieważ polowali z leśniczym, zostali właściwie uznani za godnych zaufania i to spotkanie, w długim szeregu spotkań, które się odbyły w tym tygodniu, było raczej formalnością. Ale nowa osoba w tym gronie zainteresowała ich. Klas Bodin miał więc okazję pokazać swoją broń, którą nie tylko doceniono, ale obracano ją na wszystkie strony z respektem, Bodin mógł też zademonstrować futerał, w którym były nawet podpórki do sztuce-ra. Tak, inspektor miał prawie takie same i na razie użył ich tylko jeden raz. Opowiadał trochę patetycznie o łopataczu, który dopełnił wówczas kresu swoich dni.

- A od czego on zginął? - spytał Gustaf, gdy tamten skończył.

Inspektor zapomniał się. Może całkiem na poważnie sądził, że Gustaf się zestarzał.

- Zginął? Ubiłem go oczywiście!

- Aha, w ten sposób! Tak, zawsze jest coś godnego uwagi w takich historiach. Coś takiego, pan inspektor sam go ubił?

Dmuchnął w drewnianka i inspektor, któremu powoli zmieniał się kolor twarzy, zwrócił się do Klasa. -1 jeszcze amunicja - powiedział krótko.

- Prawdę mówiąc, nie mam żadnej. Pożyczyłem na razie od Turessona.

- Aha. No, w takim razie dziękujemy i zbieramy się. Powodzenia.

Ledwie zdążyli opuścić czarną ziemię mielerza, kiedy Erik zapytał:

- Coś ty gadał, że nie masz żadnej amunicji?

- Ode mnie nie pożyczałeś - powiedział Rickard.

- Ech, oni są tacy chorobliwie dokładni.

Klas majstrował przy swoim futerale, składał podpórki i nie podnosił wzroku.

- A co ty takiego masz?

- To ciebie nie obchodzi.

- Ja tu jestem łowczym.

- Zauważyłem to - powiedział Klas kwaśno. - Świetna nagan-ka dziś rano. Świetne stanowiska. Rzeczywiście przemysłane.

Erik podszedł do plecaka Bodina i otworzył go. Klas nie protestował. Patrzył rozbawiony, jak Erik rzucił mu pod nogi pudełko, aż naboje rozsypały się na wszystkie strony.

- To na to sobie pozwalasz? Masz takiego węża w kieszeni, że wzięłeś ze sobą wojskową amunicję, która ci została?

Gustaf pozbierał naboje i badał je.

- Co jest w nich złego? - spytał Pelle Mrd niewinnie. - Ja miałem w lufie kule typu Brenneken, a oni tego nie zauważyli.

- Sam słyszysz - powiedział Bodin.

- To różnica. Te cholerne kule na ludzi masz odłożyć, Bodin.

Anders Flod siedział obok swego pudła z jedzeniem i przysłu-

chiwał się rozmowie. W jego jasnym spojrzeniu mignął lekki cień, jak gdyby pomyślał o czymś paskudnym.

- Będę robić, co zechcę - powiedział Bodin spokojnie.
- One są nielegalne, nie słyszysz, co mówię?
- Nie ogłuchłem. Jeszcze nie. Ale mogę, jeśli będziesz dalej wrzeszczał. To naprawdę budujące usłyszeć, jacy wszyscy staliście się praworządni i jak swobodni jesteście wobec policji miejskiej.

Pootwierali swoje plecaki i w milczeniu jedli kanapki. Bodin miał możliwość odparcia każdego ataku i wykorzystywał to. Mans siedział, żując kanapkę z kiełbasą, a kolejne kęsy rosły mu w ustach. Przypomniawszy sobie przerwy na posiłki, które mieli na tej samej spalonej na czarno ziemi, gdy kawa szumiała w puszcze Gustafa, a jedzenie smakowało jak nigdzie indziej. Zwykle omawiali każde poruszenie, każdy oddany strzał, rozwlekłe, po długiej wymuszonej ciszy i napięciu w lesie. Teraz w powietrzu wisiała wrogość i groźba. Ogień Gustafa uparcie gasł, ponieważ pogoda była bezwietrzna i chmury wisiały nisko. Siedzieli w gryzącym dymie, a w ich głowach obracały się wciąż te same myśli.

Gustaf musiał zauważyć napięcie, ale nie dał tego po sobie poznać. Przeciwnie, wydawało się, jakby odżył podczas polowania. Kiedy skończył jeść, dokładnie pobierał naboje Bodina i włożył je znów do pudełka.

- One wcale nie muszą się zmarnować.
- No, ty chyba nie zawsze w swoim życiu byłeś tak przezorny
- rzucił w jego kierunku Erik.

Gustaf przyjął to dobronnie. Po czym zabrał się do tego, by bez pośpiechu wyjaśnić Bodinowi, dlaczego władze zabroniły używania ostrej amunicji w polowaniu na łosie.

- Od nich jest tylko przestrzał. Rana jest wtedy nie większa niż kaliber kuli i najczęściej przechodzi na wylot. Widziałem takiego łosia, który trzymał się na nogach po siedmiu takich sztukach, co go przeszyły.

W to Bodin nie uwierzył.

- Słyszysz, co mówię. Ale łatwo zrobić z nich myśliwskie tak,

że nawet ten inspektor zrzęda nie będzie kręcić nosem. Odcinasz tylko czubek pocisku tak, że widać ołów. Pokazał mu, jak powinien to zrobić.

- On tak dalece myśli o sobie i własnych korzyściach, że może przełknąć nawet to, iż Gustaf Akerman daje mu lekcję - po wiedział półgłosem Rickard do Mansa. - Uwierz mi, nie pozwoli, aby cokolwiek, co wpadło mu w ręce, się zmarnowało.

Przeciągali przerwę na jedzenie tak długo, jak tylko się dało, żeby Gustaf sobie poszedł, zanim powiedzą Bodinowi, że muszą jechać do miasta. W końcu Gustaf się zorientował, że czekają, aż odejdzie, wziął więc plecak i ruszył do domu. Mans nie miał odwagi unieść wzroku, kiedy Gustaf go mijał. Sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna, gdy Bodin zaczął mówić o popołudniowym polowaniu.

- Nic nie będzie po południu - powiedział Georg. - Musimy jechać do miasta.

- Do miasta?

Przez moment Mans sądził, że może Bodin o wszystkim zapomniał, że to był tylko taki żart, który rzucił, żeby ich przestraszyć. Ale zaledwie przez parę sekund miał to złudne uczucie.

- Chodzi przecież o pieniądze, które mają być do jutra - po wiedział Georg ostrożnie.

-Tak?

Georg przełknął ślinę i utkwiał wzrok w twarzy Bodina. Był niepewny dokładnie tak samo jak Mans, musiał więc zdobyć się na to, by zadać pytanie. Ale wpadł na inny sposób, który, jak sądził, będzie mniej upokarzający.

- Chyba możemy machnąć ręką na pieniądze i polować po południu... jeśli o nas chodzi.

- Zróbcie tak - odparł Bodin ze spokojem. - Machnijcie na nie ręką. Przecież wam powiedziałem, że zrobicie, jak uważacie. To zależy tylko od tego, czy chcecie, żeby zostało złożone doniesienie, czy nie.

Już tak dalece dali się upokorzyć, że Georg ciągnął:

- To jest trochę trudne dla niektórych z nas. W tak krótkim czasie. Jeśli to musi być jutro...

Bodin nie patrzył na niego. Nadal zajmował się swoimi nabo-  
jami.

- Nie interesuje mnie, jak je skombinujecie. Jedźcie do miasta,  
jeśli to konieczne. Zostało ustalone: do jutra. Potem jadę do domu.

Dzięki i za to w każdym razie, pomyślał Mans.

- Ale pewnie dasz nam znać o sobie znowu - powiedział Erik  
z kwaśnym uśmiechem.

- To możliwe.

Badał czubek jednej z kul i Mans pomyślał, że on musi się mi-  
mo wszystko trochę wstydzić, ponieważ nie patrzył na nich. Czy  
można napawać się czymś i jednocześnie się tego wstydzić? To  
było jakieś pogmatwane. Fala gorąca napłynęła mu do głowy, gdy  
uzmysłowił sobie, jak wiele można odczuwać jednocześnie. Być  
zadowolonym, że on żyje, ten bydlak. I życzyć mu śmierci.

- Zrobicie, jak powiedziałem, co chcecie - powtórzył Bodin,  
wstając. Powiódł po nich wzrokiem, na jego twarzy błąkał się zło-  
śliwy uśmiech. Cały czas Mans miał uczucie, że on się tym bawi.

- Tak nie można. Nie mam żadnych pieniędzy i nie mam  
skąd ich wziąć. Muszę od tego odstąpić - wybuchnął Anders i  
równie gwałtownie zamilkł. Niespodziewanie zamknął usta i na  
jego podłużnej twarzy wstąpiły wypieki, jak gdyby powiedział  
coś nieprzyzwoitego.

- Powinieneś być wcześniej o tym pomyśleć - powiedział Bo-  
din lekko. Obserwował twarz Andersa, jak gdyby to było coś nie-  
zbyt pociągającego, nagiego, co nieoczekiwanie się odsłoniło. Ze-  
brał swoje rzeczy i poszedł.

Do miasta przybyli tuż przed drugą po południu i zaparkowa-  
li samochody Georga i Mansa na czworokątnym rynku. W loka-  
lu banku tylko Rickard w swych dobrze skrojonych spodniach i  
zielonym myśliwskim płaszczu wyglądał normalnie. Mans w  
grubym wełnianym swetrze czuł się jak niezgrabny wiejski faj-  
tłapa o czerwonych rękach. Zwykle przebierał się przed wyprawą  
do miasta. Georga przyjmowano z respektem, którego wymagało  
jego konto, podczas gdy Anders z Gillermossen, stojący przy sa-  
mych drzwiach i ponurym wzrokiem świdrujący otoczenie, z cy-

klistówką w rękę, był zbyt osobliwą figurą, by nie przyciągać spojrzeń. I nie poprawił sytuacji fakt, iż może po to, by czuć się pewniej, wszedł do banku z bronią.

W kawiarni Przyszłość, siedząc na obciążonej imitacją skóry kanapie, Anders musiał złożyć podpis na rewersach - jednym dla Georga i jednym dla Rickarda. Była to nieoprocentowana pożyczka, ale Anders podpisywał ją bardziej żałośnie niż wtedy, gdy brał kredyt hipoteczny. Odnośnie spłaty długu nie mogli znaleźć jakiegoś trafniejszego sformułowania niż „na żądanie”. Rickard wyjaśnił, że musi dostać swoje pieniądze, gdyby Klas Bodin ponownie dał o sobie znać i żądał więcej.

Mans zostawił ich przy letniej kawie i ciastkach z migdałami i, przeciąwszy rynek, wszedł do banku rolniczego. Wyjął książeczkę, na której było sześć tysięcy pięćset trzydzieści koron, i na blankiecie do wypłaty wpisał pięć tysięcy. Gdy podszedł do kasjerki w okienku, przyszło mu na myśl, że powinien coś powiedzieć.

- To mojej żony, ale ja mam pełnomocnictwo. Tu jest napisane.

Pokazał. Całkowicie zbytecznie, zrozumiał to po spojrzeniu kasjerki. Gdy wychodził z pieniędzmi, zrobiło mu się żal. Równie dobrze mógł wyjąć wszystko i wyrzucić książeczkę. I tak nigdy nie będzie mógł jej pokazać Evie i, jak sądził, nigdy nie zdobędzie takiej sumy, by znów wpłacić to, co wyjął.

To było nie do naprawienia. Dwadzieścia tysięcy koron, spadek po matce, Eva użyła na kupno domu i gospodarstwa. Co do reszty, miała już plany, ważne i pilne plany. Jeśli pokaże się przedstawiciel firmy handlującej pralkami, skończy się jej zaufanie do Mansa. Rzecz jasna, najpierw weźmie pod uwagę wszystkie inne możliwości, zanim uzmysłowi sobie, jak się sprawy mają. Będzie raczej przypuszczała wszystko, tylko nie to, że on brał udział w czymś takim, jak śmiertelne potrącenie człowieka, ucieczka z miejsca wypadku, planowanie próby morderstwa, zabranie jej pieniędzy. Mansie Westling, pomyślał i ścisnął małą książeczkę w plastikowej oprawce, aż mu się ręka spociła, tyś to wszystko zrobił.

# 11

**Środa, 16 października**

Pelle Mard był w domu sam. Żadnych pieniędzy nie posiadał, nie musiał więc niczego podpisywać. Jego ojciec uważał, że na nic się nie przyda, jeśli pojedzie z nimi do miasta i banku. W domu też nie było z niego dziś pożytku. Próbując zabić jakoś czas do ich powrotu, postanowił podjechać do chaty Tranang i tam na nich poczekać. Usiadł na podwórzu i czyścił gaźnik swego motoru, kiedy jakieś auto skręciło z drogi i zjeżdżało teraz w dół ku Stora Nybygget. Pellemu zrobiło się sucho w ustach i nie zdołał wykrztusić słowa na powitanie, gdy dwaj ludzie wysiedli z samochodu.

- Dzień dobry - odezwał się starszy z nich, który cały czas szedł o krok przed tym drugim. Był to niewysoki, krępy mężczyzna o trochę przyciężkim, lecz przyjaznym spojrzeniu. Ale jego brązowe oczy bystro lustrowały wszystko, na co padł wzrok.

- Czy zastaliśmy Georga Marda?

- Nie - odpowiedział Pelle szybko - nie ma go. Jest w mieście. Poluje... to przecież czas polowań na łosie. Chodzi chyba o to, że...

- Jest w mieście i poluje? - spytał ten starszy z rozbawieniem.

- To coś nowego.

Pelle definitywnie stracił wątek. W trwożnym pośpiechu powiedział dokładnie, jak było, i dopiero w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ojciec nie chciał, by ta ich wyprawa do miasta wyszła na jaw. Najbardziej ze względu na żonę Mansa i żonę Floda z Gillermossen. Może jednak nie odgrywało to szczególnej roli, że ci dwaj się o tym dowiedzieli.

- Czy mamy przyjemność rozmawiać z Pellem Mardem?

- Tak jest. To ja - powiedział Pelle. Wstał i wytarł ręce kawałkiem szmaty.

- To doskonale. Właściwie to pana szukaliśmy.

- Mnie?

Jego głos zadźwięczał nutą strachu, po czym, opadłszy niewielkim łukiem, przeszedł w falset. To było nieprzyjemne. Ten krępy już coś notował z lekkim uśmiechem.

- Jesteśmy z policji.

- Aha - powiedział Pelle i niepewnym wzrokiem łypnął na samochód, a potem znów na nich. - Tak też myślałem. Chodzi o polowanie? Myśmy już pokazywali licencje na broń i wszystko. Byli tu przed południem. Więc wszystko zostało wyjaśnione.

Trochę się plątał i sam to zauważył. Postanowił na razie milczeć.

- Nie, my jesteśmy z policji kryminalnej. Moje nazwisko Jonsson, a to asystent Lundahl.

Wskazał na tego młodszego i bardziej nieprzystępnego.

- Możemy wejść na chwilę?

Tak, oczywiście. Tarł ręce szmatą najdłużej, jak się dało, zanim mógł ją odrzucić i ruszyć przed nimi.

- A o co chodzi?

Wydawali się bardziej zainteresowani urządzeniem wnętrza. Spojrzenia Lundahla jak szybkie ptaki przemykały po suficie, ścianach, a Jonsson zatrzymał się dokładnie pod głową łosia w gabinecie.

- Niezłe! Czy to Georg Mard go ustrzelił?

- Tak, ojciec. Kilka lat temu.

Jonsson opadł na skórzany fotel tak swobodnie, jakby był



starym przyjacielem domu lub wiedział, że nim zostanie. Założył jedną krótką nogę na drugą i powiedział:

- Chodzi o ten wypadek przy stacji Rasbyfors w zeszłym tygodniu. Tam została potrącona kobieta o nazwisku Svea Hellberg.

Pelle usiadł. Była tylko jedna jedyna rzecz, którą chciał powiedzieć, i to chciał wykrzyczyć prosto w tę jowialną twarz: to nie ja prowadziłem! Ale wzrok wysokiego Lundahla, równie zimny i ciekawy jak przedtem, zmusił go, by wziąć się w garść. Nie wiedział, co byłoby bardziej naturalne - żeby milczał czy żeby coś powiedział.

- Tak, słyszałem, jak o tym mówiono.

- Tak, rozumiem - odezwał się Jonsson. - Z pewnością mnóstwo się mówiło o tym wypadku. No, ale sądzymy, że posunęliśmy się troszkę do przodu. Chociaż potrzebujemy pomocy społeczeństwa, jak zwykle.

Koniec końców nie wydawało się to tak groźne. Jonsson nadal był najbardziej zainteresowany łopatami byka na ścianie.

- Sprawa polega na tym, że w końcu znaleźliśmy torebkę tej kobiety - powiedział.

- Torebkę?

Na dźwięk tego słowa poczuł się, jakby dostał obuchem w łeb, nie miał jednak chwili na zastanowienie się.

- Tak, ona miała ze sobą na rowerze torebkę, ale jej nie znaleziono. Krewni, których odwiedziła w mieście, poświadczyli, że miała ją ze sobą, i wiedzieliśmy, rzecz jasna, że gdzieś ta torebka musi być.

- Aha - odezwał się Pelle - pewnie musi. Chociaż nie pisali o tym w gazecie.

Jonsson uśmiechnął się do niego przebiegle, jak gdyby mimo wszystko doceniał jego bystrość.

- Nie, nie pisali. Pewnych znaczących szczegółów nie należy ani nie można ujawniać.

Pelle pojmował. Jeśli winowajca na przykład przywłaszczyłby sobie torebkę, to szybko by się jej pozbył, gdyby napisano o niej w gazecie. Tym razem jednak tak nie było. Wiedział to.

- Ale myśmy ją znaleźli - powiedział nagle Lundahl. Wyraźnie uznał, że to wszystko przebiega zbyt wolno, i choć, kiedy spojrzał na tego drugiego, jego twarz wyrażała posłuszeństwo i respekt, odważył się przejąć inicjatywę.

- Otrzymaliśmy ją w wydziale kryminalnym dziś rano, choć właściwie była w posiadaniu policji już w poniedziałek przed południem. Ale najpierw wylądowała w wydziale rzeczy znalezionych, a ponieważ nie było w niej żadnego nazwiska, więc tam leżała. Aż oni uświadomili sobie, że to ta torebka, której myśmy w wydziale kryminalnym poszukiwali. Zresztą zostało potwierdzone przez krewnych, że to jej - dodał, jak gdyby umiał czytać w myślach Pellego. - Ale, jak powiedziałem, otrzymaliśmy ją dopiero dzisiaj, w przeciwnym razie odezwalibyśmy się już wcześniej.

- Młyny sprawiedliwości miały powoli, jak się mówi. Tym razem rzeczywiście mełły pustkę przez parę dni całkowicie zbytecznie.

To Jonsson raczył sobie z nim zażartować, ale Pellemu nie drgnęły usta. Choćby go kto zabił, nie mógł zobaczyć w tym nic śmiesznego.

- Co ja mam z tym wspólnego? - spytał.

- To jeden z kierowców pańskiego ojca ją przyniósł.

- Ach tak?

Potem bombardowali go na zmianę faktami o tej torebce, o której istnieniu prawie zapomniał. Nie był pewien jednak, czy wszystko rozumiał.

- Zatrzaszczył się o nią w sobotę wieczorem. Leżała w autobusie, którym jeździł w ciągu dnia.

- Na samym tyle, pod jednym z siedzeń.

- Oddał ją do wydziału rzeczy znalezionych dopiero w poniedziałek przed południem. Razem z kilkoma laskami, rękawiczkami i innymi rupieciami. Ludzie zapominają tyle rzeczy.

Pelle napotkał szczerze oczy Lundahla. Gdyby ten facet zechciał usiąść tak jak ten drugi.

- W takim razie musiała zapomnieć jej w autobusie?

- Tak - powiedział szybko Jonsson - musiała zapomnieć. - Ale nie wtedy, gdy jeździł autobusem w sobotę tamten kierowca.

- Bo wtedy ona już nie żyła - dodał Lundahl, jak gdyby podejrzewał, że Pelle nie nadąża myślą.

- W takim razie zapomniała jej wcześniej.

- Nie przed czwartkiem wieczór. Wtedy ją miała. To potwierdzone.

Jonsson także potrafił być szybki, kiedy chciał. Gdyby tylko Pelle wiedział, do czego oni zmierzają, ale wydawał się sobie kawałkiem kory unoszonej prądem twierdzeń i pytań.

- Dowiedzieliśmy się od innych kierowców, że to pan jeździł tym autobusem w piątek. Zgadza się?

- Oczywiście. Tak, to się zgadza.

Rozumiał, że teraz musi być dokładny i ostrożny. Nie zaprzeczać temu, co było ewidentne. Ale oto Lundahl powiedział coś, co zaskoczyło go jak nagły cios w kark.

- Skąd pan to wie?

- Co takiego? - spytał Pelle. Miał uczucie, że się dusi. To się działo za szybko, brakowało mu powietrza.

- Skąd pan wie, który to był autobus? - spytał Jonsson cierpliwie. - Myśmy nie wymienili nazwiska kierowcy.

- Nie... nie wiem. Więc to może nie byłem ja.

Lundahl podał numer autobusu.

- Tym ja jeździłem - powiedział Pelle. - Jechałem ostatnim kursem z miasta i byłem w domu w pół do jedenastej wieczorem.

To w każdym razie powinni wiedzieć. To ważne.

- Wtedy ona nie jechała autobusem, była w pociągu - powiedział Lundahl.

- No tak - potwierdził Pelle. - Wtedy nie jechała.

- Pytanie zatem, kiedy ona jej zapomniała.

Wydawało się, że uważają za zabawne pozwolić korze na chwilę przepłynąć na spokojną wodę. Patrzyli na niego i czekali. Zdjął ręce z poręczy krzesła i zobaczył, że w tych miejscach widniały ciemne plamy wilgoci na skórze.

- Czy ona jechała z panem?

- Nie, kiedy by to miało być?
- Kiedyś musiała zapomnieć tej torebki.  
Miał dobrą pamięć do ludzi, którzy jeździli autobusami, przynajmniej tych, których wiozł z Rasby do miasta. Szybko zaczął wyliczać.
- W pierwszym kursie były dwie osoby, które jechały na zakupy. Żona sklepikarza Sjólina i jej córka, a potem jeszcze jedna wsiadła przy domu, to znaczy domu starców. Ale to była tylko jedna ze staruszek. Za drugim razem nikogo nie było przy domu. To pamiętam. Trzecim kursem...
- Tak, tak... - odezwał się Jonsson i po raz pierwszy okazał lekką niecierpliwość. - Co do tego mamy jasność. Zatem ona nie jechała autobusem.
- Nie, absolutnie nie. Ja jej nie wiozłem.  
Dopiero, kiedy to oznajmił, pojął, jak głupio powiedział. Już nie trzeba było, żeby Jonsson, odchyliwszy się na krześle, obojętnym wzrokiem wodząc po trofeum Marda, zapytał:
- Jak wyjaśni pan zatem, że jej torebka znalazła się w autobusie?
- Musiała chyba mimo wszystko jechać - powiedział Pelle cicho i miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno na zmianę zeznania. - Może jechała, chociaż ja jej nie zapamiętałem. Zwykle mam dobrą pamięć do ludzi, ale jak się tak zastanawiam, to może mimo wszystko ją wiozłem podczas któregoś kursu. Być może, że...
- Wydawało mu się, że Lundahl spogląda na niego prawie współczująco.
- Nie trzeba - powiedział. - Pan nie musi sobie tego przypominać. Zostało potwierdzone, że jechała do miasta pociągiem w czwartek wieczór i że miała ze sobą torebkę. Miała ją również, gdy ostatnim pociągiem wracała do domu w piątek wieczór, ponieważ bilet był w torebce, i to skasowany.
- Potem jednak z jakiegoś powodu leżała w autobusie - przystąpił do rzeczy Jonsson. - A zatem już po przyjeździe pociągu dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy, aby o to spytać - powiedział Lundahl.

- Jak to?! Skąd ja to mogę wiedzieć? Odstawiłem autobus o wpół do jedenastej.

- I potem już nie wyjeżdżał?

-Nie.

Pragnął, żeby ojciec był w domu. On by ich usadził, pomyślał. On by zapytał, po co, do cholery, tu przyszli i czepiają się mnie o ten autobus. On by...

- Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić?

„Potwierdzić” było wyraźnie ich ulubionym słowem. Pelle był pewien, że Jonsson nie piłby kawy, gdyby nie zostało potwierdzone, że filiżanka zawiera dwie kostki cukru. Lundahl przypuszczalnie nie piłby w ogóle nic, gdyby nie zostało potwierdzone, że on jest spragniony.

- Tak, jest. Pięć osób. Tato miał gości na obiedzie.

Wyliczył nazwiska. Zabrało to dużo czasu, ponieważ Lundahl chciał je zanotować. Chciał także adresy. Mans Westling, Vinterrönningen. Erik Emilsson, leśniczówka. Anders Flod, Gillermossen. Rickard Turesson, Rasby.

- No i tato, oczywiście.

- Tato, tak - powiedział Jonsson. - Nikt inny?

- Nie, tylko Valborg. Ale kiedy przyjechałem, jej już nie było. Poszła na jakieś spotkanie w Małej Betel.

I dzięki Bogu za to Betel, pomyślał.

- Valborg?

- Valborg Erixen, to gospodyni taty.

- Ach tak - powiedział Lundahl i zapisał.

- Pisz się przez „x”, jeśli się chce być dokładnym.

- My zawsze jesteśmy dokładni - powiedział Jonsson wesoło.

- Bardzo dokładni. Ale teraz nie będziemy dłużej przeszkadzać.

Wstał i wziął swoją teczkę. Już po wszystkim? - pomyślał Pelle. Nic więcej? Wymienił pięciu ludzi, którzy mogli potwierdzić, że przyjechał do domu o wpół do jedenastej i że potem już nie ruszono autobusu. To im wystarczyło. A może nie?

- Chcielibyśmy pokazać torebkę - odezwał się Jonsson. - Jeśli przypadkiem pan ją wcześniej widział.

Wyjął z teczki papierowe pudełko. Kiedy je otworzył, Pelle zobaczył torebkę i sądził, że to im wystarczy. Poznawał ją aż za dobrze. Ale oni chcieli, żeby obejrzał ją dokładnie. Wyjął więc i obracał w rękach. Była to tania torebka z brązowego skaju. Rączki popękały i gdy się ich dotknęło, drapały. Czuł to, kiedy niósł ją do autobusu i teraz, kiedy rączki torebki znalazły się w jego dłoniach, tamto odczucie powróciło tak silnie, że nie pojmował, jak mógł go zapomnieć. Tamci z pewnością niczego nie zauważyli.

- Nie, nie widziałem jej - powiedział. - W każdym razie nie jechała ze mną.

- Kiedy ojciec wróci do domu? - spytał Jonsson.

- Trudno powiedzieć. Teraz jest przecież polowanie na łosie, a wtedy najczęściej jest poza domem. To samo dotyczy pozostałych, których panowie zapisali. Polują z ojcem.

- W takim razie odezwiemy się wieczorem, kiedy wrócą.

- Nie sądzę, żeby wrócili dziś wieczór. Zwykle nocują... w jednej chacie.

W ostatniej sekundzie uzmysłowił sobie, że nie powinien mówić, w której chacie spędzają nocę.

- Gdzie mianowicie?

- Tego nie wiem. Są różne. Tam w górze jest tyle chat dookoła.

Poszli sobie. Śledził wzrokiem samochód i czuł zadowolenie, że ich oszukał, nie mówiąc o chacie Tranang. Czy to coś dało, nie bardzo wiedział. Kiedy został sam, w głowie miał zamęt.

Gdy doszedł wieczorem na górę do chaty, przestraszył się. Wyglądali bardziej ponuro, niż się spodziewał. Erik Emilsson nie był w mieście i jeszcze się nie pojawił. Mans, wyciągnięty na pryczy, na której przeleżał cały poniedziałkowy wieczór, nie ruszał się. Wewnątrz panował zaduch i zajeżdżało stęchlizną, nie rozpalili ognia.

- Chcecie coś do jedzenia? - spytał Pelle. - Przyniosłem trochę.

Zaczął wypakowywać z plecaka wiktuały i przy tym wyciągnął gazetę, którą kupił, przechodząc obok sklepu. Zamierzał od tego zacząć, potem stopniowo przejść do opowiadania o wizycie policji.

- Czytaliście gazetę?

Mans Westling obrócił się na bok i plecami zwrócony do ściany patrzył, co się dzieje.

- Nie. Co w niej jest?

Podał gazetę ojcu, który z kieszeni myśliwskiej kurtki wyjął okulary do czytania i zaczął czytać. Pelle sądził, że przeczyta głośno, ale on po przeczytaniu rzucił gazetę Rickardowi. Na jego czole pojawiły się dwie głębokie bruzdy, po czym odchylił się na krześle i zaczął tak sapać, aż Pelle pomyślał, że szwy spodni pękają mu na brzuchu.

- Jasna cholera - odezwał się. - Zawsze jest coś, czego czło-  
wiek nie wie.

Rickard czytał donośnym i suchym głosem.

- „Można już z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że ciało denatki, Svei Hellberg, mieszkanki Rasby, która zginęła w wypadku samochodowym, na miejsce, gdzie je odnaleziono w pobliżu stacji Rasby, zostało przeniesione. Zabezpieczyliśmy ślady, które wskazują na to, że miejsce znalezienia nie jest tożsame z miejscem wypadku, oświadczył asystent wydziału kryminalnego, Ivar Lundahl, w odpowiedzi na pytanie gazety. Torebka, którą ofiara miała przy sobie podczas jazdy rowerem ze stacji i której cały czas brakowało, została odnaleziona. Policja twierdzi, że jeszcze zbyt wcześnie na ujawnienie szczegółów dotyczących jej znalezienia, ale śledztwo jest kontynuowane według ustalonej linii.”

- Aha - odezwał się Rickard i przesunął gazetę na przeciwną stronę stołu do Andersa Floda - potem będą przeżuwać całą historię jeszcze raz, gdzie ją znaleziono, a potem to już tylko krok.

- Torebka?

Anders Flod szukał palcem, wodząc po linijkach, jak gdyby musiał zobaczyć to słowo na własne oczy.

- Jaka torebka?
- Pewnie leżała koło niej.

Pelle zobaczył, że Mans uniósł się na pryczy, a Rickard cicho obszedł stół dookoła i stanął tak, żeby czytać notatkę zza ramienia Andersa.

- Ja nie widziałem żadnej torebki.

- Ja też nie.

- Zależy od tego, gdzie oni ją znaleźli - powiedział Anders i pustym wzrokiem patrzył w dół na gazetę. - Jeśli znaleźli ją na miejscu wypadku, niewiele da się z tym zrobić.

- Jasna cholera - powtórzył Georg mechanicznie. - Po co musieliśmy wszystko przewracać? Po co musieliśmy ją ciągnąć do drogi przy Nipparbol?

Pozostali milczeli. Pelle uznał, że nastala jego kolej. Teraz powinien powiedzieć, że policja była w domu i przepytowała go. Powinien ich uspokoić odnośnie tej torebki, że nie leżała na drodze Kroktorpsvagen, tylko w autobusie. Ale czy to ich uspokoi?

- Policja - zaczął, ale jego ojciec rzucił mu takie spojrzenie, że umilkł.

- Tak? - odezwał się Mans, zeskoczył z pryczy i podszedł do stołu.

Pellemu zabrakło odwagi. Myślał nad tym, co powiedział policji, co potwierdził, a co zanegował. Ojciec się wścieknie, kiedy wycisnie z niego, jak pozwolił im się traktować. Później doszedł do wniosku, że wszystko, co powiedział, było poplątane, złe i głupie. Przez cały czas myśli, które tłukły mu się po głowie, nie były jasne i klarowne.

- Policja chyba nie wie za wiele - powiedział niepewnie. Po prostu zabrakło mu odwagi. Równie dobrze mogą sobie sami to wszystko uzmysłwić. Może policja już się więcej nie odezwie, zapisali przecież tych pięć nazwisk. Pięć nazwisk ludzi, którzy mogą potwierdzić, że autobus został przyprawiony do domu i nie był używany po wpół do jedenastej. Pięć godnych zaufania nazwisk. Wszyscy to rzetelni, solidni i znani mieszkańcy Rasby.

- Co z tobą? - spytał Georg. - Słyszałeś coś więcej?



Drzwi chaty otwały się i jak marionetki odwrócili jednocześnie głowy ku wchodzącemu. Był to Bodin. Pelle poczuł wdzięczność za chwilę wytchnienia. Nie powiem im, pomyślał. Ojciec urządzi mi piekło.

- Ach, więc wróciliście - przywitał ich Bodin. - Udało się?

Nikt nie odpowiedział i Bodin wyraźnie wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Wszedł i odwiesił broń na jeden z kołków przy drzwiach.

- Ty masz moją strzelbę? - spytał Georg gwałtownie. -

Tak.

- Jak, do cholery, mam to rozumieć?

Wstał ciężko, podszedł i zdjął sztucer. Zazdrosnymi palcami sprawdzał go, a Bodin podśmiewał się z niego cicho.

- Nie oddałem z niej ani jednego strzału. Chodziłem trochę sam po południu, ale nie widziałem żadnego znaku życia. Szko da, bo pomyślałem sobie, że miło byłoby wypróbować tę świetną broń.

Georg wyglądał, jak gdyby Bodin wyraził żal, że nie miał okazji wypróbować jego żony.

- Ona nie jest do pożyczania - oznajmił i powiesił ją na ścianie. - Nawet wtedy, gdy człowiek przedtem zada sobie trud i zapyta.

- Tak twierdzisz - powiedział Bodin obojętnie. - W takim razie pożyczę ją jutro na trochę. Zastanawiam się, czy nie kupić takiej samej. Ale przecież trzeba najpierw sprawdzić, za co się daje pieniądze.

Zasnurował swój plecak i nałożył lodenowy płaszcz. Dziwne było, że mimo wszystko zamierzał iść do domu na wieczór. Nikt by się nie zdziwił, gdyby został, oddychając ich powietrzem i śpiąc z ich nienawiścią w płucach.

- Jak poszło z pieniędzmi? Równie dobrze możemy załatwić to od razu.

- Miało być jutro - powiedział Georg powoli. Oddychał ciężko i nadal nie zdjął ręki z kolby strzelby. Obejmowała solidne, pięknie wypolerowane drewno i nie poruszyła się.

- Myślałem, że chcielibyście mieć to z głowy - odezwał się Bodin, wzruszywszy ramionami.

- Nie ma jeszcze Erika.

- Więc czekamy do jutra, jak zostało ustalone. Ale odjeżdżam pociągiem o czwartej. A potem będzie za późno.

Powiódł po nich wzrokiem. Postawił ich pod ścianą, której nie mogli przebić. Czy choć przez moment przeczuwał, że mają sposób, by się z tego wywinąć? Przez sekundę wyglądał na przestraszonego. Ale to wrażenie szybko minęło niczym przelotny cień. Stał pewny siebie na rozstawionych szeroko nogach, wyraźnie jednak pomyślał o tym, jak to będzie po jego wyjeździe.

- Gdybym był na waszym miejscu, miałbym się na bacności przed Gustafem Akermanem - odezwał się trochę zrzędliwie.

- Miałbyś się?

W głosie M3nsa brzmiała drwina. Uśmiechnął się do Bodina szyderczo.

- Gdyby ktoś był na twoim miejscu, to byłaby zupełnie inna sprawa. Wtedy rzeczywiście powinien się mieć na bacności.

Była to tylko igraszka słowna. Nie mogli sobie pozwolić na groźby. Ale Bodinowi twarz nabiegła krwią.

- Idę o zakład, że on zamierza zakłusować na tego waszego łosia - powiedział zapalczywie. - Tego byka z Flymyran. Nie podda się, zanim go nie dostanie, legalnie czy nielegalnie.

Milczeli. Musiał doznać uczucia, jak gdyby nagle ogłuchł, jak gdyby znalazł się pod wodą, bo teraz prawie krzyczał:

- I nie zamierzacie nic z tym zrobić?

Chociaż wiedział, że to daremne, ciągnął uparcie. Na myśl, że Gustaf mógłby ustrzelić tego wielkiego byka mordercę, bardziej okazałego niż ten, którego Georg miał na ścianie w domu, czuł się chory.

- On go wam sprzątnie, bydlak kłusownik. Wiem to. Sam byłem w tamtym rejonie dziś po południu i spotkałem go. Miał swego remingtona i było widać, że nie chciał, by mu przeszkodziło. Bardzo sprawnie się skradał.

- Nie - powiedział Mans. - Wtedy nigdy byś go nie dostrzegł.

Głos miał zimny i zmieniony. Gdy wstał od stołu i podszedł do Bodina, miał tę samą pustkę w twarzy, co w poniedziałek rano w lesie. Ale Georg stał między nim a strzelbami.

- Gdyby rzeczywiście chciał się ukryć, nigdy byś go nie zobaczył. Pojmujesz to? Kłusownicze bydło nie idzie przez las tak jak ty.

- Wyszedłem prosto na niego - upierał się Bodin. - Zapytałem, czego szuka z bronią w lesie.

- Co ci odpowiedział?

Teraz w głosie Mansa przebijało rozbawienie.

- Ech, odszczeknął się, oczywiście.

- Może pytał, czego ty szukasz z moją strzelbą w lesie - odezwał się Georg łagodnie.

Bodin zdjął z haka swój dwulufowy sztucer. Widać było, że z przyjemnością poczuł w ręce ten niezawodny, dobrze wyważony ciężar.

- Do jutra. To będzie ostatni dzień, jeśli idzie o mnie, więc mam nadzieję, że uda się wam zorganizować trochę lepsze polowanie niż dzisiaj.

Drzwi trzasnęły za nim i usłyszeli odgłos jego kroków na suchej ziemi zbocza porośłego sosnami. Minęło zaledwie parę minut, jak w drzwiach pokazał się Erik Emilsson i wślizgnął do środka.

- Słyszałeś go? - spytał Anders Flod.

- Jasne. Pomyślałem, że z powodzeniem mogę chwilę pocze-kać, aż pójdzie.

Rozejrzał się dookoła w mroku. Lampa naftowa nie paliła się. Piec był zimny.

- Co z wami? Dlaczego siedzicie tacy markotni?

- Byliśmy w mieście skombinować pieniądze - odpowiedział Georg.

- Wiem o tym. Tak ci mocno opróżniło sakiewkę, że już cię nie stać na jedzenie?

Przyklęknął przed piecem i zaczął rwać płaty kory brzozy, żeby łatwo się zapaliły.

- Przeczytaj gazetę, to może też stracisz apetyt - odezwał się Anders Flod, który cały czas siedział pochylony nad stołem i wycinał finką jakieś znaki. Odgłos noża na blacie był denerwujący, ale nikt nie zdecydował się tego powiedzieć.

- Przeczytaj mi, Pelle.

Pelle uczynił, co mu polecono, czytał, zacinając się i akcentując, jak gdyby siedział w szkolnej ławce.

- Torebka? - zapytał Erik. - Czy ktoś widział torebkę?

Zaprzeczyli. Pelle milczał.

- Czytaj dalej.

- „Policja twierdzi, że jeszcze zbyt wcześnie na ujawnienie szczegółów dotyczących jej znalezienia, ale śledztwo jest kontynuowane według ustalonej linii.”

Erik parsknął donośnie. Akurat ogień zaczynał się rozpalać, więc nawet nie odwrócił się w kierunku Pellego.

- Nie rozumiesz, że torebka mogła leżeć przy Kroktorpsvagen?

- No a potem?

- Autobus - rzucił Pelle. - Ślad po autobusie!

- W tym tygodniu padało co noc. Śladów nie pozostało za wiele. Jeżeli jakieś są, to musieliby na nie wleźć.

- Tu napisano, że pracują według ustalonej linii - podkreślił Rickard cicho. Wyraźnie był tak przestraszony, że ledwie panował nad głosem, więc zrozumiałe było, iż cały czas się nie odzywał.

- Ustalona linia - powiedział Erik pogardliwie. - Znam te ich ustalone linie. To ten sam, ten Lundahl, który wszystko poprzewracał do góry nogami, kiedy próbowałem wsadzić bandę z Arby za polowania w czasie ochronnym i połowy ryb bez zezwolenia, i wiele innych spraw. Wydawało mu się, że zebrał wystarczające dowody przeciwko nim. Ale kiedy stanęli przed sądem, kłamali zgodnie, przysięgali i zaklinali się uroczyście, a ich mamy i narzeczone, i diabelskie babki były tam także, płacząc i przysięgając fałszywie, tak że ja jako świadek oskarżenia

zostałem tylko ośmieszony. Jedyne, którego przymknęli, to był stary Lind. On łapał bażanty w pułapki na szczury i nie tak łatwo było wywinąć się z tego, bo przyłapałem go na gorącym uczynku i skonfiskowałem mu pułapki. Ale nawet to go nie powstrzymało i przysięgał, iż bażanty same sfrunęły w jego pułapki stojące w piwnicy.

Sprawiało im ulgę słuchanie, jak mówił o policji w ten sposób. W szczególności ulżyło Pellemu, który powoli zaczynał przyzwyczajać się do myśli, że asystent Lundahl był tylko zwyczajnym człowiekiem i też popełniał błędy. Ponowił swoje postanowienie, żeby nie wspominać o wizycie policji. Nic z tego więcej nie będzie. A gdyby nawet, to mogą przysiąc, i będą się zaklinać, że w piątek byli w domu przez cały wieczór i autobusu nikt nie ruszał. Czyż nie uwierzą im, rzetelnym ludziom, skoro grupa mętnych figur, takich jak banda z Arby, poradziła sobie, zaklinając się uroczyście?

- Policja - powiedział Pelle serdecznie do pleców Erika przed piecem - oni są tylko okropnie pewni siebie.

- Tak, tacy są.

Wstał i otarł sadzę z rąk o spodnie na udach.

- Teraz nastawię kawę. Zapal lampę, Rickard. Czy może zamierzacie tak siedzieć i dumać w ciemności?

- Bodinowi nie ujdziemy i tak - odezwał się Georg. - Mam nadzieję, że o tym nie zapomniacieś.

- Oczywiście, że nie.

-1 skombinowałeś pieniądze?

-Nie.

Rickard drgnął tak, że rozlał trochę nafty na stół. Próbował zetrzeć strużkę chustką do nosa, ale nie widział, co robi, bo patrzył na Erika.

- Co masz na myśli? On nie będzie czekał dłużej niż do jutra rano. Potem złożę na nas doniesienie.

- Słyszałem o tym.

Erik powiedział to obojętnym głosem, co rozwścieczyło Rickarda.

- Więc co ty zamierzasz? Anders pożyczył pieniądze od Georga i ode mnie, i podpisał rewers. Ja nie mogę pożyczyć więcej. Ale ty musisz postarać się o pieniądze. Georg...

- Nie mogę wyłożyć prawie całej sumy - uciął Georg. - To niemożliwe.

- W porządku - odezwał się Erik. - A ja nie mam w ogóle żadnych pieniędzy.

- W takim razie, co zamierzasz?

- To już moja sprawa.

-Nie!

Georg wstał i krzesło upadło w tył, uderzając w ścianę chaty.

- Nie ma mowy, byś wyniósł się cichaczem i robił, co ci się podoba! Tak, do cholery, zachowywałeś się przez całe swoje życie. Usuwałeś się od wszystkiego. Ale tym razem będziesz tak dobry i zastosujesz się do nas. Świetnie rozumiem, że nie uważasz, by to było takie straszne dać się wsadzić. Zawsze niewiele sobie robiłeś z tego, co ludzie o tobie mówią. Ale jest nas jeszcze pięciu i jedziemy na tym samym wózku. Teraz masz się dostosować do nas!

Rickard wślizgnął się za Georga i postawił krzesło. Georg zamachał, żeby go odpędzić niczym gza i, oparty rękami o stół, wpatrywał się w Erika.

- Wściekasz się i wrzeszczysz bez sensu - powiedział Erik i uśmiechnął się lekko. - Tym to ty możesz wystraszyć najwyżej kogoś takiego jak Pelle.

Takie lekkie dźgnięcie nie odebrało Georgowi mowy. Wciągnął powietrze i machnął ręką, z trzaskiem zmiatając na podłogę lampę naftową. Kawałki szkła rozprysły się na wszystkie strony. Erik spojrzął na strumyk nafty u swoich stóp i patrzył, jak płynie. Georg zbliżył się do niego tak, że jego oddech ział mu w twarz.

- Masz zamiar skombinować pieniądze czy nie?

- To było całkiem niepotrzebne - odparł Erik, głową wskazując lampę.

- Słyszysz, co mówię?

- Mam dobry słuch.

- Cokolwiek robicie - odezwał się Rickard cicho i z perswazją - nie bijcie się. Spróbujcie się obaj uspokoić.

- Ja jestem spokojny - powiedział Erik. - Słyszę, co mówisz. Rozumiem, że jesteście nerwowi z powodu Bodina. Ale tu chodzi tylko o to, że ja nie mam pieniędzy.

- Ja też nie miałem! - wybuchnął Anders Flod. - Ale musiałem podpisać!

- A ja nie mam najmniejszej ochoty tego robić.

- Więc co masz ochotę zrobić? - spytał M&ns ze swego kąta.

- Gdybyś mógł nam to raz wyjaśnić.

- Nie rozumiecie, że dawanie mu pieniędzy jest bezsensowne? - spytał Erik i uzyskał to, że Georg znów siadł ciężko na krześle. - On będzie chciał tylko więcej i więcej. Tyle przynajmniej powinieś ty, Georg, coś przywykł do obracania pieniędzmi i robienia interesów, rozumieć.

- Takich interesów ja nie robię.

- Nie, ty przez całe życie robiłeś dobre, honorowe interesy - powiedział Erik, a jego głos brzmiał znów niemal wesoło.

Georg świdrował go wzrokiem.

- Jeśli o mnie chodzi, nie nawykłem do posługiwania się pieniędzmi tego rzędu. Ale radzę wam, zatrzymajcie je. Jeśli ma się zmusić Bodina do milczenia, to trzeba czegoś innego niż pieniądze.

- Co takiego? - spytał Mins ostro. - O czym ty mówisz?

- Zobaczmy jutro - powiedział Erik. - Nie dawajcie mu żadnych pieniędzy, to zobaczymy, co powie.

M&ns znów zszedł do nich. Był tak blady pod opalenizną, że twarz wyglądała jak brudnoszara.

- Wiem, co ci chodzi po głowie - powiedział, biorąc Erika za ramię. - W lesie jest tylko jeden sposób, który kończy wszystkie problemy. Dla ciebie istnieje tylko ten jeden sposób.

Erik nie odpowiadał, ale powiódł wzrokiem za spojrzeniem MSnsa na strzelby wiszące na ścianie przy drzwiach. -Tak?

Znów przeniósł wzrok i spojrzał Mansowi w oczy. Właściwie był rozbawiony, gdy zobaczył, jak Mans się tym przejął.

- Tego nie zrobisz - powiedział Mans. - Żaden z nas tego nie zrobi.

-Nie?

Prześlizgnął się po nich wzrokiem. Georg pokręcił przecząco głową.

- Nie, Mans ma rację. To się może diabelsko źle skończyć.

- To może być straszna historia - powiedział Rickard pojednawczo. - Nie rozumiesz tego? Jeśli policja...

- O, mój Boże! No to płąćcie, do cholery. Płąćcie, aż nic wam nie zostanie.

- Ty też.

- Ale ja nie mam żadnych pieniędzy, powiedziałem! I nie mogę żadnych skombinować!

Niespokojnie przemierzał izbę tam i z powrotem. Anders Flod zaczął przyrządzać kawę, Georg siedział w milczeniu z twarzą ukrytą w dłoniach.

- No i teraz będziemy w dodatku siedzieli w ciemności - utyskiwał Rickard i zabrał się do zmiotania kawałków szkła z podłogi.



## 12

**Czwartek, 17 października**

- Jedzie!

Uszy Rickarda musiały być ze strachu czułe jak u lisa, bo jako pierwszy usłyszał warkot silnika samochodowego.

- Co powiesz? Co powiesz, kiedy wejdzie?

- Uspokój się - odparł Erik. - To raczej moja sprawa, co powiem.

Mans siadł na schodkach do chaty i patrzył na pozostałych, którzy, stojąc w zbitej grupce pod sosnami, nadsluchiwali dźwięków dochodzących z dołu leśnej drogi. Milczeli do momentu, aż usłyszeli odgłos kroków Bodina na suchej ziemi zbocza.

- Tak całkiem twoja sprawa to raczej nie jest - odezwał się Anders Flod, nie patrząc na Erika.

Erik nie odpowiedział. Mans dostrzegł, że odbezpieczył strzelbę. Zrobił to ostrożnym, niemal niedostrzegalnym ruchem palców. Trzema długimi krokami Mans zszedł ze schodków i stanął tuż za nim.

- Co chcesz zrobić?

- Boże drogi, mielecie ozorami jak stare baby. Dajcie mi spokój.

Mans także odbezpieczył sztucer. Uczynił to wyraźnie na oczach Erika.

- Wiem, co ty zamýślasz - powiedział. - Strzelba wypali, gdy on nadejdzie. A potem wszyscy będziemy przysięgać, że to był nieszczęśliwy wypadek.

Erik pochylił ku niemu ciężką i nieruchomą twarz.

- Ale nie zrobisz tego - powiedział Mans. -

Nie?

- Jeśli spróbujesz, zastrzelę cię.

Jego palce, nieruchome i czułe, leżały na zamku sztucera.

- Dzieciaku - powiedział Erik, a przez jego twarz przemknął uśmiech.

Ale ciągle nadśluchiwał i wydawało się, jakby nie miał czasu na rozmowę.

- Zrobię to - powtórzył Mans.

Słyszał, że jego głos brzmi cienko, nie obchodziło go też, że zobaczył już majaczącą między sosnami postać Bodina.

- Mówię serio! Strzelę.

- Wierzę ci - odparł Erik, nie patrząc na niego. - Jestem pewny, że z ciebie taki wariat. Tylko trudno ci będzie trafić. Przy tym, jak się trzęsiesz.

Bodin musiał usłyszeć jego słowa, bo zatrzymał się, nie dochodząc do nich.

- O co chodzi? - spytał.

Jego wzrok wędrował od jednego do drugiego. Oddychał ciężko po wysiłku, jakim było podejście zboczem.

- MInś dostał znów myśliwskiej gorączki - odezwał się Erik.  
- Ale to mija.

- Ruszamy?

Rickard schwycił Erika za ramię, ale cały czas patrzył na Mansa.

- Dziś czwartek - powiedział Bodin. - Więć chodzi o te pieniądze.

Musiał zauważyć, że znajduje się tuż obok odbezpieczonej broni, ponieważ lustrował ich oczami jednego po drugim. Georg był jedynym, który napotkawszy jego spojrzenie, patrzył obojętnie.

- Chyba nie sądzisz, że tyle pieniędzy mamy ze sobą w lesie  
- powiedział. - Ja mam w domu.

- Więc musicie to uregulować, zanim odwieziecie mnie na pociąg.

- W porządku. Ale chyba najpierw możemy trochę za polować.

Georg ruszył w dół do Tranangen, a oni za nim. Mans szedł tuż za Erikiem.

Gdy tego ranka policjanci wysiedli przy Stora Nybygget, Jonsson jak zwykle szedł o krok przed Lundahlem. Rzucił okiem na rozebrany na części motor i szmatę, która leżała tam, gdzie ją zostawił Pelle. Lundahl zadzwonił do drzwi. Otworzyły się tak szybko, że zrozumieli, iż byli obserwowani już od chwili, gdy samochód skręcił z szosy.

- Zastaliśmy Georga albo Pera-Erika MSrda?

W drzwiach stała wysoka, szczupła kobieta. Głowę miała obwiązaną chustką, z której sterczały rożki, a ręce ubielone mąką. Przeciąg, który powstał po otwarciu drzwi, przyniósł zapach pszennego pieczywa, co przychylnie nastroiło Jonssona.

- Nie, nie ma ich.

- Polują, rzecz jasna. -

Tak.

Miała ekonomiczny sposób ucinania zdań. Przedstawili się i zapytali, czy mogliby wejść do środka.

- Piekę - odpowiedziała Valborg. - O co chodzi?

- Pani jest panną Erixen, jak przypuszczam - powiedział Jonsson i wślizgnął się w ów zapach pieczywa z tą zwinnością, która charakteryzuje tylko policjantów i domokrażców. Valborg piekła w kuchni i okopała się przy kuchennym stole za lśniąca kulą drożdżowego ciasta. Gdy jednak zaczęli mówić o wypadku przy stacji, zainteresowała się.

- A cóż oni mogliby mieć z tym wspólnego?

- Chodzi tylko o to - powiedział Jonsson pogodnie - że

musimy spróbować uzyskać pomoc od społeczeństwa. Inaczej się nie posuniemy.

Czy ją przekonali, tego przynajmniej nie dała po sobie poznać.

- Ach tak?

- Istnieje możliwość, że Per-Erik MSrd mógł coś wiedzieć, może zrobił jakieś ważne spostrzeżenie, nawet bezwiednie.

- Pelle?

Jej głos zabrzmiał tak, jak gdyby nie uważała tego za prawdopodobne.

- Tak, przecież on prowadził ostatni autobus - powiedział Jonsson. - Może był właśnie wtedy na trasie, około jedenastej, piętnaście po jedenastej.

- To musicie go zapytać.

- A pani nic nie wie?

- Ja nie byłam w tamtej stronie. Poszłam wieczorem do Małej Betel i wróciłam do domu w pół do dwunastej.

- I wtedy Per-Erik był oczywiście w domu?

- Nie. Nikogo z nich nie było. MSrd miał tu proszony obiad, ale gdzieś wyszli, kiedy ja wróciłam.

- Aha... a autobus?

- Autobusu oczywiście nie było. Pojechali nim. Tuż przed dwunastą słyszałam, że wrócili.

- Autobusem?

- Tak, słyszałam autobus wjeżdżający na plac. Potem się położyłam.

- I - odezwał się nagle Lundahl, próbując zapanować nad podnieceniem w głosie - mogłaby pani potwierdzić to pod przysięgą?

- Pod przysięgą? A po co? Chyba wiem, co słyszałam. Zresztą równie dobrze możecie zapytać ich samych.

- Zrobimy tak - powiedział Lundahl. - Chodzi jednak o to, by ich znaleźć.

- Myślę, że nocują w chacie Tranang - odparła Valborg i szybkimi ruchami zaczęła wyrabiać ciasto na stolnicy, aż klaskało. - Ale potem, trudno powiedzieć, dokąd ruszają.

- Zobaczymy. Ale pewnie wrócimy też jeszcze do pani.
- Proszę bardzo. Tylko jutro robię pranie.
- A w sobotę oczywiście sprzątanie - powiedział Jonsson ze zrozumieniem.
- No pewnie.
- Ruszyli ku drzwiom. Jonsson skłonił się.
- A w niedzielę ona zjada małe dzieci - szepnął Jonsson, zamknawszy za sobą drzwi.
- Jak na gatunek ludożercy, była bardzo pożyteczna - odezwał się Lundahl z wdzięcznością.
- Wsiadli do samochodu, rozłożyli mapę, którą studiowali przez chwilę, po czym włączyli silnik.

Klas Bodin siedział godzinę na swoim stanowisku i już nie marzył. Słońce oblewało bok góry za nim i ogrzało ciche, jesienne czyste powietrze tak, że w kotlinie, gdzie siedział, zaczynało być przyjemnie. Oceniał stanowisko jako dziecinnie łatwe do oddania strzału i prawie pewne. Z tego, co pamiętał z dawnych czasów, był tam łośiowy przeskok z mokradła Flymyran, które wysuwało wąskie ramię aż do podnóża góry. Z dołu połyskiwała ku niemu ogołocona z kory sosna w kształcie liry jako punkt orientacyjny. Była wytarta, czyli oczemchana przez łośia, i Bodin uznał, że czemchanie sięgało wysoko. W słonecznej spiekocie i chwilowej nudzie marzył, że te znaki mógł zostawić ów wielki byk z Flymyran. Chciałby go ujrzeć sadzącego kłusem w dole nad pasmem mchu. Z daleka usłyszał przenikliwe ujadanie Śpiewki, która chwyciła wiatr, znieruchomiał i natężył uwagę. Ale minęło z piętnaście minut i nic się nie działo, znów zaczynała ogarniać go senność. Wyobraził sobie, że widzi byka, który wypada z leśnej gęstwiny, to z jednej strony, to z drugiej. W końcu wydało mu się, że dostrzega jakiś ruch na skraju lasu, tam właśnie, gdzie patrzył. To były jakieś układanki z rozłożystych gałęzi świerków z brodami porostów poruszających się na wietrze, szarobiałych pni osik i bloków skalnych, które wznosiły się jak wielkie grzbiety łośi.

Samotność i ciepło dobrze mu zrobiły. Nuda na stanowisku była przyjemna, ponieważ w każdej chwili mogła zostać przerwana przez coś nieoczekiwanego. A mimo to tłukł się w nim jakiś niepokój. Niepokój, który nie miał związku z polowaniem. Postaram się coś dziś ustrzelić, potem wyjeżdżam. Najlepiej wynieść się stąd, przemknęło mu przez głowę. Pomyślał o liście, który napisał, i nagle wydał mu się wątpliwym ubezpieczeniem na życie. Było coś takiego w tych mężczyznach, którym się narzucił, czego nie mógł rozgryźć, wiedział to. Bał się Erika i bał się Mansa Westlinga, mimo listu. Mans był typem, który może rzucić się na oślep i popełnić jakieś szaleństwo wbrew rozsądkowi. Erik był spokojniejszy, bardziej przebiegły. Przez moment jego myśli znów krążyły wokół listu i adwokata. Powinien był zadzwonić. Powiniennem był zadzwonić i dowiedzieć się, czy go dostał. Zamknął tę myśl przykrywką, zamknął i przycisnął dokładnie, ponieważ mimo że była ulotna i ledwie mignęła przez ułamek sekundy, zajeżdżało od niej strachem. Nie chciał być wystraszony i opuszczony w miejscu, gdzie siedział. Chciał, żeby mu było ciepło na słońcu, i chciał czekać i rozmyślać, a w końcu strzelić. Pojechać do domu z pieniędzmi i trofeum, małą pamiątką z polowania, o którym mógłby opowiadać. Niczego więcej.

W każdym razie pieniądze są już prawie moje, pomyślał. Rickard może skombinować dla pozostałych. Tak, na tyle mnie przecież oszukał. Z pewnością wiedział, co robi, kiedy zgodził się na to, by przy podziale siostry wzięły spadek, a mnie spląciły tą mizerną resztką, którą mogły dać. Jasne, że wiedział, iż to się rozwinie. Teraz będziemy kwita.

Te słowa obracały się w jego mózgu. Teraz będziemy kwita. Miał świadomość, że to jest zaklęcie, prawie modlitwa. Być kwita. Jechać do domu. Odejść od tego lasu i tych mężczyzn, którzy wzięli go na polowanie pod przymusem. Przez chwilę myślał, czy by nie wstać i nie wracać do chaty. Równie dobrze mógłby zażądać pieniędzy i od razu jechać do domu. A nie

siedzieć tu prawie zamknięty w kotlinie, gdzie przygrzewa słońce, a wszystko dokoła szare, zielone i brązowe od przymrozku, porusza się i wygląda jak układanki.

O wpół do dziesiątej usłyszał strzał. Zabrzmiało tak, jak gdyby dochodził od strony Georga Marda, i to go ożywiło. W każdym razie jest w lesie łos. Strzał będący sygnałem nastąpił kilka sekund później, a po minucie jeszcze jeden. Nie pamiętał dokładnie, jak Erik mówił. Może to łoszak został ustrzelony i strzał oznaczał, że nie wolno im więcej strzelać. Wszystko jedno. Jeśli coś zobaczy, strzeli.

Po strzale Mans zszedł do stanowiska Georga samym brzegiem Tranangen i zobaczył, że jest puste. Rozejrzał się i zawołał półgłosem. Odpowiedź Georga dobiegła z trochę większej odległości w głębi lasu. Mans ściał więc łakę na ukos i po chwili znalazł zarówno jego, jak i Pellego za kilkoma młodymi świerkami. Mdły zapach posoki unosił się w powietrzu, a Georg wycierał do czysta nóż w sierść łoszaka. Mans wziął na smycz Śpiewkę, która, zdawało się, straciła zainteresowanie położonym zwierzęciem i żywo rwała znów do przodu.

- Były tam tropy czworga zwierząt - powiedział Mans. - Aż dziwne, że skoncentrowała się na tym małym.

- Miała pecha - podsumował Georg.

Zrobił pętlę na końcu rzemienia i założył ją na przednie racice i tylne badyle. Gdy naciągnął rzemień, głowa zwierzęcia poleciała w tył, a położone na grzbiecie, zacharczało.

- Spuść ją - odezwał się Pelle. - Ona wie, gdzie są inne.

Mans odpiął Śpiewkę, która pognęła, nie wydawszy głosu, i wkrótce zniknęła. Po kilku minutach ukazał się Erik Emilson, a niedługo potem ze swej strony nadszedł Anders Flod.

- Chyba niewiele z tego wyjdzie, jeśli będziemy opuszczać stanowiska - odezwał się Erik.

- Sam to zrobiłeś.

- Dobrze, żeście przyszli - powiedział Georg, siedząc okrakiem na ubitym łosiu, żeby zacząć patroszenie. - Musi my przecież pogadać o pieniądzach, kiedy Bodina nie ma.

- Trzeba tu trochę wyrąbać, żebyśmy mogli dojechać ko-  
niem i platformą - powiedział Erik.

Wyjął z plecaka siekierę i ruszył między krzaki, zwrócony  
do nich plecami.

- Ty mógłbyś pomóc, Anders. Musimy dojść do zimowej  
drogi, w przeciwnym razie nigdy go nie wydostaniemy.

- Słyszałeś, co Georg powiedział?

- Tak, słyszałem.

Mans pomagał Georgowi przy patroszeniu i od czasu do  
czasu spoglądał na Erika, który z siekierą w ręce poszukiwał  
najrówniejszej drogi. Pracował niespecjalnie cicho. Krzaki  
leciały na ziemię w miarę następujących po sobie szybkich  
machnięć ostrzem, a gałązki rozpryskiwały się dokoła niego.

- Teraz tośmy wpadli porządnie - odezwał się Georg  
do Mansa. - On jest zbyt uparty, jak kozioł, żeby nabrać  
rozsądku.

- Mówił coś?

- Tylko, że nie jest Bodinowi nic winien.

- Cicho - odezwał się Pelle. - Słyszeliście?

Zaczęli nad słuchiwać i usłyszeli, że Śpiewka złapała wiatr,  
jasne, ochryple ujadanie, które po chwili ucichło. Gdy  
nadbiegło znów, dochodziło bardziej od strony zachodniej.  
Brzmiało, jak gdyby była bliska wystawienia, i Mans, który  
znał ją dobrze, poznał po głosie, że dorwała coś, co było dla niej  
zbyt chyzonogie i drażniące.

- Leć do Śpiewki - zaproponował Georg. - Nic nie wyjdzie  
z tego polowania, jeśli będziemy się tak zachowywać.

Mans już miał ruszyć w drogę, gdy wynurzył się Rickard.  
Wyglądało, jakby szedł z góry od strony chaty Tranang, i wy-  
dawało się, że szukając ich, zatoczył niepotrzebnie duży łuk.

- Tam w górze są ludzie - powiedział zziąjany.

- Ludzie?

- Tak, wołają. Słyszałem też samochód. Dlatego poszedłem  
do chaty.



Erik zbliżył się do nich i stał, waząc w ręce siekiere.

- Co za ludzie?

- Jednego z nich jakbym poznawał. Myślę, że mnie widzieli.

Oni chyba idą tutaj.

- Zglupiałeś? Nie zatrzymałeś się, żeby zapytać, co oni tu robią? Mają się trzymać z daleka, kiedy polujemy.

- Myślę, że to policja - powiedział Rickard i przełknął ślinę. W zgniecionej paczce w kieszeni na piersi wymacał papierosa, wyjął go i zapalił.

- Policja?

- Tak mi się zdaje. Jednego z nich chyba znam. Nie mam pojęcia, czego oni chcą. Pomyślałem, że powiem wam o tym...

- Zachowujesz się jak uprzykrzona baba - powiedział Georg. - Pewnie widzieli też, jak biegleś!

Rickard usiadł obok łosia, podczas gdy pozostali podeszli za kępę świerków i spoglądali przez Tranangen ku chacie. Po chwili dało się słyszeć dochodzące stamtąd całkiem wyraźne wołanie. Kiedy nikt nie odpowiedział, na dłuższą chwilę zapanaowała cisza, ale nagle ich oczom ukazał się mężczyzna w szarym garniturze, podszedł do przodu i patrzył przez łąkę, która leżała między nimi. Machał do nich ręką i zawołał coś do tyłu. Powoli i niechętnie Georg uniósł rękę i pomachał w odpowiedzi. Stali w milczeniu i patrzyli, jak trochę dalej ukazał się drugi mężczyzna i zaczął podchodzić za tym pierwszym. Szli powoli i niezgrabnie, to wpadając w dziury, to wchodząc na kępy traw, rozrzuconych w podmokłej ziemi.

Gdy doszli do miejsca patroszenia, ich półbuty były całkowicie przemoczone, a spodnie kleiły się do nóg.

- Wcale niełatwo dostać się do was - odezwał się starszy i wesoło pokazał swoje przemoczone buty.

- I raczej niewskazane - powiedział Georg. - Tu się odbywa polowanie na łosie. Może być ryzykowne takie wchodzenie w las.

- Problem w tym, że mamy dość pilną sprawę - powiedział ten wysoki, który przyszedł jako drugi. - Jesteśmy z policji kryminalnej.

Obeszli wkoło, witając się z każdym po kolei, jak gdyby w swych na wskroś mokrych ubraniach akurat przybyli na proszone przyjęcie w niedostępnym lesie.

- Lundahl - przedstawiał się wysoki, podając rękę. - Leśniczy i ja spotkaliśmy się już wcześniej.

- I mamy tu Pera-Erika Marda. Dzień dobry ponownie - powiedział Jonsson.

Pelle rzucił bojaźliwe spojrzenie na swego ojca i przyjął wyciągniętą rękę ze spuszczoną głową.

- O co chodzi? - spytał Erik ostro.

- O wypadek na Kroktorpsvagen - odparł Jonsson. Przez chwilę stali, przezuwając w myśli usłyszane słowa.

- Na Kroktorpsvagen? - odezwał się w końcu Georg z ociąganiem. - Nic o tym nie wiemy...

Ale Lundahl przerwał mu szybko.

- Nie, to się nazywało na drodze przy stacji. Chodzi w każdym razie o tę kobietę, która pracowała w domu starców, Svee Hellberg. Posunęliśmy się tak daleko, że wiemy, skąd ona została przeniesiona na rozstaje przy Nipparbol. Istnieje wiele śladów, między innymi odłamki szkła po świetle odbłaskowym przy rowerze w jednym miejscu na Kroktorpsvagen.

- Ach, więc to tak - odezwał się Georg i podążył wzrokiem za Jonssonem, który wydawał się zainteresowany łosiem. Chodził w kółko i przypatrywał mu się ze wszystkich stron.

Lundahl, który nie obdarzył ubitego zwierzęcia nawet jednym spojrzeniem, ciągnął:

- Torebkę, której brakowało, znaleźliśmy przecież w auto busie, jak wiecie.

Zrobiło się cicho, póki Rickard trochę piskliwym głosem nie zapewnił:

- Nic o tym nie wiemy!

- Nie wiedzą panowie?

Lundahl popatrzył na Pellego, a za jego przykładem wszyscy podążyli wzrokiem w tym samym kierunku i wpili go w twarz chłopaka.

- Nie mówiłem o tym - odezwał się Pelle i jego twarz stała się purpurowa. - Uważałem, że to nie takie ważne, żeby...

- O co chodzi?

Georg postąpił krok ku Pellemu, ale Pelle nie odpowiedział. Zamiast niego na temat torebki swym suchym beznamiętnym głosem zaczął mówić Lundahl.

- Musiała zostawić ją w autobusie - powiedział Georg.

Lundahl nie potrzebował wielu zdań, by ich przekonać, że to niemożliwe. To wyjaśnił im Per-Erik Mard, kiedy byli w Stora Nybygget poprzedniego dnia.

- Wczoraj? Byliście tam wczoraj?

Georg wpatrywał się w Pellego, który usunął się na bok i usiadł na kamieniu. Robił wrażenie bezgranicznie przygnębionego i Georg uznał, iż nie ma najmniejszego sensu go dręczyć.

- Więc słuchamy - powiedział tylko.

- Jest tylko jedna rzecz, którą chcielibyśmy wyjaśnić - odezwał się Jonnson. Nagle znalazł się tuż obok, odszedłszy od łosia, którym cały czas był tak zainteresowany. - Chodzi o to, czy Per-Erik MSrd wyjeżdżał autobusem po wpół do jedenastej w piątek wieczór.

- Nie wyjeżdżał - powiedział Georg. - Przypuszczam, że pewnie już powiedział.

Rzucił mu spojrzenie, jak gdyby wcale nie był taki pewien, co Pelle mógł powiedzieć, ale chłopak niemo kiwnął głową.

- Oczywiście - odezwał się Lundahl - mówił o tym. Powiedział, że wszyscy panowie możecie to potwierdzić, wy, coście tam byli.

- No więc - powiedział Georg. - W takim razie wiecie, jak się sprawa przedstawia.

Stał pewnie na rozstawionych nogach z nożem myśliwskim w jednej ręce i patrzył w górę w twarz wysokiego Lundahla.

- Ale byliśmy i szukaliśmy panów dziś rano - odezwał się Lundahl - i rozmawialiśmy z panną Erixen, która okazała się być pana gospodynią.

- Zgadza się.  
- Ona słyszała wszystkich panów wracających autobusem tuż przed dwunastą.

- Co ona chce przez to powiedzieć? - zapytał gwałtownie Rickard. - Przecież jej nie było. To szaleństwo twierdzić coś takiego, kiedy samemu się nie było obecny.

- Ona była gdzieś, co nosi nazwę Mała Betel, jeśli zostałem dobrze poinformowany - odpowiedział Lundahl. - Wróciła do domu w pół do dwunastej. Wtedy żadnego z panów nie było. Tuż przed dwunastą usłyszała, że przyjechał autobus i całe towarzystwo weszło do domu.

Georg wpatrywał się w Lundahla swym błękitnym jak lód spojrzeniem i widać było, że myśli obracają się ciężko w jego głowie. Jonsson, który ciągle chodził dookoła ich grupki, nagle zatrzymał się.

- To pan? - spytał.

Gustaf Akerman stał z tyłu ze strzelbą na ramieniu. Trudno było powiedzieć, jak długo tam stał z głową wysuniętą do przodu, przygryzając koniuszek wąsa.

- Musiał pan szybko iść, żeby tu zdążyć.

Jonsson wyraźnie wpadł we wściekłość, kiedy Gustaf nie odpowiedział, bo odwrócił się do Georga i wyrzucił z siebie gwałtownie:

- Byliśmy w miejscu, które według mapy nosi nazwę Gókkallan, i spotkaliśmy tego mężczyznę. Ale nie wiedział, ani gdzie jest chata Tranang, ani gdzie możecie się znajdować.

- O co chodzi, MSns? - spytał Gustaf, nie zwracając uwagi na Jonssona.

Mans nie mógł wydobyć głosu. Dzieliło ich pięć, sześć metrów, ale wyczuwał niepokój Gustafa niemal fizycznie, jak gdyby całym ciałem.

- Ale sam odnalazł to miejsce - powiedział Jonsson. - Wyraźnie nie było to takie trudne.

- M&nsen...

Jonsson gwałtownie odwrócił się do MSnsa.

- Czy on też był? Był także w autobusie? Młns pokręcił przecząco głową.

- Milcz, MSns - rozkazał Erik pospiesznie.

Jonsson otworzył usta, by coś powiedzieć, ale w tym samym momencie z daleka dobiegł ich odgłos strzału. -Jest was więcej?

- Jeszcze jeden - powiedział Georg powoli.

- Ale tylko w sześciu byliście w autobusie? Bodina nie było z panami?

- Nie wiem, o co panu chodzi - odparł Georg. - Cholera, nie mogę się rozeznąć w pańskiej gadaninie.

- Rozejrzeliśmy się trochę - powiedział Jonsson. - Byliśmy także dziś rano w Rasby i dowiedzieliśmy się, że brat panien Bodin przyjechał tym samym pociągiem, co ta pani Hellberg, w piątek wieczorem. Jechaliście pewnie Kroktorps-vagen, żeby go zabrać ze stacji, jak rozumiem. Słyszałem, że obiecali panowie go zabrać. No i stało się.

- Co takiego?

- Wypadek.

- O czym pan mówi? - spytał Georg, wysuwając głowę do przodu.

- Ze wypadek zdarzył się na Kroktorpsvagen. Autobus wjeżdżał w zakręt i doszło do kolizji. A potem przenieśliście ją i odjechali.

Georg odwrócił się do pozostałych, ale żaden z nich się nie odezwał. Georg wyglądał na zdezorientowanego, jak gdyby nie wiedział, jak się do tego ustosunkować.

- To są niemałe oskarżenia, z którymi przyszliście - odezwał się. - Jest nas tu sześciu mężczyzn, którzy mogą zaręczyć, że autobus stał na miejscu. Co się przyśniło Valborg, tego nie wiem. Będę musiał z nią pomówić.

- Nie tylko chodzi o jej zeznanie - powiedział Jonsson. -Zbyt wiele przemawia przeciwko wam. Chcemy porozmawiać z Klasem Bodinem. On może przecież potwierdzić, czyście panowie wyjechali po niego na stację, czy nie.

Mans stał, czekając na jakiś sygnał ze strony Bodina. Po tamtym jednym głuchym strzale, nie doszedł już stamtąd żaden dźwięk. Nagle jednak usłyszał, że Śpiewka zaczęła szczekać.

- Na torebce są także odciski palców Pera-Erika - odezwał się Lundahl. - To zostało sprawdzone.

- Dotykałem torebki!

Pelle zerwał się ze swego kamienia i niemal naparł na obu policjantów.

- To było wczoraj - powiedział. - Dotykałem torebki wczoraj, kiedyście mi ją pokazywali! To dlatego!

- Wczoraj, tak - powiedział spokojnie Jonsson. - Wiemy o tym. Potrzebowaliśmy troszkę pomocy. Musieliśmy zidentyfikować te odciski, które mieliśmy na torebce od początku. Było ich wiele, kobiety i tego kierowcy, który ją znalazł. No i były pańskie.

- Oszukaliście mnie - powiedział Pelle i wyglądał, jak gdyby dostał od nich w twarz. - Namówiliście mnie, bym wziął torebkę.

Śpiewka nadal szczekała ochryple i jednostajnie w odległości jakiegoś kilometra. Mans zgadywał, że to dochodzi gdzieś od strony Bodina. Był ciekaw, czy Bodin spuścił, czy próbował łośia, którego Śpiewka wystawiła, podejść na krótki strzał. Jej szczekanie rozlegało się echem cały czas na granicy jego świadomości. Słuchanie Pellego, Marda i policjantów było przygnębiające. Pellemu twarz zmartwiła ze strachu.

- A zatem tak czy inaczej musiał pan mieć tę torebkę w rękach - powiedział Jonsson. - Równie dobrze możemy się do wiedzieć, jak do tego doszło.

- Chcemy też rozmawiać z Bodinem.

Lundahl rozejrzał się dookoła.

- Możecie go panowie zawołać?

- On jest na stanowisku - odpowiedział Georg. - Właśnie dopiero co strzelił.

- Najlepiej będzie, jak zawołacie go tutaj.

Erik Emilsson wziął swoją strzelbę, odszedł parę metrów i strzelił dwukrotnie, szybko raz za razem. Gdy strzelał, patrzył na Pellego.

- I on na to przyjdzie? - spytał Jonsson. - Lepiej chodźmy po niego.

- Ja mogę pójść - powiedział Mans. - Muszę i tak odwołać Śpiewkę. Wygląda na to, że polowanie zakończone.

- Idziemy wszyscy - powiedział Jonsson.

Niechętnie ruszyli w milczeniu za MSnsem i dwoma policjantami w miastowych ubraniach. Tylko Pelle pozostał przy ubitym łoszaku i nagle zawołał za nimi:

- To nie ja prowadziłem!

Jonsson odwrócił się.

- Co on mówi?

- On mówi, że to nie on prowadził autobus, kiedy to się zdarzyło - odparł Mans. - Mimo torebki i tego wszystkiego, to nie był on. To byłem ja. - Nie na policjantów patrzył teraz, tylko na Gustafa. Ujrzał sekundę wcześniej, nim nadszedł ból, ślad popłochu w jego oczach. Sprawiał mu ból. Ale może to, co powiedział, nie było dla Gustafa niczym nowym.

- Najlepiej będzie, jeśli się dowiemy, jak do tego doszło.

- Dowiecie się. Tylko muszę wziąć psa i poszukać Bodina.

Prowadził ich przez las zygzakami do miejsca, gdzie Śpiewka szczekała ochryple, głucho i silnie, aż echo niesło ten dźwięk w górę skalnego zbocza. Bezwiednie lawirował pod wiatr i trzymał sztucer gotów do strzału. Zgodnie z przyzwyczajeniem szedł cicho i ostrożnie, ale za nim trzeszczały kroki pozostałych maszerujących gęsiego. Pelle dobiegł do nich.

MSns nie odczuwał niczego poza dziwną ulgą. Było mu także trochę wstyd za wykrety Pellego i za nieustępliwość Georga. Georg był jak wierny pies, który się nie poddaje. Z pewnością będzie nadal jeszcze długo zaprzeczał, mimo torebki, zeznań świadków i przyznania się Mansa do winy.

Próbował prowadzić tak, aby obaj policjanci mogli przejść suchą stopą, nieco powyżej trzęsawiska, wzdłuż ciągnącej się ku górze długiej odnogi Flymyran. Podchodzili niezbyt ostrożnie. Gałęzie trzaskały, a między kępami traw rozlegał się odgłos ciężkich kroków. Młodszy zaklął czasem, gdy zapadł się za głęboko. Reszta szła za nimi i słyszeli Rickarda mówiącego coś zapalczywie do Georga, choć nie rozróżniali słów. Mimo głosów i kroków szczekanie tam w górze nie ustawało. Znajdowali się teraz tak blisko, że MSns, gdyby był sam i wszystko byłoby tak, jak powinno, zaczęłyby się skradać i podczołgiwać. To szczekanie peszyło go. Wydawało się, że dobiega z miejsca bardzo blisko stanowiska Bodina, skąd dopiero co oddał strzał. Dlaczego znów nie strzela? Dlaczego łoś stoi w miejscu i pozwala Śpiewce hałasować przed sobą, chociaż Bodin spudłował i się ujawnił?

- Zaczekajcie - szepnął do Lundahla, który szedł tuż za nim.

- Ona wystawiła łośia tam w kotlinie. Chciałbym się podkraść.

- Nie mamy teraz czasu na polowanie - odparował Lundahl.

Miał oczywiście rację i Mans sam uznał za dziwne, że mógł poczuć to dobrze znane, a mimo to zawsze równie elektryzujące podniecenie, kiedy słyszał Śpiewkę. Niewiele jednak mogli poradzić na to, iż wiódł ich szerokim łukiem pod wiatr, tak że minęli kotlinkę i podeszli pod górę. Dał im znak, żeby stanęli.

Dzwon śmierci niósł się lasem. Jego dźwięk uporczywie i niezmordowanie odbijał się echem jak ciężkie uderzenia od skalnej ściany.

- Gdzie on jest?

- Musiała go wystawić tuż ponad tą sosną w kształcie liry, którą pan widzi tam niżej. Tą, co połyskuje bielą. Głos dochodzi z dołu, z tamtych krzaków jałowca. Tam go ma.

- Pytam o Bodina - powiedział zirytowany Lundahl.

- Gdzie jest Bodin?



- Powinien siedzieć tam na stanowisku. Musiał chyba odejść. Obaj policjanci minęli go i zaczęli schodzić w dół do kotlinki przed skalną górą.

- Czekajcie! - zawołał Mans i pobiegł za nimi. - Nie możecie przecież biegać po lini strzału, jeśli on tam jest. Czekajcie!

Śpiewka musiała usłyszeć jego głos. Dzwon śmierci niespodziewanie umilkł.

- Bodin! - zawołał Mans. - Jesteś tam?

Dookoła panowała cisza. Reszta stała trochę wyżej w zbitej gromadce. Wszyscy wpatrywali się w krzaki jałowca. Policjanci wycofali się ku niemu i wyglądali na wystraszonych. Czekali w każdej chwili na nowy strzał z którejś kępy świerków. Nagle z zarośli wypadła kompletnie wykończona Śpiewka i rzuciła się Mansowi do stóp. Skomlała i wiła się, potem znów odbiegła, zanim zdołał wziąć ją na smycz.

- Co się dzieje z tym psem? - spytał Jonsson. - Dlaczego tak się zachowuje?

- Nie wiem - odpowiedział Mans. - Nigdy tak nie robi. Nigdy dobrowolnie nie zostawi łosia.

Teraz znów zaczęła szczekać. Jej głos uderzał w zbocze góry. Dzwon śmierci brzmiał bardziej przeraźliwie i był w nim strach od momentu, gdy złapała kontakt z Mansem. Przestał przejmować się tym, by zachować ostrożność, strzelił dwa razy w powietrze i zawołał Bodina. Gdy nikt nie odpowiedział, zbiegł w dół na drugą stronę kotlinki do krzaków jałowca. Lundahl następował mu na pięty.

Kiedy dobiegli, Śpiewka z ochrypłym skomleniem znów przypadła do Mansa. Odsunął ją i podszedł jeszcze bliżej. Bodin leżał na ziemi, odrzucony do tyłu przez eksplozję strzelby. Twarz i ręce były rozerwane w strzępy, nie do rozpoznania. Mans zrobił kilka chwiejnych kroków w tył i potknął się o Lundahla.

- Co jest?

- Niech pan sam spojrzy.

Pozostali zbiegli w dół ku zaroślom jałowca. Mans skulił się i zakrył twarz rękami. Dygotał. Słyszał odgłos kroków pozostałych na mokrej ziemi i głos Lundałila, który krzyczał:  
- Doszło do wypadku! Doszło do ciężkiego wypadku!

# 13

**Czwartek, 17 października**

**Piątek, 18 października**

Powoli wyszli z zarośli, gdzie krzaki jałowca stały wokół ciała najeżone i wyprostowane jak żołnierze.

- Nie możemy nic położyć, żeby go zakryć? - poprosił Pelle.

- Nie trzeba tam patrzeć - powiedział Jonsson szorstko.

Sam miał twarz pobladłą i zmęczoną.

- Zresztą niech pan idzie pokazać Lundahlowi drogę powrotną do samochodu.

Pelle z wdzięcznością szedł pierwszy, gdy Lundahl ruszył w drogę, by wezwać posiłki z miasta, nosze do przeniesienia ciała do drogi i samochód, który by tam dojechał.

- Pozostali mogą zostać.

Siadł na kamieniu i wytarł twarz chustką do nosa, która lśniła schludną bielą, obcą ich oczom.

- Wyjaśnijmy najpierw to. Do tamtego wypadku autobusuwego wrócimy później. Nieszczęsny człowiek. Nieczęsto zdarzają się takie wypadki.

Miał na myśli Bodina. Sprawiał wrażenie bardzo poruszonego tym, co zobaczył. Nagle spojrzał w górę i widać było, że myśl, która przyszła mu do głowy, była równie niespodziewana, jak słowa, które padły z jego ust:

- Czy on wiedział o tej sprawie z autobusem?

Georg odpowiedział pospiesznie, zbyt pospiesznie, zdaniem Mansa.

- Nie, nie wiedział. Oczywiście, wiedział, że mieliśmy wyjechać po niego, ale w ogóle nie pojechaliśmy na stację. Tyle wiedział.

Erik wpadł mu w słowo. Z zapałem zaczął rekonstruować Jonssonowi wypadek najdokładniej, jak to możliwe.

- Siedział na tym stanowisku od wpół do dziewiątej. Sami słyszeliście strzał. Rozległ się, jak już tu byliście. Musiała być jakaś wada w strzelbie. Przecież wybuchła mu w rękach, kiedy strzelił.

Mans od chwili, gdy ujrzał Bodina martwego i prawie nie do rozpoznania, czuł się jak ogłuszony. Próbował uspokoić Śpiewkę odchodzącą niemal od zmysłów ze strachu po strzale, który skończył się w niepojęty dla niej sposób. Nie zastanawiał się, jak do tego doszło, ciągle jeszcze nie, póki nie usłyszał wyjaśnień Erika. Ale nie rozumiał, dlaczego Jonsson siedzi taki zmęczony i spokojny, wysłuchując, jak jeden po drugim wykładają mu swoje teorie na temat tego, co się mogło stać ze strzelbą. On musi sobie uświadamiać, że to morderstwo, pomyślał Mans. Przecież sam zapytał, czy Bodin wiedział o tym wypadku autobusu. Miał więc motyw jasny jak słońce, widoczny równie wyraźnie jak brunantne plamy zwarzonej mrozem trawy, na której leżało ciało Bodina.

Mans nie spuszczał z oka Erika i jak tylko nadarzyła się sposobność, odciągnął go na bok. Oczekiwanie na ludzi, po których poszedł Lundahl, przedłużało się, więc porozsiadali się w ciszy pod krzakami jałowca obok swych plecaków i broni. Erik wyglądał na zirytowanego, ale poszedł z nim kawałek wyżej aż do podnóża góry, kiedy Mans schwycił go za ramię. To nie był właściwy czas ani miejsce na to, by wyjaśniać, dlaczego sądził to, co sądził.

- Coś ty robił wczoraj po południu? - zapytał prosto z mostu.  
- Kiedy pojechaliśmy do banku w mieście. Byłeś jedyny, który tu pozostał.

Musiał zrozumieć, co Mans podejrzewa, ale choć to dziwne, tylko go to ubawiło.

- Nic ci do tego - odpowiedział. - Byłem całe popołudnie w domu i może o tym zaświadczyć Inga-Stina zarówno przed tobą, jak i przed policją. Wysadził się sam tym dubeltowym sztuczerem.

- Bardzo pasuje - powiedział Mans. - Tylko słuchaj no, ja w to nie wierzę.

- Nie sądzę, żeby tak bardzo pasowało. Wpadliśmy i tak.

- Jeśli majstrowałeś przy jego sztucerze i coś włożyłeś...

- Myślisz, że jestem tak głupi, żeby pójść i włożyć ładunek wybuchowy w sztucer?

- Jesteś jedynym, który mógł to zrobić - powtarzał Mans z uporem. - Wczoraj, kiedy my byliśmy w mieście.

- Byłem po południu w domu. Nie wychodziłem w ogóle na dwór.

Wyglądało, że nie traktuje jego słów poważnie.

- To był wypadek. Nie rozumiesz tego? Żaden z nas nie był przecież w pobliżu.

- Policja się tym nie zadowoli.

- Będą musieli.

Odwrócił się i odszedł. Mans miał wrażenie, że Jonsson ich obserwuje. Przypuszczalnie snuły mu się po głowie jakieś podejrzenia, ale nic nie powiedział. Siedział tylko niedaleko ciała Bodina i jego broni, która eksplodowała, pilnując, żeby nikt niczego nie ruszył, zanim wszystko nie zostanie zbadane. Że znał całą prawdę o ich postępkach w piątkowy wieczór z tą nieszczęsną kobietą, wydawało się Mansowi w tej sytuacji błahostką. Najpierw zachowali się karygodnie, a potem kombinowali i próbowali uniknąć odpowiedzialności, ale nic z tego nie wyszło. Wszystko to było jednak mało ważne w porównaniu z tym, co się zdarzyło teraz. Teraz miało tu miejsce morderstwo. Był przekonany o tym, że to morderstwo i że nie wywiną się z tego. Jeden z nich wiedział, jak do niego doszło. Jeden z nich zadziałał na własną rękę, sądząc, że robi im przysługę.

Tymczasem pociągnie ich w przepaść. Mans był do tego stopnia pewien, że tak się to skończy, iż czuł mdłości i nie mógł usiedzieć na miejscu. Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Wyobraził sobie, jak Pelle i Lundahl brną przez las, przecinają Tranangen, potem kierują się w stronę chaty. Idą skrótem do drogi i podchodzą do samochodu. Próbował obliczyć, ile czasu może im zająć dotarcie tu z powrotem z ludźmi, po których dzwonili do miasta, ale ten czas minął parokrotnie, zanim dały się słyszeć ich kroki i głosy, i zrozumiał, że wyliczał zbyt skąpo.

Byli to trzech policjanci w mundurach, którzy przyjechali z noszami oraz torbami pełnymi różnego sprzętu. Lundahl dostał parę gumiaków i teraz było mu lżej chodzić. Pelle nadal pełnił rolę przewodnika. Twarz miał bladą i nieustannie coś mówił.

Mans odszedł na bok i usiadł odwrócony tyłem, podczas gdy tamci zajmowali się ciałem Bodina. Porozumiewali się głośno i zwyczajnie, nie okazując specjalnego poruszenia. Ale oni zostali na to przygotowani, pomyślał MSns. Nie wpadli na niego niespodziewanie, tak jak my. Wydawali się pracować efektywnie i zrozumiał, że najbardziej są zainteresowani strzelbą. Pozbierali ją i wiedział, że będą badać wszystkie części, jedną po drugiej, aby znaleźć przyczynę eksplozji. Nie ma szansy, by się z tego wywinąć. Cokolwiek tamten włożył do sztucera, znajdą to, pomyślał. Jeśli nawet rozleciało się na tysiąc odłamków. Ogarnęła go ślepa nienawiść do tego, kto przygotował to obrzydliwe i niesmaczne morderstwo, którego nie można nie wykryć. To musiał być Erik. Kłamał, że był cały czas w domu.

Gdy opuszczali kotlinkę, dwaj policjanci nieśli przykryte nosze. Erik Emilsson szedł pierwszy, by wskazywać najrowniejszą i najłatwiejszą do pokonania drogę. Za nim w długim milczącym szeregu szli pozostali. Szli wolno i kilka razy trzeba było zmieniać policjantów. Mans trzymał się z dala od noszy i pomagania przy nich.

Gdy doszli do drogi, pozwolono im wrócić do domów. Zdziwiło to Mansa, który wyobrażał sobie, że odkrycie prawdy i zatrzymanie ich będzie sprawą szybką i tragiczną. Po bliższym zastanowieniu się, zaczął rozumować jaśniej. Wziął rower i ruszył zaraz za samochodami policyjnymi, nic nie mówiąc pozostałym. Chciał być pierwszy przy leśniczówce.

Kiedy znalazł się na miejscu, nowa pomoc Erika właśnie wieszła pranie, przede wszystkim poprosił ją o możliwość skorzystania z telefonu.

- Coś się stało? Wygląda pan na strasznie zgnębionego.

Nie odpowiedział, tylko wszedł do środka i zadzwonił do Ewy.

- Bądź tak dobra i zaczekaj na mnie - powiedział. - Za chwilę wracam. Chcę ci coś powiedzieć. Tylko nie wychodź.

- O co chodzi?

- Będę za chwilę. Tylko nie wychodź z domu.

Nikt nie może mówić z Ewą, zanim on zdąży wrócić do domu. Ale najpierw musiał sprawdzić Erika.

Inga-Stina stała skonsternowana, trzymając na brzuchu torebkę klamer do przypinania bielizny. Była czarnowłosą, kędzierzawą, sporej postury pięknoscią, która dbała o gospodarstwo domowe Erika od ponad dwóch miesięcy.

- Tędy przejechały dwa policyjne samochody - odezwała się.

- Nie było chyba jakiegoś wypadku?

- Owszem, był. Klasowi Bodinowi wybuchła strzelba.

- Jezus! Maria! Nie żyje?

- Tak. Ale ja chcę o coś zapytać. I spieszę się.

- Co takiego?

- Co Emilsson robił wczoraj po południu?

To pytanie gwałtownie przestawiło jej myśli na inny tor.

- A co to ma wspólnego z wypadkiem?

- Nie mówię teraz o wypadku. On się zdarzył przed chwilą.

Pytam, co Emilsson robił wczoraj?

- Był w domu.

Próbowała wywnioskować coś z jego pośpiechu i powagi, ale jej się nie udawało.

- Cały czas?
- Wrócił z polowania z naganką - powiedziała. - Około wpół do pierwszej.
- To wiem. Mniej więcej o wpół do pierwszej rozstaliśmy się z nim. A potem?
- Potem był w domu. Zresztą, proszę go samego zapytać. Nie sądzę, żeby mu się podobało, że ja...
- Gwiżdżę na to - skwitował Mans. - Teraz ja pytam.
- Był w domu i prawie cały czas przeleżał na sofie. Miał zresztą podły nastrój.
- Zaczęła znów wieszać prześcieradła i wyglądała na wściekłą. Prawdopodobnie pomyślała o wypowiedzeniu.
- Możesz przysiąc, że to prawda?
- Jasne. Mogę przysiąc, że leżał na sofie w swoim pokoju i ciaskał się, jak tylko człowiek próbował o coś spytać albo poprosić, żeby w czymś pomógł. Potem wyruszył w drogę do chaty Tranang, kiedy zobaczył samochody panów przejeżdżające obok. Wtedy zaczął się spieszyć i natychmiast zażądał torby z jedzeniem, choć przedtem ani pisnął o tym. Ale tak jest stale.
- O której to było?
- O wpół do szóstej.
- Zgadza się - powiedział Mans. - Myśmy byli na górze w chacie przed nim.
- Z czym się zgadza, jeśli wolno spytać?
- To już pozostaw mnie - powiedział i wskoczył na siodło roweru.
- Zamierzam powiedzieć Emilssonowi, że pan tu był i wypytawał o niego! - zawołała za nim.
- Zrób to!

Stała zbita z tropu i zła z mokrym prześcieradłem w rękach, patrząc, jak Mans znika na zakręcie drogi. Upewnił się, ale wcale go to nie uspokoiło. To nie było tak oczywiste, jak sądził. Ale wypadek - w to nie wierzył. Nie istnieją wypadki, które zdarzałyby się w tak odpowiedniej chwili, pomyślał. Lub w tak nieodpowiedniej.



Najpierw zamierzał wszystko opowiedzieć Evie tak, żeby zdążyć przed przyjazdem policji. Ale teraz ogarnęła go niepewność i postanowił przemilczeć wszystko, co dotyczyło Bodina i jego roli w całej historii. Wystarczyło już tamto.

Czekała na niego w kuchni, siedziała z rękami beczynnie leżącymi na stole i obcymi, pełnymi oczekiwania oczami.

- Przejechały dwa policyjne samochody - powiedziała.
- Zdarzył się wypadek.

Opowiadał, że Klas Bodin był na stanowisku u podnóża góry i strzelił do łosia, którego wystawiła mu Śpiewka.

- Sztucer mu wybuchł. Zginął na miejscu.
- Co mogło być przyczyną wybuchu?
- Tego nie wiemy. Muszą oczywiście przeprowadzić dochodzenie policyjne.
- Policyjne?

Wydawało się, jak gdyby chciała obejść to słowo dookoła i znaleźć coś za nim. Nagle zrozumiał, że miała więcej podejrzeń na temat tego, co się wokół niej działo już wcześniej, nim zdążył to sobie uświadomić.

- Policja przecież zawsze musi zbadać przyczyny wypadku - odpowiedział bez przekonania, a ona kiwnęła głową z roztargnieniem. Ale pozostało mu najgorsze. Podczas gdy siedział, obracając w myśli słowa, by znaleźć odpowiednie na początek tego, co było najtrudniejsze do powiedzenia, w sieni pojawił się Albinsson w gumiakach. Eva rzuciła surowe spojrzenie na jego gumia-ki, więc zdjął je, po czym wszedł do kuchni. Jeśli przypadkiem Evy nie było w kuchni, gdy przychodził na obiad czy na kawę, laźł prosto wzdłuż szmacianego dywanika, pozostawiając czarne ślady. Jeśli zaś była na miejscu, jej spojrzenie kreśliło przy progu sieni magiczną linię, której gumia-ki nie przekraczały.

- Chyba czas na kawę - powiedział, kładąc kapelusz na ławie obok siebie.

- Albinsson, ty masz zegar w brzuchu - odpowiedziała Eva.
- Tak jest i on dobrze chodzi.

Nigdy jeszcze nie przeoczył pory posiłku o pół minuty.

Z nim pociągnie to wszystko, pomyślał Mlns. Albinsson będzie męską ręką w domu.

- Muszę z tobą porozmawiać. -

Tak?

- Możesz wziąć naszą kawę i przyjść do kancelarii? Niemile zaskoczony i zawiedziony Albinsson gapił się na nich z umoczonym w kawie kawałkiem ciasta w pół drogi do ust. „Gość i ryba po trzech dniach są nieświeże”, widniało ponad jego głową. Matka Mansa wyhaftowała to na lnianej makatce. Też miała swojego Albinssona.

- Pamiętaj, że Rickard zadzwonił w piątek wieczorem, właśnie kiedy miałem wyjść do Stora Nybygget - powiedział, za mknąwszy drzwi do kancelarii. - Mówił, że Klas Bodin się spóźnił i przyjedzie ostatnim pociągiem. Usiądź.

Usiadła niepewnie na krześle przed biurkiem, balansując na kolanach filiżanką z kawą. Opowiadał, co się stało w piątkowy wieczór tak dokładnie, jak potrafił. Zorientował się jednak, że zaczyna się spieszyć. To powinno trwać najkrócej, jak tylko można. Powinno się skończyć, by wreszcie ona mogła powiedzieć swoje.

Ale nic nie mówiła. Odstawiła filiżankę na biurko. Kawa zabełtała się i trochę chlapnęło na haftowaną krzyżkami serwetkę. Wydawało mu się, jakby zmaląła na krześle, gdy zakryła twarz rękami. Długo tak siedziała w milczeniu, a on nie widział jej twarzy. To było najtrudniejsze. Wiedział, że cokolwiek nastąpi potem, teraz jest właśnie to najtrudniejsze.

Albinsson udał, że puka do drzwi, i wsadził głowę.

- Motor mi stanął, więc nie mogę uruchomić piły - powiedział. - Problem w tym, czy poszedł jakiś bezpiecznik.

Mans zastanawiał się, jak długo dumał nad wymyśleniem tego eleganckiego pretekstu swego wtargnięcia.

- Pomyśl nad tym sam i zostaw nas chwilę w spokoju.

- Weź sobie jeszcze ciasta i dolej kawy - powiedziała Eva mechanicznie, gdy Albinsson zamykał drzwi. Wzrok miała nieruchomy i wydawała się nieobecna.

- Czy Bodin o tym wiedział?

Dziwne, że akurat o to spytała. Przez moment miał ochotę wyrzucić z siebie wszystko. Równie dobrze może się dowiedzieć, jak Bodin ich szantażował i jakie plany snuli powodowani strachem i nienawiścią. Ale zaniechał tego. To byłoby zbyt wiele. O rozgrzeszenie mógł prosić tylko etapami. Pokręcił przecząco głową.

- Ale policja o tym wie.

Wydawało się, że to jej nie obchodzi.

- Oni już tam byli, kiedy wydarzyło się nieszczęście z Bodinem. Przyszli, żeby przesłuchać nas w związku z wypadkiem autobusowym.

- No to chyba było dla ciebie jasne - powiedziała.

- Nie! Sądziłem, że się uda. Zgodziłem się na to wszystko tylko dlatego, że uważałem, iż to jedyny sposób, by tego wszystkiego uniknąć...

- Czego?

- Że zostaniesz sama. Jakiś czas.

- Jak długo?

- Nie wiem. To przecież ja prowadziłem! Dlatego tak bardzo się bałem tego wszystkiego, co może nastąpić. Że sobie tu nie poradzisz. To był pomysł Erika, żebyśmy ją zostawili przy drodze Nipparbol.

Teraz zauważył, że zaczął zwać winę na kogoś innego. Opo-  
wiedział przecież dokładnie, jak to było, a mimo to poznał po jej oczach, że jego słowa są tylko wymówką i próbą wykrętu.

- Byłoby lepiej, gdybyś od razu sam o wszystkim pomyślał -  
powiedziała.

Zaniemówił. Jej rozgniewana twarz zrobiła się kanciasta.

- Albo gdybyś zadzwonił na policję, kiedy to się stało, i był gotów za to odpowiedzieć. Albo także odpowiedzieć za to, w co się wplątałeś.

- Muszę za to odpowiedzieć - powiedział, czując, że jej wście-  
kłość mu się udzieliła. Chciał otrzymać przebaczenie, odczuwać skruchę, a nie być besztanym.

- Ja też.

Zaczęła płakać. Nie mógł nic na to poradzić. Płacz był samotną i wycieńczającą pracą, z którą musiała zmagać się sama, ale gdy skończyła, zrobiła się znów łagodna.

- Napytałeś nam biedy - powiedziała. - Ale ty jesteś jak dziecko.

Nie tego rodzaju przebaczenia chciał, ale musiał się nim zadowolić. Umocnił się tylko w swym postanowieniu, by nic nie wspominać o Bodinie i wszystkim tym straszliwym, co się z nim wiązało. Tu przebiegała granica, więcej jej łagodność nie mogłaby już znieść. Znow okazałaby twarde oblicze swej natury i wszystko, czegokolwiek by tknęła, rozleciałoby się w pył.

- W takim razie policja znów wkrótce tu będzie - powiedziała, wstając.

- To pewnie ja będę musiał pojechać na przesłuchanie.

- Kiedy?

Tego nie wiedział. Wzięła filiżanki z zimną kawą i po chwili usłyszał, jak zmywa naczynia. Goran i Hassę wrócili ze szkoły i wiadomość o wypadku w lesie musiała już tam dotrzeć, bo słyszał, jak Goran wygłasza tekst zawierający o wiele więcej wersji, niż on sam, obecny na miejscu wypadku, zdążył ogarnąć myślą. Siedział w kancelarii i nie mógł zabrać się do niczego. Dręczył go połowiczny strach. Uzyskał w połowie przebaczenie, a pół na pół był mordercą. Zgodnie i niezgodnie z jego pragnieniem Bodin zginął. Czy też był to czysty przypadek, który w typowy dla przypadków sposób oscylował i zdarzył się dokładnie w tym miejscu, gdzie można było tylko stwierdzić, że takie zdarzenie nie miało sensu i żadnej wartości?

- Niestety podobne wypadki nie są czymś niezwykłym - po wiedział Lundahl, gdy następnego dnia MSns siedział w jego pokoju służbowym po drugiej stronie biurka. Zaczął mówić o Bodinie. Mans został wezwany na przesłuchanie w piątek, równo w tydzień od wypadku przy Kroktorpsvagen. Zauważył,

że Lundahl jest zadowolony z siebie i ze swej roboty, która dała rezultat po tygodniu. Odnośnie eksplozji strzelby i śmierci Boudina dochodzenie przyniosło efekt po kilku godzinach. Nie był to żaden skomplikowany wypadek. Lundahl miał wszelkie powody do zadowolenia i jego zawodowa uprzejmość dla Mansa graniczyła niemal z wesołością.

- Podejmuje się ryzyko, kiedy manipuluje się z ostrą amunicją i przerabia się kule na dozwolone w myśliwie przez obcięcie czubka - powiedział.

Mans oniemiał i zrobiło mu się głupio. Przecież wiedział o tym, ale był zbyt poruszony, by wyciągnąć prosty wniosek. Z bezsensownego wypadku, który Lundahl mógł wyjaśnić w kilku suchych słowach, chciał zrobić morderstwo.

- Ostry nabój nie ma takiej samej łuski, jak nabój myśliwski - kontynuował Lundahl i ołówkiem naszkicował kształt kuli.  
- Zetnie się czubek i odsłoni ołów, to łuska może pozostać, a wyleci sam pocisk. I to samo w sobie nie jest nieszczęściem, ale następny strzał grozi życiu. Jeśli łuska pozostanie w lufie, następny strzał może rozsadzić broń. Ale pan może o tym wie?

Mans skinął głową.

- To nie są zabawki - stwierdził Lundahl. - Głupio dłubać przy takich rzeczach.

- On był raczej oszczędny - powiedział Mans. - Chciał używać tej amunicji, chociaż właściwie jest to niedozwolone.

- Tak, nie o tym jednak mówię. Stała się w pełni legalna, kiedy on ściął czubek. Ale poszło, jak poszło.

- Wie pan, że tak było?

Mans unikał jego wzroku, wpatrując się w szkic na bibule.

- Zbadaliśmy broń - powiedział Lundahl. - Nie ma wątpliwości, jak doszło do wypadku. Ale uważam, że pan, jako wytrawny strzelec i myśliwy powinien był go ostrzec.

- Może powinniśmy - powiedział Mans. - Ale on robił, co chciał.

Więcej o tym nie rozmawiali. Nieszczęście ze strzelbą było prostą sprawą w porównaniu ze śmiertelnym wypadkiem

na Kroktorpsvagen. W trakcie dochodzenia Mans dostał do obejrzenia wiele szkiców, na których szosa do stacji oraz drogi Nipparbolsvagen i Kroktorpsvagen były wyrysowane wraz z zapisem dokładnego czasu i zaznaczonym kierunkiem jazdy. Stopniowo nauczył się, że czterdzieści pięć minut upłynęło od wypadku do zakończenia ich poczynąń. Potrącenie kobiety przez autobus było liczone tylko w sekundach, ale potem nastąpiły wydarzenia, w które policja włożyła najwięcej pracy, by wyjaśnić ich przebieg. Interesowało ich wszystko, co się działo podczas piątkowej nocy, minuta po minucie, aż do chwili gdy autobus zajeżdżał na parking przy Stora Nybygget.

Minęło ponad pół roku, zanim te czterdzieści pięć minut październikowej nocy zostało przedstawionych sądowi okręgowemu. Był ciepły majowy dzień i ciemne, śliskie od opadłych liści drogi październikowe stały się bardzo odległe. Mans słuchał opisywanych wydarzeń, oglądał mapy ze strzałkami, krzyżykami i godzinami. Nie czuł żadnego pokrewieństwa z tym Westlingiem, o którym mówił prokurator. Ani z tym Westlingiem, którego adwokat bronił w duchocie przez czterdzieści minut. Czasami spoglądał na Evę, ale ona słuchała uważnie i nie patrzyła na niego, zanim zaczął odpowiadać na pytania, ale wtedy nie mógł się odwrócić, by szukać jej wzroku.

Sąd okręgowy rozważał szczegółowo wszystkie wydarzenia należące do sprawy. Przyznanie się oskarżonych do winy było poparte innymi okolicznościami. Oskarżenie zostało skutkiem tego potwierdzone. Sąd okręgowy, którego członkowie wyglądali na zmęczonych i spoglądali przez okno lub bawili się leżącymi przed sobą na stole piórami, uznali, że Mans Westling nie zachował należytej ostrożności podczas prowadzenia autobusu i winien ponieść odpowiedzialność wyłącznie za nieostrożną jazdę. Niezachowanie ostrożności podczas jazdy nie będzie zatem traktowane jako poważne wykroczenie. Ponadto sąd podzielił klasyfikację czynu prokuratora.

Sędzia pił wodę. Kant kołnierzyka jego białej koszuli był nieświeży z powodu gorąca. Przy wymierzaniu kary sąd uznał, że powinien częściowo zostać uwzględniony stosunek zależności Pera-Erika Mirda w odniesieniu do Georga Marda i że Erik Emilsson - jako udzielający pomocy przestępcy i wyznaczający plan działania - był siłą inspirującą. Głos sędziego osłabł. Po chwili nabrał mocy i sędzia wsunął palec wskazujący za kołnierzyk koszuli, by nieznacznie go poluznić.

- „Sąd skazuje MSnsa Westlinga zgodnie z art. 4, §§ 1 i 2, art.14, §9 kodeksu karnego, §1, ust. 1, §4, ust. 1, jak również § 5, ust. 1 kodeksu drogowego za spowodowanie śmierci innej osoby, nieostrożną jazdę, prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym, jak również ucieczkę z miejsca wypadku na sześć miesięcy więzienia; Pera-Erika Mirda zgodnie z art. 4, §§ 1 i 2, art. 3, § 4, art. 10, § 10 kodeksu karnego oraz § 4, ust. 1 kodeksu drogowego za współudział w prowadzeniu pojazdu w stanie nietrzeźwym, a także za udzielanie pomocy przestępcy na cztery miesiące więzienia; Erika Emilssona zgodnie z art. 10, § 10 kodeksu karnego za udzielanie pomocy przestępcy na cztery miesiące więzienia; Georga Marda zgodnie z art. 4, §§ 1 i 2, art. 3, § 4, art. 10, § 10 kodeksu karnego oraz § 4, ust. 1 kodeksu drogowego za udzielanie pomocy przestępcy na cztery miesiące więzienia; Rickarda Turessona zgodnie z art. 10, § 10 kodeksu karnego za udzielanie pomocy przestępcy na dwa miesiące więzienia oraz Andersa Floda zgodnie z art. 10, § 10 kodeksu karnego za udzielanie pomocy przestępcy na dwa miesiące więzienia.”

Jedyna kobieta w składzie sędziowskim złożyła pulchne ręce na krzyż i popatrzyła na Mansa. Myśli miała zajęte być może obiadem, na który była najwyższa pora, bo zastanawiała się czyba, czy ktoś w domu nastawił kartofle. Jej uprzejmy niewidzący wzrok przechodził prosto przez westlingowe papiery. Głos sędziego brzmiał jak zgrzyt stalówki na szorstkim papierze.

- „Adwokatowi Stellanowi Wulterowi przyznaje się wynagrodzenie ze środków publicznych za obronę Westlinga w wyso-

kości pięciuset koron, które to wynagrodzenie ma zostać wpłacone do urzędu miasta przez Westlinga. Westling zostaje też zobowiązany do wpłacenia do urzędu miasta kosztów obdukcji w wysokości stu siedemdziesięciu koron."

Głos sędziego zmagął się dalej z tekstem wyroku, brnąc przez kolejne strony. Stał się cieńszy, aż sędzia musiał zrobić przerwę, by znów napić się letniej wody. Gdy z trudem dowlókł się do końca, mówił nieco głośniej.

- Z uwagi na powszechne poszanowanie prawa, sąd uznaje, że warunkowe zawieszenie wykonania kary nie powinno wchodzić w grę - powiedział i złożył stronicę.



## 14

Mans wrócił w tygodniu, w którym wypadł środek lata następnego roku, kiedy trybula leśna niczym morskie fale pieśniła się kwiatami dookoła Vinterrónningen, a kukułki dały się bardziej wariacko, niż kiedykolwiek pamiętał. Wkrótce potem pojawiły się stogi siana i ich kukanie przycichło. Lato zaczęło rozkwitać bujniej i nabierać intensywniejszych barw, a szare, jasne noce, które razem z tęsknotą za domem dręczyły go, odbierając sen w ostatnie tygodnie przed powrotem, przeszły w jesienny zmrok. W te letnie miesiące miał za dużo pracy, by zauważyć, jak stali się samotni. Eva schudła, a kan-ciastość w jej twarzy, która pojawiała się na skutek zmęczenia, wydawało się, pozostała na zawsze. To efekt trochę niedbałego jedzenia i snu, wyjaśniła. Ale jeśli nawet kosztem wyętej pracy udało im się przetrwać całkiem nieźle, to w ogóle poradziła sobie dzięki Gustafowi Akermanowi. Opowiadała, jak każdego ranka przyjeżdżał na rowerze i pracował tylko za jedzenie. Albinsson harował na miarę swych możliwości. Gustaf był dwa razy starszy, ale dwa razy więcej pracował.

- Uważam jednak, że mimo wszystko postarzał się - powiedziała. - Było mu przykro, jak myślał o tobie, kiedy chodził uprawiać ziemię z Albinssonem.

Georg Mard sprzedał Nybygget i wyjechał. On, w przeciwieństwie do Mansa, nie ubiegał się o sześciomiesięczną zwłokę

w odbyciu kary. Eva otrzymała od niego znak życia z pewnego miasta w Smalandii na przełomie wiosny i wydawało się, że Georg znów pnie się w górę. Wspomnił o jakiejś fabryce cementu, ale jak to się rozwinęło, nie dowiedzieli się. Chyba nie miał zbyt-nej ochoty ponownie się odezwać, kiedy i tak nigdy nie zamie-rzał tu wracać. W te jesienne tygodnie ludzka gadanina opasała ich niczym gruby mur. Nikt niczego nie wiedział o Emilssonie. Andersowi Flodowi powiedział, że przeniesie się do Norrbotten.

- Podobno tam jest jeden człowiek na jeden kilometr kwa dratowy - powiedział Anders w zamyśleniu. - To pewnie znaj dzie dla siebie trochę wolnej przestrzeni.

Kiedy Rickard został oskarżony, siostry Bodin w Rasby dotknął nagły moralny paraliż i nie były w stanie zdobyć się ani na potępienie, ani na przebaczenie. Pastor próbował im pomóc przetrwać udrękę, ale Anders Flod, który był dobrze po-informowany, wiedział, że w końcu nawiązały z Rickardem kontakt listowny. Rickard tymczasem dostał pracę w jakimś biurze w Sztokholmie. Fanny pojechała tam i skonstatowała, że w porównaniu z życiem, do jakiego przywykł, wiedzie mu się o wiele gorzej.

- On wróci - triumfował Anders Flod. - Miłość zwycięży, wierz mi. Potem może sobie pastor mówić, co chce.

Anders sam prosił o odroczenie i nie było go przez zimę. Dwa miesiące stanowiły akurat tyle czasu, przez ile jego fińska kobieta mogła sobie poradzić z gospodarstwem. Była silna jak koń i pracowita nawet w normalnej sytuacji, teraz wyteżyła się dodatkowo. Chodzenie do szkoły najstarszych z Gillermysiāt stało się rzecz jasna trochę nieregularne. Anders wrócił w pe-wien wietrzny marcowy dzień prosto z autobusu, bez zapowie-dzi, gnany tęsknotą za domem. Gdy wszedł, jego Finka stała przy piecu i przypuszczalnie ucieszyła się. Anders spytał na-turalnie, jak tam było. „No, z paleniska przez całą długą zimę cholernie dymiło, ale poza tym w porządku.”

Teraz dla Evy i MSnsa Anders stanowił istotną wartość, po-nieważ ściana utworzona przez ludzkie plotki była ciągle gru-

ba, oddzielała ich i sprawiała, że czuli się samotni. Mans nie miałby nic przeciwko temu, żeby się przeprowadzić, jeśli Eva chciała. Ale nigdy o tym nie mówili. Zresztą Vinter-rónningen tylko jedną stronę zwrócone było w kierunku innych zabudowań i innych ludzi. Druga wychodziła na las.

Często chodził do lasu, ze strzelbą albo bez niej, kiedy tylko miał wolną chwilę. Początkowo Evie trochę trudno to było zrozumieć. Dla niej tydzień polowania na łosie był wspomnieniem, które jak haczyk wyławiało wszystko, o czym chciała zapomnieć i pogrzebać w niepamięci, i wystawiało na chłodne światło rozmyślań.

- Ty z tą twoją bronią - powiedziała i zabrzmiało to, jak gdyby mówiła o jakiejś zabawce. - Pomyśl, jak skończył Klas Bodin.

Dokładnie to właśnie czynił. Nie mógł się uwolnić od tej myśli, nawet kiedy miał ręce pełne roboty. Towarzyszyła mu w lesie. Próbował ją ułożyć jak psa, by z natarczywej stała się swojska. Ale ona nie przestawała niepokoić.

Mieli niezwykle późną i ciepłą jesień. Tydzień polowań na łosie wbił się jak klin w lekko szczygnięte mrozem lato w październiku. Dzień przed jego rozpoczęciem o zmroku cicho nadszedł Gustaf z Gókkallan. Był bardziej ożywiony niż zwykle. Na własne oczy zobaczył, że ten kolosalny byk z Flymyran jest z powrotem. To już trzeci rok. Śledził go cały wrzesień i wiedział, że dopiero co skończył okres rui i teraz, już spokojniejszy, przebywa na wielkim mokradle w pobliżu Spjuten. W chłodne sierpniowe noce Gustaf zasadzał się przy rujowi-skach tylko po to, żeby go zobaczyć, i zaklinał się, że swego remingtona zostawiał w domu. Ale teraz nadeszła pora. Teraz łos był dostępny nawet dla praworządneho emeryta.

Że Mans się wahał przez wzgląd na Evę, rozumiał. Ale sam trząś się z zapału. O tym właśnie byku stale myślał, przyznawał to. To będzie jego ostatni.

- Zaczynam robić się za stary. Najbardziej oczy. W przyszłym roku już będę do niczego.

- Idź z nim - powiedziała Eva, więc resztę wieczoru poświęcił na czyszczenie strzelby, smarowanie i polerowanie drogo cennej zabawki suchymi szmatami na oczach Ewy.

Pierwszy dzień przyniósł im pożytek, bo ubili łoszę, która zważona w rzeźni dała sto siedemdziesiąt kilo mięsa. Gustaf był bliski irytacji. Chciał wielkiego byka. Wszystko inne było stratą czasu.

- Przypuszczalnie on jest tak stary, że niejadalny - powiedział Mans. - Będzie smakował jak stare kalosze, jak go dopadniesz.

Ale Gustaf nie chciał być mięsiarzem. Pragnął upolować marzenie na czterech nogach. Marzenia nie mają wagi rzeźnej i stempla inspektora.

Trzeciego dnia rano w chacie Tranang Gustaf wstał przed świtem. Mans słyszał go, jak szurgocze na dole, i w północy poczuł napływający ku niemu zapach kawy.

- Nie zmęczyłeś się wczoraj? - spytał.

Skradali się kilometrami i Mans sam czuł to w nogach.

- Najgorsze, że pies wydaje się wykończony - powiedział Gustaf, patrząc na Śpiewkę, która leżała zwinięta w kłębek na pryczy i nie uniosła powiek, chociaż wabił ją cukrem.

- Nie jest dobrze, kiedy coś wystawi, odwoływać ją tyle razy, ile myśmy to wczoraj zrobili - powiedział Mans.

- To nie gra roli przy takim starym psie. Ona wie, że my szukamy czegoś specjalnego. Usłyszysz, jak go wystawi.

Sądził, że jakiś szczególny ton zabrzmiał w dzwonie śmierci, gdy jej się uda przechytryć tego starego z morderczymi łopatkami i go wystawić?

- Nigdy nie słyszałem, żeby tak dziwnie szczekała, jak wtedy, gdy Bodinowi przydarzył się ten jego wypadek - odezwał się Mans.

Uwaga ta padła tak nieoczekiwanie dla Gustafa, że spojrzął znad swego spodeczka kawy.

- Tak szczekała?

- To brzmiało, jak gdyby ona chciała powiedzieć, że coś się stało.

W chacie było zimno mimo płonącego ognia. Światło przedświtu wpadające przez dwa małe okienka ledwie docierało do pryczy, na której siedział, i przez to łatwiej było mu mówić. Dziwił się, że to mówi. Przez dwa lata miał uczucie, że tego chciał.

- Wiesz o tym, że to nie był żaden wypadek?

Gustaf wyglądał na zdumionego i mocno poruszonego. Ale Mans chciał kontynuować.

- Dochodzenie policyjne wykazało, że to wydarzyło się przypadkiem. Bardzo prosto było wyliczyć, jak on to zrobił z obciętymi kulami. Potem poświęcili uwagę nam. I wsadzili nas tylko za tamto małe przestępstwo.

- Co masz na myśli?

- Ucieczka z miejsca wypadku i prowadzenie w stanie nietrzeźwym to tylko drobiazg.

- Tak? - spytał Gustaf po chwili.

Nigdy o tym nie rozmawiali. Nie wiedział, co Gustaf myśli o jego zachowaniu.

- Tak - potwierdził Mans - tak właśnie jest. W stosunku do morderstwa.

Gustaf odstawił spodek i podszedł do pryczy. Zepchnął Śpiewkę i usiadł. Wyglądało to tak, jak gdyby chciał widzieć twarz Mansa.

- Wiesz, jak do tego doszło - ciągnął Mans. - On musiałby wystrzelić obciętym nabojem, tak że pocisk wyleciał z lufy, a łuska została. Następny strzał rozsadził broń.

- Tak zostało wykazane.

- Tylko że on w ogóle nie wystrzelił tego pierwszego naboju.

Nie był pewien, czy Gustaf go zrozumiał.

- Nie wystrzelił?

Mans zdenerwował się.

- Byłeś przecież na polowaniu z naganką, kiedy przyszli inspektorzy, a on schował amunicję.

- Pamiętam bardzo dobrze. Przecież to ja nauczyłem go tej sztuczki. Tak więc ktoś, kto dla...

- To nie to! On przecież musiałby raz wystrzelić, żeby ta łuska została. Ale pierwszy strzał był tym, który rozsadził strzelbę. On nic nie ustrzelił w lesie w czwartek rano. To wiem. W środę po południu, kiedy wyszedł ze strzelbą, nie widział śladu życia w lesie.

- Mógł jednak raz wystrzelić mimo to. Próbnie albo...

- Nie! Bo on miał strzelbę Georga.

- Uspokój się - powiedział Gustaf. - Pojmuję i tak, co ty masz na myśli. On nie wystrzelił żadnej kuli z obciętym czubkiem, zanim zdarzył się wypadek.

MSns przytaknął głową. Czuł się dziwnie osłabiony. To duża różnica ujmować podejrzenie w konkretne słowa. Stają się przekonaniem.

- Któryś z nas musiał zmajstrować to ze strzelbą. Wcale nie byłoby takie trudne pustą łuskę wsadzić w lufę, jeśli by się miało trochę czasu i jakieś narzędzie. Tak musiało być. Zdawało mi się, że wiem, kto to zrobił, na długo przedtem, zanim pojąłem, jak to zostało zrobione.

- Kto taki?

- Erik.

Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że musi powiedzieć o wszystkim. Był zmuszony opowiedzieć o szantażu Bodina i ich planach, by go zabić. Było to trudne, ponieważ upływ czasu sprawił, że wszystko wydawało się takie odległe i obłąkańcze, iż nie chciał się do tego przyznawać. Gustaf słuchał, nie pokazując po sobie ani gniewu, ani zdziwienia.

- Wiedziałeś o tym? - spytał M&ns.

Skinął głową.

- Wiedziałem to może za dużo powiedziane, ale domyślałem się, jak wygląda sytuacja.

Opowiedział, jak pojechał rowerem do Stora Nybygget w piątek późnym wieczorem i że nikogo tam nie było. Ale Rickard powiedział później, że przez cały czas byli w domu.

- To nie było takie trudne dwa i dwa poskładać do kupy

- mówił powoli. - Kiedy zobaczyłem, jak Bodin panoszy się i rządzi, pojąłem mniej więcej, co się wam przydarzyło.

- Mało brakowało, a mnie przydarzyłyby się coś gorszego - powiedział Mans.

- Tego się bałem.

- Ale musisz mi wierzyć - powiedział MSns gwałtownie.

- W tym, co się w końcu przydarzyło Bodinowi, nie brałem żadnego udziału! Nie wiem, który z nich to był. Tylko Erik został tutaj i mógł coś zrobić z jego strzelbą. My, cała reszta, pojechaliśmy do miasta, a kiedy wróciliśmy do chaty, Bodin zabrał ze sobą strzelbę do domu w Rasby. Wtedy musiała już być zmajstrowana. Nikt nie wychodził też w nocy. To wiem, bo niewiele spałem tamtej nocy. Sądziłem, że to był Erik. My śle, że prawie chciałem, żeby to był on! Ale potem pojechałem do niego i dowiedziałem się od jego gospodyni, że kiedy pojechaliśmy do miasta, on cały czas był w domu. A tu na górę przyszedł dopiero, kiedy Bodin ruszył w drogę ze swoją strzelbą. Tak wyglądała sprawa i ja w tym miejscu ugrzązłem.

- I sądzisz mimo to, że to było morderstwo?

- Ja w i e m, że on z tej strzelby nie strzelił więcej razy poza tym, który go zabił. Muszą być dwa strzały, aby doszło do wypadku. I ja nie wierzę w wypadki, które następują jak na zamówienie.

- Zostaw to więc - powiedział Gustaf. - Tak chyba będzie najlepiej.

- Ale ja chcę wiedzieć, kto to był!

- Dlaczego?

Tego właściwie Mans sam sobie nie był w stanie wyjaśnić. Raz na zawsze chciał z tym skończyć. Może najlepiej byłoby pójść na policję z nieskroconą relacją o ich wypadku przy Kroktorpsvagen, gdyby tylko miał choć jeden dowód na to, który to z nich pozwolił zastrzelić się Bodinowi spreparowanym sztucerem. Wtedy nie będzie miał żadnych skrupułów. Czy to byłby Anders, którego lubił, czy Georg, którego darzył respektem.

- Za godzinę będzie wystarczające światło do strzału - odezwał się Gustaf. - Musimy ruszać.

Polowali na jego wymarzonego byka. Był przez siebie samego mianowanym łowczym i Mans szedł za nim. Plany Gustaf obmyślał wiele tygodni wcześniej. Spalił na panewce jeden, to miał nowy. Mans w ogóle nie zaprzętał sobie tym głowy. Był pochłonięty własnymi myślami, a monotonne wyczekiwanie i ostrożne podkradanie dawało mu dużo czasu na myślenie.

Około dwunastej zrobili przerwę na posiłek. Gustaf zgarnął do kupy kilka patyków, a jego pośpiech wskazywał, że nie pozostaną długo na tym miejscu. Ale Mans uporządkował myśli i choć było to dla niego udawką, musiał mówić. Dziwne, jak jasno człowiek wszystko zobaczył, kiedy zaczął mówić.

- Ty sam wiesz, że on ani razu nie strzelił ze swojej broni w stronę po południu - powiedział.

- Przestań z tym wreszcie - powiedział Gustaf gwałtownie. - To było dwa lata temu. Nie myśl już o tym. Miałeś za dużo czasu do myślenia w miejscu, gdzie byłeś.

Po raz pierwszy Gustaf zdenerwował się na niego. Jedząc w milczeniu, odwrócił się do niego zgarbionymi plecami. Ale dla Mansa było już za późno, żeby się powstrzymać.

- Wpadłeś na niego tu na dole - powiedział. - Sam o tym mówił. Więc musiałeś na pewno widzieć, że miał strzelbę Georga.

Przestraszył się swego własnego podniecenia, gdy to powiedział. To było tak, jak gdyby słowa same wyciągały go tam, gdzie właściwie nie chciał. Teraz musiał zbliżyć się ostrożnie do tego, co trudne. Znowu odczuwał dylemat połowiczności i nie wiedział, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć od Gustafa.

- To mogłeś być ty.

Gustaf milczał. Ale powoli odwrócił się do niego.

- Ponieważ mogłeś wykombinować, że jego strzelba wisi na górze w chacie Tranang - ciągnął Mans. - Tobie wystarczyło tylko tam podejść.



Gustaf, którego usta były twardo zaciśnięte pod wąsem, teraz uśmiechnął się nieznacznie. To był tylko przelotny cień uśmiechu, który nie sięgnął oczu. Czy on zamierza mi gratulować, że mogę go oskarżyć? Czy on w ogóle uważa, że mam prawo to robić? Mans odwrócił się gwałtownie. Zaprzagnął, by te słowa nigdy nie padły, choć wiedział, że są prawdziwe.

Gustaf musiał widzieć po nim, że już nie tylko przypuszczał, ale wiedział. Że podejrzewać i oskarżać jest paskudne. Morderstwo, widok rozerwanego i odrzuconego wybuchem ciała Bodina - to było paskudne i przyprawiało o mdłości. Jednak próba doprowadzenia między nimi do ładu kłamstwem, któremu jakoś tam by się wierzyło, była niewyobrażalna i niegodna.

- Tak, to byłem ja.

Kiedy Gustaf zobaczył, jak Mśms zareagował, wyciągnął rękę i położył mu na ramieniu.

- Chyba nie będziesz z tego powodu płakać. Sam chciałeś się dowiedzieć, kto to był.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem... dlaczego tyś to zrobił?

- No cóż. To nie był jakiś nagły pomysł. Coś mi już chodziło po głowie, kiedy uczyłem go obcinać czubek kuli. Wziąłem kilka. A dlaczego to zrobiłem, chyba rozumiesz. Po części za to, co chciał zrobić mnie, to muszę przyznać.

Ale żeby Gustaf chciał się mścić za to, że Bodin wykluczył go z polowania - mimo wszystko nie mogło być wystarczającym powodem. Nawet jeśli Mans wiedział, iż to stanowiło treść jego życia i że Bodin zranił go głębiej, niż może był tego świadomy.

- A po części dlatego, że widziałem, w co ty możesz lada moment wpaść.

Gdy zobaczył, jak Mans to przyjął, wstał i zaczął zbierać swoje rzeczy do plecaka, starając się na niego nie patrzeć.

- Powinieneś być zadowolony tym, że to był wypadek. Tak byłoby najlepiej, zarówno dla ciebie, jak i dla mnie - wyszeptał.

Miał rację. Wiedza przyniosła mu tylko żal. Lepiej byłoby nic nie wiedzieć. W połowie Bodin zginął z jego powodu. Niezależnie od tego, czy tego chciał, czy nie, Bodin nie żył.

- Dzieci i ryby głosu nie mają! - powiedział Mins.

- Co ty wygadujesz?

Tak mawiała jego matka, kiedy jako małe dziecko chciał czegoś, ale tego Gustaf nie mógł przecież wiedzieć. To była głupia sentencja. Sprawiała, że Gustaf poczuł się niepewnie, a jego samego przyprawiła o mdłości.

- Idziemy?

W te jesienne dni starego Gustafa ogarniał jakiś niepokój. Widział gorzej. MSns, który tak często z nim polował, teraz to zauważył, a długie marsze kosztowały Gustafa więcej wysiłku, niż chciał pokazać. Postanowienie, by przechrzcić starego byka z Flymyran, stanowiło granicę, którą sobie wyznaczył. Tego i żadnego więcej. Potem może nastać bezruch. Nie będzie nim zaskoczony.

Po niecałej godzinie znaleźli świeży ślad łosia na ziemi. To było mniej niż kilometr od stanowiska, na którym zginął Bodin. Gustaf ukląkł jak do pacierza i zmierzył ślad ręką. Nie było wątpliwości. To był ten wielki. Śpiewka szarpała się na smyczy i chciała biec. MSns czuł, że wszystko przestaje się liczyć poza tym szczególnym napięciem; wierzył teraz w bajeczne szczęście. W szczęście, ostrożność i w Śpiewkę. Decyzję, którą powinien powziąć, trzeba było odsunąć na bok. Nie mógł skupić na niej myśli. Na skrzypiącym jak stalówka głosie sędziego, który zgrzytliwie wymierza karę zgodnie z artykułem 14, §1 kodeksu karnego za morderstwo z premedytacją. M&ns nie chciał tej decyzji trzymać w swoich rękach, jeszcze nie. Zgodnie z jego wolą lub wbrew niej samo musi się wyjaśnić, jak ma postąpić.

Śpiewka zbyt długo siedziała w domu, gdzie jej dogadzano. Zaczynała być za stara, by w krótkim czasie rozwinąć dużą szybkość, ale nadal była najsprytniejsza i najostrożniejsza z nich. Szeptem rozważali, czy powinni ją puścić, wierząc, że go im wystawi. Mins jednak uważał, że lepiej iść z nią, pozwalając jej gonić po tropie. Znała sztukę podczołgiwania się, nauczył ją tropić na oba sposoby.

- Ufasz jej, że będzie cicho, jak go zobaczy? - spytał Gustaf szeptem. Mans skinął głową. Śpiewka rzuciła im żółte spojrzenie pełne zapału i ruszyła. Pozwolili jej podjąć trop.

Ruszyli szerokim i dość łatwym do przejścia łukiem w dół do mokradła. Na jego skraju zaczęły się pierwsze trudności. Okazało się, że tam, gdzie jest mokre podłoże, Śpiewce trudniej przedzierać się bezszelestnie niż im. Mins musiał ją wziąć na ramię i bał się, że może zgubić trop. Ale znów go podjęła i nie okazywała najmniejszej niepewności, gdy podeszli w górę do lasu i kluczyli między pniami świerków. Nad ich głowami świeciło słońce i przeciągał silny wiatr. Krzyżodzioby zrzuciły szyszki, co ich myliło i raz po raz zmuszało do zastygnięcia w bezruchu, ponieważ wydawało im się, że są tak blisko, iż go słyszą. Wzniesienie wraz z ich kolejnymi ostrożnymi krokami ukazywało się coraz wyraźniej. Szli kawałek pod górę, a bloki skalne z kapturami grubej darni i falującymi paprociami wznosiły się przed nimi. Iść cicho było i uciążliwe, i trudne. Nagle Śpiewka znieruchomiała i złapała wiatr. Jak kot zwinęła się przed Mansem i po naprężeniu rzemienia, który przypiął sobie w pasie, poczuł jej wolę i napięcie. Lekki powiew pozwolił jej zwietrzyć łosia. MSns wymienił spojrzenie z Gusta-fem. Jeśli kiedykolwiek, to właśnie teraz chodziło o to, by podeszła cicho i nie wyobraziła sobie, że ma go wystawić. Gdy się poruszyła, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Ale była cicho. MSns znów spojrzął na Gustafa, który uśmiechnął się porozumiewawczo i zaczęli podchód.

Że mogliby znaleźć go w legowisku, było nie do pomyślenia i jakoś niestosowne. Właśnie się pasł, ale wydawało się, że czyni to bardziej dla przyjemności niż na poważnie, tak lekko szczypał i rwał przy brzegu jeziora. Było to jedno z wielu czarnych połyskujących wodą oczek, na które człowiek natykał się tu w górze, niewielkie, o urwistych brzegach i zawsze nieruchome. MSns zobaczył pływające na nim nenufary. Może byk z Flymyran był amatorem nenufarów, po które się tu zapuszczał, by wyszukiwać smakowite kłacza. Gustaf wiedział

niemal wszystko o jego zwyczajach, ale nie było to miejsce na zadawanie mu pytań.

Mans pierwszy zobaczył byka. Wynurzył się ze Śpiewką za dwoma głazami i w mgnieniu oka opadł znów na ziemię. Czuły nos Śpiewki poruszał się, jakby chciał ulecieć na skrzydłach, i gdy go złowiła wzrokiem, MSns na wszelki wypadek ostrzegawczo uniósł palec. Milczała, całym ciałem stłumiwszy westchnienie. Gustaf był tak blisko niego, że czuł na karku jego oddech. Mans popatrzył mu w oczy i wskazał na jego broń. Kolos tam w dole należał przecież do niego.

Odległość nie mogła być większa niż zaledwie osiemdziesiąt metrów, ponadto skalisty teren kończył się dość ostrym spadkiem do jeziora. Nie było ani możliwości, ani powodu, by próbować podejść bliżej. Gustaf przysunął się do niego i załadował. Odbezpieczył już dawno temu. Tutaj nie może być najmniejszego trzasku.

Byk z Flymyran na dole stał spokojnie i zdawał się medytować. Wydawał się piękniejszy niż wtedy, gdy Mans widział go na mokradle. Mgła pewnie zniekształciła wówczas proporcje. Był wielki i łatwy do rozpoznania po wielokrotnie rozgałęzionej koronie, której grube łopaty skierowane były do przodu. Od góry w kierunku garbu, ledwie widocznego na masywnym cielsku, sierść była prawie czarna. Po bokach niewiele jaśniejsza, ale biel badyli zachował. Stał całkowicie nieruchomo, choć we wszystkich jego pełnych harmonii liniach było widać gotowość do ucieczki.

Gustaf miał twarz spokojną. W jego myślach nie było żadnego przedtem ani żadnego potem. Skoncentrował się na punkcie, który był równie nieruchomy jak muszka w szczyrbie. Palec wskazujący leżał na spuście.

- Nie strzelaj - powiedział Mans.

Wypowiedział to głośno i wyraźnie, białe badyłe mignęły i błyskawiczna ucieczka, która cały czas drzemała w wielkim cielsku, stała się faktem. Śpiewka wydała głos, który zabrzmiał, jak gdyby stała jej się krzywda, w tej samej chwili, gdy

gałęzie zatrzeszczały na drodze byka. Zrobiło się cicho, jezioro błyszczało w słońcu, niczego nie odbijając. Gustaf odwrócił się do niego.

- Pozwól mu uciec - powiedział M&ns.

Gustaf skinął głową. Milcząc, ruszyli po skalistym gruncie w drogę powrotną.